Łódź

Odgłosy

tygodnik społeczno-kulturalny

PL ISSN 0472-5042
Nr indeksu 36762

NUMER 6 (1402) ROK XXVIII 9 LUTEGO 1985 ROKU CENA 15 ZŁ

■ Kogo stać na wyższe ceny
■ Świadectwo dojrzałości
■ Wrzód
■ Droga wiodła przez Danię
■ Michael Jackson i inni

Foto: Grzegorz Gałasiński

Wykreować magistra w kryzysie

J. STANISŁAW KNYPL

Motto: *Sprawa stanęła na martwym punkcie.*
Stanisław Lem

Dzisiaj magistra wykreować, oznacza podjąć się pracy właściwie niewykonalnej acz, oczywiście, pracy wielce zaszczytnej, chwalonej zwłaszcza podczas uroczystości z okazji „Dnia Edukacji Narodowej", a w praktyce kwitowanej ryczałtem ok. 70 zł dla profesora lub docenta za miesiąc pracy z magistrantem.

1. KIM JEST (POWINIEN BYĆ) MAGISTER?

Jeżeli opierać się na oczekiwaniach społecznych, magister to jest (powinien być) k t o ś! Ktoś, kto sroce nie wypadł spod ogona. To pan całą gębą na dziedzinie intelektu, „zdolny do pracy i do obrony", tj. zdolny do kierowania tak swoją własną jak i podwładnych pracą, aby nie szła na jałowym biegu; zdolny do obrony swoich pomysłów oraz idei — przybliżających rzeczywistość ku w i z j i stanu idealnego, która to wizję on ma, gdy inni jeszcze niczego nie przeczuwają. Cała gęba p a n — tj. człowiek o szerokich horyzontach umysłowych i głębokiej kulturze osobistej, otwarty na świat; zdający sobie sprawę, ku czemu zmierza i co chciałby osiągnąć; posiadający kręgosłup, którego nie da sobie łatwo przetrącić. Człowiek, który wie czego chce: wie także, jak to chciane osiągnąć. Chce zaś w pierwszym rzędzie działać *pro publico bono*, ponieważ mniej lub bardziej świadomie hołduje zawołaniu „w szczęściu wszystkiego są każdego cele".

Idealistyczne to poglądy, „odstające" i „nie przystające"? Zapewne. Ale poglądy nie dzisiaj wymyślone, a zawarte już w stareńkiej (?) „Odzie do młodości". Dla mnie tamte wezwania nie zajeżdżają fetorem pleśni, chociaż wiele pokoleń przeminęło już od chwili wypowiedzenia słów o młodości która nad poziomy winna wzlatywać. Kiedy bowiem można pokusić się o wzlatywanie ponad poziom przeciętności, jak nie w młodości właśnie?

Kim tym samym winien być współczesny magister? Powinien być altruistą, jednak bez zaniedbywania własnych interesów, stąpającym po ziemi. Innymi słowy, powinien być pragmatykiem, zdającym sobie jednocześnie sprawę, że istnieją pewne wartości nadrzędne, pewne idee — dopiero nadające sens i urok działaniom dyktowanym przez rozum i wyliczenie. Powinien mieć „łeb" otwarty na prądy ze wschodu i zachodu, z północy i południa. Powinien mieć łeb pełny co najmniej jak miska olejowa „fiata 126p" po generalnym przeglądzie. Powinien myśleć i wymyślać — wiedząc, iż niczego bardziej, jak myśli oryginalnej, nie lęka się „płaz w skorupie" nastawiony na spożywanie i wydalanie, na garnięcie ku sobie, na utrwalanie tego, co było (jest!). Myśląc zaś — powinien czuć i odczuwać, aby r o z u m i e ć i być rozumianym.

5

Aby coś nowego wymyślić, a wymyślone wcielić w

Primadonna z wysokim „f"

ZDZISŁAWA DONAT — sopran koloraturowy, jest pierwszą polską śpiewaczką, która po wojnie wystąpiła na scenie mediolańskiej La Scali (30 grudnia 1975 r.). Przypomnijmy, że w 1964 r. artystka zaangażowana została do Opery Poznańskiej, a od 1971 r. jest solistką Teatru Wielkiego w Warszawie.

Zdobycie najwyższej nagrody — Grand Prix — na Międzynarodowym Konkursie Śpiewaczym w Tuluzie w 1967 r. przyniosło artystce pierwszą propozycję występu na zagranicznej scenie operowej (Tuluza). Międzynarodowa kariera artystyczna Zdzisławy Donat datuje się od 1972 r., kiedy to artystka rozpoczyna występy w czołowych teatrach operowych Europy i Ameryki, m.in. w Monachium, Neapolu, Hamburgu, Wiedniu, Zurichu, Rzymie, Londynie, Leningradzie, San Francisco, Tokio, Nowym Jorku (Met) oraz na festiwalach operowych w Atenach, Monachium, Bregenz i Salzburgu.

W kwietniu ub. roku Zdzisława Donat otrzymała z rąk ministra spraw zagranicznych PRL dyplom za propagowanie kultury polskiej za granicą.

Jest pani absolwentką studiów politechnicznych (mechanika precyzyjna na Politechnice Warszawskiej), a zawód swój i niemal całe życie związała pani z muzyką. Jak do tego doszło?

Atmosfera domu rodzinnego w Poznaniu zrodziła moje zainteresowanie muzyką. Ojciec był melomanem, matka zaś — wykształconą śpiewaczką. Ja natomiast w szóstym roku swego życia rozpoczęłam naukę gry na fortepianie, nie zaniedbując jej nawet w czasie studiów na Politechnice Warszawskiej. Będąc już studentką, dopiero zdecydowałam się na systematyczną naukę śpiewu, choć wokalistyką interesowałam się od dawna. Wkrótce potem dokonałam już ostatecznego wyboru zawodu.

Czy wyuczony zawód techniczny ma jakiś wpływ na pani postawę artystyczną?

Świadomość możliwości powrotu do innego (niż śpiew) wyuczonego zawodu daje artyście pewien komfort psychiczny, który łagodzi, a nawet i niweluje intensywność napięć psychicznych, jakie towarzyszą początkom pracy artystycznej.

Czy — zdaniem pani — pedagog może swobodnie kształtować osobowość artystyczną ucznia według własnych koncepcji i upodobań, czy też rola jego winna przede wszystkim polegać na umiejętnym wydobywaniu i rozwijaniu tego co uczniowi dała natura?

Trudno dać tu jednoznaczną odpowiedź. Uczyłam się u wielu pedagogów. Pierwszym była prof. Zofia Brégy, której zawdzięczam znajomość elementarnych zasad wokalnych w zakresie techniki i interpretacji. Potrafiła ona w sposób jasny i przekonywający przekazać mi niezbędną wiedzę, posiadając jednocześnie dar wydobywania z głosu jego specyfiki, charakteru

10

Domek z marzeń

Niedaleko za ostatnimi kanionami i wawozami Teofilowa rozpościera się plac budowy nowego osiedla mieszkaniowego. Już na pierwszy rzut oka widać, iż będzie to osiedle — jak na nasze warunki! — nietypowe. Żadnych dźwigów, ciężkiego sprzętu, wielkiej płyty... Nie trzeba też zbyt wysoko zadzierać głowy do góry. Bloki są niskie, na ogół dwu-, trzykondygnacyjne, złożone z kilku do kilkunastu samodzielnych segmentów-mieszkań z osobnymi wejściami, garażem, kawałkiem ogródka pod oknami... Co dziwniejsze — jak na nasze warunki! — prawie wszystkie różnią się od siebie. Jedne są jakby typowo willowe — ze spadzistymi dachami, tarasami i gankiem. Drugie przypominają raczej międzywojenne kamienice lub też robotnicze domy na Księżym Młynie. Inne są... jeszcze inne i wcale niekoniecznie takie że aż dech w piersiach zapiera z wrażenia. Wszystkie jednak charakteryzują się tym, że są trochę nietypowe i doskonale zaspokajają marzenia o własnym domku z ogródkiem.

Aha, no i tym jeszcze, że nie buduje ich żadne państwowe przedsiębiorstwo budowlane, ale — sami marzyciele.

• • •

Tuż przed wakacjami w 1982 roku, kilkuosobowa grupa studentów i absolwentów łódzkich uczelni, głównie działaczy istniejącego jeszcze wówczas Socjalistycznego Związku Studentów Polskich, wpadła na pomysł założenia małej spółdzielni mieszkaniowej. Słyszeli, że spółdzielnie takie już powstają, że musi być co najmniej dziesięć osób chętnych, że buduje się samemu... Krótko mówiąc, postanowili spróbować, choć o budownictwie prowadzeniu spółdzielni i wielu innych sprawach nie mieli zielonego pojęcia. Ale skoro inni jakoś dają sobie radę...

Mniej więcej tak właśnie to się zaczęło.

W listopadzie 1982 roku obradował IV Zjazd SZSP, przekształcony w Kongres Założycielski Zrzeszenia Studentów Polskich. W pałacyku przy Piotrkowskiej 77 miejsce Zarządu Łódzkiego zajęła Rada Okręgowa. Inicjatorzy powołania do życia studenckiej spółdzielni mieszkaniowej bez trudu uzyskali poparcie tej rady. Zaraz potem zwrócili się do władz miasta o przydzielenie terenu pod budowę. Władze potraktowały prośbę studentów z troską i pełnym zrozumieniem, przydzielając im działkę budowlaną na dwa domki, po dwanaście segmentów-mieszkań każdy, przy ulicy Rojnej, tam, gdzie i wielu innym podobnym grupom zapaleńców-marzycieli.

Teraz, mając już gdzie budować, można było wreszcie założyć spółdzielnię, a przynajmniej — zrobić to oficjalnie, gdyż taka musi obowiązywać kolejność. W pierwszym zebraniu jej członków uczestniczyło piętnaście osób, które opracowały i uchwaliły statut, wytyczyły program działania spółdzielni, po czym ze wszystkimi niezbędnymi dokumentami zgłosiły się w sądzie rejonowym przy ulicy Sienkiewicza.

W kwietniu 1983 roku sąd zarejestrował spółdzielnię a jej członkowie ostro zabrali się do roboty, zaczynając rzecz zrozumiałą od spraw czysto organizacyj-

4

Odgłosy

Adres redakcji: 90-113 Łódź, ul. Henryka Sienkiewicza 3/5.
Telefony: redaktor naczelny i zastępca redaktora naczelnego 36-52-44, sekretarz redakcji, fotoreporter: 36-80-99, publicyści: 36-77-70.
Redaktor naczelny: Lucjusz Włodkowski.
Zastępca redaktora naczelnego: Tomasz Sas.
Sekretarz redakcji: Grażyna Olechnowicz.
Redaktor techniczny: Janusz Kozłowski
Zespół: Ryszard Binkowski, Dariusz Dorożyński, Eugeniusz Iwanicki, Teresa Jerzykowska, Andrzej Karolczak, Roman Kubiak, Jerzy Kwieciński, Bogda Madej, Andrzej Makowiecki, Paweł Tomaszewski, Jolanta Wrońska.
Grafik: Janusz Szymański-Glanc.
Fotoreporter: Grzegorz Gałasiński.
Korekta: Mariola Knaga, Jolanta Sawiuk
Stale współpracują: Tadeusz Błażejewski, Edward Bryl, Krzysztof Drzewiecki, Grzegorz Gazda, Bohdan Gadomski, Witold Kasperkiewicz, J. Stanisław Knypl, Włodzimierz Krzemiński, Edmund Lewandowski, Marek Mamos, Zenon J. Michalski, Krystyna Namysłowska, Jerzy Panasewicz, Ewa Pankiewicz, Karol J. Stryjski.

Wydawca: Łódzkie Wydawnictwo Prasowe RSW „Prasa — Książka — Ruch" 91-103 Łódź ul. Piotrkowska 96
DRUK: Prasowe Zakłady Graficzne RSW „Prasa — Książka — Ruch" 90-950 Łódź, ul. Armii Czerwonej 28.

Redakcja nie zwraca nie zamówionych rękopisów i zastrzega sobie prawo do skrótów.

Warunki prenumeraty: 1. dla instytucji i zakładów pracy: — zlokalizowane w miastach wojewódzkich i pozostałych miastach w których znajdują się siedziby Oddziałów RSW „Prasa — Książka — Ruch" zamawiają prenumeratę w tych oddziałach: — instytucje i zakłady pracy zlokalizowane w miejscowościach, gdzie nie ma oddziałów RSW „Prasa — Książka — Ruch" opłacają prenumeratę w urzędach pocztowych i u doręczycieli. 2 dla indywidualnych prenumeratorów: osoby fizyczne zamieszkałe na wsi i w miejscowościach, gdzie nie ma oddziałów RSW „Prasa — Książka — Ruch" opłacają prenumeratę w urzędach pocztowych i u doręczycieli: osoby fizyczne zamieszkałe w miastach — siedzibach Oddziałów RSW „Prasa — Książka — Ruch" opłacają prenumeratę wyłącznie w urzędach pocztowych nadawczo-oddawczych właściwych dla miejsca zamieszkania prenumeratora Wpłaty dokonuje się używając „blankietu wpłaty" na rachunek bankowy miejscowego Oddziału RSW Prasa — Książka — Ruch" 3 Prenumeratę ze zleceniem wysyłki za granicę przyjmuje RSW Prasa — Książka — Ruch" Centrala Kolportażu Prasy i Wydawnictw, ul. Towarowa 28 00-958 Warszawa konto NBP XV Oddziału w Warszawie nr 1153 201045-139-11. Prenumerata ze zleceniem wysyłki za granicę pocztą zwykłą jest droższa od prenumeraty krajowej o 50 proc. dla zleceniodawców indywidualnych i o 100 proc. dla zlecających instytucji i zakładów pracy Terminy przyjmowania prenumeraty na kraj i za granicę — do dnia 10 listopada na I kwartał i półrocze roku następnego oraz cały rok następny — do dnia 1 każdego miesiąca poprzedzającego okres prenumeraty roku bieżącego.

Zam. 287. P-2

Przegląd prasy

Od czasu, gdy Jan Rem dokonał przewartościowania współczesnego znaczenia pojęcia „opozycja" w rzeczywistości politycznej PRL doby obecnej, używanie tego słowa we wszystkich jego gramatycznych odmianach nie wywołuje już takich emocji, jak niegdyś Ba, pojawiają się publiczne deklaracje, których autorzy dokonują samookreślenia się po stronie opozycji. I są to deklaracje w oficjalnej prasie — a nie w żadnych tam podziemnych drukach czy przez najderadio.

W nowym wydaniu bowiem opozycjonizm wydaje się jakby bardziej „złagodniały" — oznacza bowiem, że jego nosiciel, dla ułatwienia zwany opozycjonistą, zasadniczo akceptuje rzeczywistość polityczną i społeczną, nie ma nic przeciwko racji stanu, a także nic lub prawie nic przeciw ustrojowi, a przede wszystkim szanuje konstytucję. Jest to już zupełnie nowa jakość polityczna —

OPOZYCJA „OSWOJONA"

— a nie żadne tam uliczne naparzanki, podkościelne manifestacje, „konspiracyjne" drukarenki, ulotki, bazgranie na murach, puste gesty na użytek zachodnich korespondentów, czy groteskowa „obrona praworządności"...

Po nowemu pojęta opozycja jest wmontowana niejako w system władzy, jest jego częścią nieodłączną — moderatorem poczynań państwa, kontrolerem władzy i wiecznym konsultantem, z góry nastawionym na „nie". Peter Townsend, amerykański praktyk i teoretyk organizacji, w skonstruowany przez siebie system sprawnie działającej korporacji wielkiego biznesu wprowadził tak pojętą opozycję, jako organ wczesnego ostrzegania przed robieniem głupstw, i nazwał to „wiceprezesem do spraw mówienia — a gówno". Townsend wiedział, co robi i stać go było na sowite opłacanie tego wiceprezesa tylko za to, że obśmiewał i krytykował nowe pomysły; uchroniło to firmę „Avis" (wynajem samochodów) od wielu wpadek i znakomicie zwiększyło jej dochody oraz wartość rynkową. (Na zgniłym Zachodzie firmy są na sprzedaż — taka ciekawostka...).

Państwo socjalistyczne z pobudek najdokładniej ideologicznych i moralnych nie może wynająć i opłacać zawodowego opozycjonisty — już to w trosce o wiarygodność w oczach swej opinii społecznej, już to w obawie przed zabójczym posądzeniem o manipulację. Nie ma jednak kwestii — opozycjoniści zgłaszają się sami. Jest to bowiem sprawa temperamentu — ludzie ci są w stanie głęboko akceptować cele i racje istnienia państwa, ale chcą się im przysłużyć poprzez wzięcie na siebie trudnej społecznej roli ustawicznego krytyka teraźniejszości, a zwłaszcza krytyka praktyki sprawowania władzy.

Całkiem niedawno jako opozycjonista zgłosił się oficjalnie prof. Andrzej Grzegorczyk (na łamach „Odrodzenia" w końcu ubiegłego roku) i teraz publikuje swe opozycyjne poglądy W „Polityce" (nr 5 — 05. 02. 02.) napisał, co sądzi

OPOZYCJONISTA O WYBORACH

do Sejmu PRL.

Otóż sądy prof. Grzegorczyka są na tyle osobliwe, że warto je zrelacjonować. Na wstępie profesor powiada:

„Problemy życia zbiorowego, które stają przed ludźmi w Polsce, od trzystu lat z górą przekraczają możliwości tych, którzy są dysponowani (moralnie czy szerzej: psychicznie) do ich rozwiązania. Ludzi zdolnych do podjęcia problemów jest ciągle za mało. Potencjał psychiczny i materialny, jakim dysponują, jest ciągle za słaby w porównaniu z kumulującymi się problemami wymagającymi rozwiązania".

W związku z tym rewelacyjnym wynurzeniem prof. Grzegorczyka jawi się kapitalny problem interpretacyjny naszych dziejów — skoro jednak istniejemy (na razie mniejsza z tym, że jest to egzystencja w sumie dość nędzna i kto wie, czy więcej w niej straconych szans, czy też rzeczywistych sukcesów), to jedno z dwojga: albo nasze problemy rozwiązują, w miarę skutecznie, ludzie niedysponowani moralnie, za to sprawni w działaniu (w ostatecznym rachunku efektów), albo nad naszą egzystencją czuwa jakaś siła nadprzyrodzona... Tertium non datur

Dajmy jednak spokój historiozofii prof. Grzegorczyka, przynajmniej w tym miejscu, albowiem jest to sam w sobie temat godzien odrębnego potraktowania Zobaczmy, co Grzegorczyk pisze o wyborach...

„Otóż — powiada profesor — *pewna skrajna postać pewnej intelektualnej teorii opozycyjnej głosi, że wybory powinny być realizacją zasad demokratycznego współżycia opartego na całkowitej swobodzie wysuwania kandydatów przez dowolne grupy ludzi, które powinny mieć prawo zakładać dowolne partie i rozwijać własną propagandę, jaka im się podoba. Taka forma całkowitej swobody wyborczej jest dopiero realizacją prawdziwego szacunku dla każdego obywatela. Jeśli jej nie ma, to wybory należy bojkotować i w ogóle nie warto się nimi interesować. (...)*

Nie podpisuję się w całości pod tą teorią, lecz tylko częściowo. (...) Zgadzam się, że ideałem najlepiej realizującym równość i szacunek do wszystkich obywateli jest całkowita swoboda zakładania partii politycznych i kraj, w którym żyjemy, nie jest idealny i do ideału mu daleko. Natomiast nie zgadzam się z tym, że jeśli ideał nie jest realizowany, to nie warto w tej formie życia zbiorowego brać udziału i nie można spodziewać się żadnej poprawy".

No cóż, demokracja totalna jako ideał organizacji społeczeństwa ma swój nieodparty powab. Nie tylko dla jajogłowych humanistów, dbałych o równość i prawa jednostki. Także dla zwolenników nietolerancji, dyktatury czy zgoła faszyzmu. Tyle że dla pierwszych jest celem samym w sobie, a dla drugich narzędziem do zdobycia w sposób legalny i „przyzwoity", bez krwawego przewrotu, władzy... Dlatego cieszę się, że nasz kraj nie jest tak idealny, jak chciałby prof. Grzegorczyk — wyrażam też nadzieję, że nigdy taki nie będzie.

Z drugiej zaś strony cieszę się, że mimo wszystko prof. Grzegorczyk chce uczestniczyć w wyborach, aczkolwiek pewne specyficzne pomysły profesora budzą mój sprzeciw. Mniema on — zapewne w trosce o zwiększanie „kapitału zakładowego" ludzi dysponowanych moralnie do rozwiązywania polskich problemów — że *„poprzez wybory każdy może wpłynąć na*

ZWIĘKSZENIE LICZBY LUDZI ROZSĄDNYCH I PRAWYCH

odpowiedzialnych za nasze życie zbiorowe. (...) Jak można wpłynąć na to, żeby było więcej rozsądnych posłów? (czyżby prof. Grzegorczyk sądził, że dziś w parlamencie są w przeważe idioci? — przyp. TS). *Można to robić w dwóch etapach. Na etapie wysuwania kandydatów i w czasie samych wyborów. W czasie wyborów poprzez aktywny w nich udział, tzn. skreślając wszystkich, do których ma się zastrzeżenia. (...) Natomiast ważniejsze jest, żeby wśród kandydatów znaleźli się ludzie rozsądni i prawi, czyli tacy, których śmiało można zostawić nie skreślonych. Ponieważ tylko nieliczne organizacje mogą proponować kandydatów, przeto trzeba przez osobiste znajomości tym organizacjom sugerować dobrych kandydatów z ich szeregów. (...) PRON może lansować osoby, które nawet są być może przeciwnikami PRON, ale są uczciwe i rozsądne na tyle, że ich udział w Sejmie PRL byłby cenny. Apeluję więc do PRON o wysuwanie takich „niewdzięcznych" kandydatów w każdym okręgu wyborczym".*

Tak, uczciwość, rozsądek i prawość, to wspaniałe kwalifikacje przyszłych posłów. Wspaniałe, ale nie jedyne i wystarczające.. Istota posłowania jest sprawowanie władzy, reprezentowanie wyborców i artykułowanie określonych interesów politycznych w imieniu partii i organizacji, wreszcie stanowienie praw. Czy niewdzięczni i „obrażeni" pozbędą się swych uczuć na rzecz altruizmu? Wątpię. Zresztą prof. Grzegorczyk wyznacza im dość dwuznaczną rolę w samych wyborach, wzywając do umieszczania ich na listach w parach dodatkowych, poza przewidziana dla okręgu liczbą mandatów, z góry skazując ich na klęskę. *„Nie wierzę w aktywne uczestnictwo większości wyborców"* — pisze. (Aktywne — w tym przypadku oznaczałoby to: skreślające kandydatów reprezentujących określone siły polityczne, na rzecz jakoby uczciwych, ale wypinających się na PRON i jego program).

Prof Grzegorczyk optuje więc za wyborami, które byłyby raczej gestem moralnym, niż świadomym wyłanianiem przedstawicieli najwyższego organu władzy Bzdura, ale przynajmniej szczerze.

O POTRZEBIE SZCZEROŚCI

natomiast wypowiada się w „Odrodzeniu" (nr 5 — 85.02.03) prof. Marian Przełęcki — o potrzebie szczerości w życiu publicznym.

„Lepsza gorzka prawda niż gładki fałsz; lepsza trudna rzeczywistość niż łatwa fikcja". Prof. Przełęcki odnosi to do konieczności ograniczeń demokracji, twierdząc, że nawet, gdy istnieją wyższe i słuszne racje, aby w interesie państwa ograniczać funkcjonowanie czystych instytucji demokratycznych, to nie zawsze potrafimy mówić szczerze o motywach ograniczeń.

„Sprawa granic demokracji nie jest sprawą z góry przesądzoną; (...) W każdym konkretnym przypadku wymaga odrębnego rozważenia, a każda decyzja w tej sprawie wymaga odpowiedniego uzasadnienia. Jeżeli jakieś odstępstwa od demokratycznego ideału przemilczamy, unikamy obowiązku ich uzasadnienia; (...) Otwarte i niedwuznaczne stwierdzenie tych ograniczeń jest momentem decydującym, gdyż ono to właśnie nakłada na nas obowiązek okazania ich konieczności".

Nie sądzę, aby postulat ten daleko odbiegał od przyjętej dziś praktyki — co więcej, pojawiają się nawet głosy o zgubnych skutkach nadmiernej szczerości władz z jednej strony, z drugiej zaś — liczne sygnały o społecznej niewierze w otwarte i prawdziwe informacje płynące z kręgów administracyjno-władczych, lub — co gorsza — o niewierze w szczerość intencji informujących. To jeden z licznych paradoksów naszej współczesności.

Realizując praktycznie postulat szczerości, chcę przyznać się, że — nieświadomie wprawdzie —

DOPUŚCIŁEM SIĘ MARNOTRAWSTWA GROSZA PUBLICZNEGO

wymuszając na moim wydawcy zaprenumerowanie, na moje służbowe i prywatne potrzeby, miesięcznika „Kontrasty" w roku bieżącym. Oto bowiem z noty umieszczonej w styczniowym numerze pisma dowiaduję się, że zgodnie z uchwałą plenum białostockiego KW PZPR miesięcznik przestaje być ogólnopolski i staje się regionalny, a zmiana formuły pociąga za sobą zmianę zespołu redagującego. Ergo: przestaje mnie to interesować, a mój egzemplarz miesięcznika zapewne zasili — bez przeczytania — składnicę makulatury

Nie chcę przez to powiedzieć, że lekceważę problemy tzw. regionu północno-wschodniego — są mi one równie bliskie, jak problemy innych okolic naszej ojczyzny Ale nie do tego stopnia, do jakiego bliska mi była formuła dawnych „Kontrastów" — najpierw pisma skupiającego wspaniałych reporterów, potem ciekawej i kontrowersyjnej trybuny współczesnej myśli politycznej, z której uczciwie prowadzono trudny dialog między Polakami.

Nie interesuje mnie

SPŁACANIE PROWINCJONALNYCH SERWITUTÓW

przez nowe „Kontrasty", choćby było to pismo z najszczerszego złota. Pocieszam się nadzieją, że podobne pomysły nie wpadną do głowy wojewódzkim instancjom mojej partii w Krakowie i Wrocławiu i nie zechcą one zmienić formuł „Zdania" i „Odry"...

TOMASZ SAS

Minął tydzień

„DZIENNIKOWI ŁÓDZKIEMU" STUKNĘŁO 40 LAT

— a dokładnie 1 lutego, tego bowiem dnia w 1945 roku ukazał się pierwszy numer tej najstarszej gazety Łodzi. Właśnie przed kilkoma dniami redakcji „DŁ" udało się zakupić ten historyczny egzemplarz na łódzkiej aukcji antykwarycznej...

Uroczystość jubileuszowa odbyła się 2 lutego w salach Muzeum Historii Miasta Łodzi. Wzięli w niej udział m. in. I sekretarz KW PZPR w Sieradzu Janusz Urbaniak, sekretarz KŁ PZPR Andrzej Hampel, sekretarz KW PZPR w Piotrkowie Karol Sękowski, sekretarz KW PZPR w Skierniewicach Krzysztof Kiem, przewodniczący Rady Narodowej miasta Łodzi Mieczysław Serwiński, prezydent Łodzi Józef Niewiadomski, przedstawiciele Wydziału Prasy, Radia i Telewizji KC PZPR, Zarządu Głównego RSW „Prasa — Książka — Ruch" oraz redaktorzy naczelni pozostałych łódzkich gazet, ośrodka telewizyjnego i rozgłośni radiowej.

Zasłużeni pracownicy redakcji otrzymali odznaczenia państwowe. Krzyżem Oficerskim Orderu Odrodzenia Polski udekorowany został redaktor naczelny „DŁ" Henryk Walenda. Krzyże Kawalerskie Orderu Odrodzenia Polski otrzymali — Jadwiga Kwinkowska, Jerzy Kraskowski i Bronisław Płuciennik. Złote Krzyże Zasługi — Renata Sas, Jerzy Klima, Krystyna Olejnik i Wiesław Wróbel, Srebrne Krzyże Zasługi — Zofia Gutman i Longina Kryszkowska. Brązowy Krzyż Zasługi otrzymał Jacek Michalak, Anieli Kulpińskiej, Alinie Poniatowskiej, Jerzemu Stefce, Edmundowi Tulce i Mieczysławowi Jagoszewskiemu wręczono Medale 40-lecia PRL.

Uroczyste spotkanie jubileuszowe uświetnione zostało koncertem w wykonaniu poznańskiej Orkiestry Kameralnej pod dyrekcją Agnieszki Duczmal. Wieczorem zaś (i w nocy) w salach recepcyjnych hotelu „Grand" odbył się tradycyjny jubileuszowy bal „Dziennika" — „ozdobiony" m. in. pokazem mody „Juventusu", wspaniałymi kreacjami pań, wytwornym choć skromnym menu, dobrze zaopatrzonym barem i niezłą orkiestrą.

Przyjaciołom i kolegom z „Dziennika Łódzkiego" życzymy następnych, równie wspaniałych czterdziestek — ku satysfakcji czytelników i chwale naszego zawodu.

SEJM PRL PRACOWICIE ZAKOŃCZYŁ JESIENNĄ SESJĘ

31 stycznia, uchwalając ustawy — o drobnej wytwórczości, która zamyka wreszcie okres sporów i prawnego zamętu wokół tej ważnej dziedziny gospodarki; o zapobieganiu narkomanii, która wprowadziła szeroko zakrojony system leczenia, zapobiegania i rehabilitacji oraz reglamentacji upraw maku; o znakach towarowych; o ustanowieniu tytułu honorowego „Zasłużony Energetyk PRL" i ustawę o nowelizacji ustawy o tzw. przedsiębiorstwach polonijnych.

GUS OGŁOSIŁ KOMUNIKAT

o wynikach gospodarczych, uzyskanych w roku 1984. Wynika z niego, że dochód narodowy wzrósł o ponad 5 proc., jest jednak nadal niższy od najwyższego dochodu w 1978 roku o około 14 proc. — warto jednak pamiętać, że wtedy znaczna część tego dochodu pochodziła z kredytów. Ponadplanowo wzrosły dochody i wydatki ludności — przychody były wyższe o 19,6 proc., a wydatki o 21,2 proc. niż w roku 1983. Wykonaliśmy — z nadwyżką 0,8 proc. — plan produkcji sprzedanej, wzrosła o 5,9 proc. wydajność pracy.

31 grudnia 1984 roku było nas 37,1 milionów — spadł nieco przyrost naturalny i liczba zawartych małżeństw. Wzrosła natomiast liczba obywateli w wieku przed- i poprodukcyjnym, czyli dzieci i emerytów.

VICESEKATOR

Ważna wizyta

W ubiegłym tygodniu przebywała w Polsce delegacja pisarzy radzieckich. Nie byłoby w tym nic szczególnego — wizyty pisarzy radzieckich u nas, a naszych w ZSRR są czymś naturalnym i datują się od kilku dziesięcioleci — gdyby nie ranga przybyłych gości: byli to przedstawiciele władz najwyższych Związku Pisarzy ZSRR. Przyjechali, by podpisać ważną, a dotyczącą dalszej rozszerzonej współpracy, umowę pomiędzy Związkiem Literatów Polskich, a Związkiem Pisarzy ZSRR. Z naszej strony parafowała ją **HALINA AUDERSKA** — prezes ZG ZLP, natomiast ze strony radzieckiej swój podpis złożył Sekretarz Związku Pisarzy ZSRR **JURIJ SUROWCEW**. Nie miejsce tu, by rozwodzić się o tym — istotnym dla obu organizacji pisarskich — dokumencie. Jako novum w dotychczasowych kontaktach należy wszakże odnotować znamienny fakt: Instytut Literacki im. Gorkiego w Moskwie będzie przyjmować na dwu- i czteroletnie studia pisarzy z Polski! (Na marginesie dodam, iż wszyscy wybitni prozaicy i poeci ZSRR są absolwentami tej uczelni).

W czasie pobytu w Polsce pisarze radzieccy odwiedzili Poznań i Łódź. Gościliśmy wspomnianego już JURIJA SUROWCEWA — krytyka literackiego oraz BORYSA SAGIENKO — sekretarza Zarządu Związku Pisarzy Białorusi (siedziba Związku mieści się w mińskim domu Wańkowiczów) i ALEKSANDRA ŁAZUTKINA — kierownika Działu Zagranicznego Związku Pisarzy ZSRR. W czasie spotkania w Łódzkim Oddziale ZLP i w Wydawnictwie Łódzkim wiele mówiono o związkach obu narodów i kultur, o kontaktach osobistych pisarzy, o przekładach, o książkach. Nie jest tajemnicą, że kontakty pomiędzy pisarzami z reguły są udziałem pisarzy starszych wiekiem, ludzi z określonym dorobkiem twórczym, natomiast młodzi, którzy dopiero „wchodzą" do literatury pozostają z boku. Jest to poważne niedopatrzenie. To „międzynarodowe wychowanie" należy nadrobić i to dość szybko. Kontakty pisarzy nie ograniczają się bowiem wyłącznie do środowisk literackich, lecz obejmują także robotników, rolników, inteligencję. Wszystko to — bezpośrednio lub pośrednio — znajduje odbicie w wierszach, prozie, reportażach i publicystyce. Ma także znaczący wpływ na prace translatorskie. Szczególnie Łódź, nazywana „zagłębiem tłumaczy" ma w tym zakresie niezaprzeczalne zasługi. Dlatego właśnie w łódzkiej oficynie wydawniczej ukazują się przekłady książek autorów z zaprzyjaźnionych z naszym miastem republik radzieckich i zbiory antologii poświęconych narodom ZSRR. Z kolei w Związku Radzieckim są wydawane zbiory poetyckie i dzieła prozatorskie naszych autorów.

Myślę, że wizyta, o której tu mówiłem, jest wymownym świadectwem dobrze pojmowanego partnerstwa obu naszych sąsiedzkich kultur.

E. IW.

Styczeń, luty 1905 roku (2)

Zamarło życie w mieście

LUCJUSZ WŁODKOWSKI

6. NAPŁYWAŁY MELDUNKI

Od 17 stycznia 1905 roku strajkowali robotnicy fabryki Karola Steinerta.

Wiadomości o „Krwawej niedzieli" dotarły do Łodzi w kilka dni. 26 stycznia do starajkujących robotników fabryki Karola Steinerta dołączyli inni. Oblicza się, że tego dnia strajkowało w Łodzi 6 tysięcy osób.

27 stycznia 1905 roku zaczął się w Łodzi strajk powszechny. Tego dnia porzuciło pracę 70 tysięcy ludzi. Również w okolicznych miastach i wsiach porzucono pracę. Naczelnik powiatu łódzkiego W. Michniewicz meldował tego dnia, iż *„dziś we wszystkich fabrykach i browarach w okolicach m. Łodzi w gminach Radogoszcz i Chojny powierzonego mej opiece powiatu zaprzestano pracy..."* Robotnicy domagali się 8-godzinnego dnia pracy i podwyżki płac od 15 do 20 kopiejek za godzinę. Później żądania te rozszerzono.

Z raportów policyjnych dość dokładnie widać, jak kształtowała się sytuacja srajkowa w Łodzi. Nie znano jeszcze wówczas strajku okupacyjnego. Po prostu przerywano pracę i opuszczano fabrykę. Wszyscy wychodzili na ulicę, szli na wiec, albo do innych fabryk, gdzie wzywali tamtejszych robotników do przerwania pracy.

28 stycznia 1905 roku o godzinie 15.00 przybyli do warsztatów kolejowych na stacji Widzew robotnicy ze strajkujących łódzkich fabryk i zażądali od robotników kolejowych pracujących w warsztatach, aby też porzucili pracę i dołączyli do strajkujących. Co też robotnicy kolejowi zrobili. Warsztaty zostały uporządkowane i zamknięte. Podobnie było na łódzkim odcinku Warszawsko-Wiedeńskiej Kolei Żelaznej. Robotnicy obeszli wszystkie miejsca pracy kolejarzy i zmusili ich do przerwania pracy.

Wezwania do udziału w strajku przyjmowano bardzo różnie. Nie wszyscy i nie zawsze chcieli godzić się na przerwanie pracy. Wielu bało się późniejszej zemsty fabrykantów, utraty pracy, o którą przecież nie było tak łatwo. Również świadomość klasowa robotników była niejednakowa. Na robotników oddziaływały różne siły polityczne. Stąd też niektórych trzeba było do udziału w strajku przymuszać.

28 stycznia 1905 roku wieczorem przebywający w Łodzi gubernator piotrkowski Michaił Arcimowicz depeszował do Warszawy:

„Położenie staje się coraz poważniejsze, tłum nieustannie chodzi po ulicach żądając zamknięcia restauracji, kawiarni i innych zakładów."

Zażądano również zamknięcia restauracji w Grand Hotelu, gdzie przebywał gubernator M. Arcimowicz i zbierali się łódzcy fabrykanci. Wyjednano u robotników, że restauracja ta będzie pracowała tylko na potrzeby gości hotelowych. A kiedy robotnicy wyszli z Grand Hotelu, wypadł za nimi łódzki policmajster, Ilarion Chrzanowski i bił ludzi nahajką. Towarzyszący mu żołnierze tłukli przechodniów kolbami karabinów.

Tego samego dnia tuż przed północą gubernator M. Arcimowicz ponownie depeszował do Warszawy:

„...dziś w fabrykach pracy nie wznowiono, tam gdzie zaczynano pracować zjawiały się gromady strajkujących żądając zaprzestania robót, ruch tramwajów elektrycznych ustał wskutek gróźb zdemolowania wagonów, robotnicy gromadzą się miejscami, ale zaburzeń ulicznych na razie nie ma, szynki zamknąłem."

Robotnicy chodzili ulicami i śpiewali pieśni rewolucyjne. Ulicą Długą (Gdańska) przeszedł dziesięciotysięczny pochód. Wznoszono okrzyki: *„Niech żyje Zgromadzenie Konstytucyjne!"*, *„Niech żyją rosyjscy robotnicy!"*, *„Niech żyje strajk powszechny!"* Wiece i pochody odbyły się na ulicy Piotrkowskiej, Górnym Rynku (Plac Władysława Reymonta), Zarzewskiej (Stefana Przybyszewskiego), na Nowym Rynku (Plac Wolności).

7. NA POCZĄTKU BYŁO SPOKOJNIE

Partie polityczne, które usiłowały objąć kierownictwo nad żywiołowo narastającym strajkiem, starały się, aby miał on charakter manifestacji politycznej, żeby nie doszło do zwyczajnych rozruchów.

„Z całych sił starać się będziemy — pisano w korespondencji z Łodzi w „Z pola walki" — *aby strajk powszechny nosił charakter manifestacyjny i nie przeobraził się w zwyczajny rozruch. Ale faktem jest, że nad umysłami robotniczymi, ba, nad umysłami całej Łodzi panuje wypadki w Rosji. Więc choć kierownictwo może się nam z rąk usunąć, ale duch socjaldemokracji panuje nad całą Łodzią robotniczą — duch wspólności naszej w całej Rosji."*

Gubernator M. Arcimowicz zapewniał gen. gubernatora M. Czertkowa w Warszawie, że *„zaburzeń ulicznych na razie nie ma"*, ale łódzcy fabrykanci byli innego zdania. W depeszy do tegoż generał gubernatora M. Czertkowa pisali:

„Robotnicy w pojedynczych wypadkach wdarli się do prywatnych mieszkań fabrykantów domagając się podwyżki płacy o dziesięć do trzydziestu procent, co spowodowałoby zupełną ruinę fabrykantów i zniszczenie tutejszego przemysłu, panuje całkowita samowola strajkujących".

W Łodzi zamarło życie. Zamknięte były fabryki, nie ukazywały się gazety, zamknięte cukiernie, restauracje, szynki, stały tramwaje. Wszystkie ważniejsze instytucje obsadziło wojsko: cyrkuły policyjne, magistrat, banki, centralę telefoniczną, dworce, monopol, pocztę. Wojsko obsadziło także hotele. W Grand Hotelu, gdzie rezydował gubernator M. Arcimowicz porządku pilnowała 4 rota 21 Muromskiego Pułku Piechoty. Jak później obliczył gubernator M. Arcimowicz i przekazał w raporcie imperatorowi Mikołajowi II do Łodzi przybyło wojsko w sile 3 100 bagnetów i 670 szabel.

Sytuacja w mieście była bardzo poważna. Strajk objął wszystkie dziedziny życia, a miasto mimo strajku musiało funkcjonować. Do oświetlania ulic, bram, sklepów i mieszkań potrzebny był gaz. Ale robotnicy gazowni zastrajkowali. Gazownie obsadziło wojsko. Żołnierze nie umieli jednak obsługiwać urządzeń gazowni. 30 stycznia 1905 roku wieczorem robotnicy przypuścili szturm do gazowni obsadzonej przez 16 rotę Tomskiego Pułku Piechoty. Na odsiecz piechocie przybyli kozacy. Szturm się nie udał. Wojsko pozostało w gazowni. Ale to problemu nie rozwiązało. Dlatego 2 lutego w nocy wojsko aresztowało w domach robotników gazowni i zmusiło ich do obsługiwania urządzeń. Przed gazownią wywieszono ostrzeżenie, że do każdego, kto będzie się zbliżał do gazowni żołnierze będą strzelali bez uprzedzenia.

Strajkujący pozwolili piekarzom piec chleb ale zabronili brać zań więcej niż brano przed strajkiem. Kilku nieuczciwych piekarzy nie usłuchało strajkujących i zaczęło pobierać wyższe ceny za chleb. Sprawiono im tęgie lanie. Zwrócili swoim klientom pobrane pieniądze i już nie próbowali więcej spekulować. Przykład ten podziałał na wszystkich.

8. OSTRZEŻENIE

Policja carska miała stare „wypróbowane" metody. Gdy tylko gdzieś rodziły się niepokoje, namawiała do ...bicia Żydów. Metodę tę próbowano zastosować również w Łodzi 29 stycznia 1905 roku na skrzyżowaniu ulic Południowej (Rewolucji 1905 roku i Widzewskiej (Jana Kilińskiego) rewirowy jawnie namawiał do bicia Żydów. W tej części miasta mieszkało akurat dużo Żydów. Tegoż dnia na Nowym Rynku (Plac Wolności) nieznany agitator opowiadał jak to Żydzi pobili księdza i trzeba się za to na nich zemścić. Ale słuchający go ludzie zamiast bić Żydów zbili agitatora. „Wypróbowana" metoda w Łodzi nie chwyciła. Trzeba było szukać innych sposobów uśmierzenia rozruchów i niepokoi. 30 stycznia 1905 roku gubernator M. Arcimowicz wydał odezwę do robotników. W Łodzi i guberni piotrkowskiej ogłoszono stan wzmocnionej ochrony.

Odezwę rozlepiono 31 stycznia 1905 roku. M. Arcimowicz pisał w niej:

„Robotnicy! przystępujcie bezwłocznie do pracy, zajmijcie się właściwymi swoimi obowiązkami; niepotrzebnym wałęsaniem się po ulicach wy nic nie osiągniecie, a uporczywie trwając w bezrobociu, gubicie siebie i własne rodziny. Zastanówcie się nad losem swoich dzieci, którym wkrótce może zabraknąć chleba, a odpowiedzialność za ich męczarnie, a może i śmierć, spadnie tylko na was. Nie słuchajcie podżegaczy, mających rozmaite widoki w namawianiu was do bezrobocia i do stawiania wygórowanych żądań, na jakie ani jeden właściciel fabryki zgodzić się nie może nie naraziwszy się na zupełną ruinę, a ruina fabrykanta pociąga za sobą klęskę licznych setek, a nawet tysięcy robotników. Zechciejcie zrozumieć, że wasze osobiste interesy ściśle łączą się z interesami fabrykantów i przemysłowców. Jeżeli powrócicie do pracy w warunkach zwyczajnych, to nie ulega wątpliwości, że w najbliższej przyszłości rząd i sami fabrykanci przyczynią się do możliwego polepszenia waszego bytu i ulżenia waszego położenia".

Był to — jak widać — dość zwięzły wykład idei solidaryzmu klasowego. Ale M. Arcimowicz na tym nie poprzestał. Ostrzegł również strajkujących, że jeśli nie pójdą na lep jego solidaryzmem klasowym ociekających propozycji, to może też postąpić inaczej.

„Siłą wy nic nie zyskacie — pisał dalej w odezwie — *wszelki gwałt będzie tłumiony orężem. Liczba wojsk w m. Łodzi i jego okolicach powiększona została o tyle, że wszelkie próby zakłócenia spokoju publicznego niezwłocznie będą poskromione. Nie zmuszajcie władz do uciekania się do ostatecznych środków. Wojska bez zaczepki z waszej strony nie użyją broni, lecz pamiętajcie, że skoro tylko rozpoczniecie gwałty lub napady, wojska nie zawahają się, a wówczas może być dużo ofiar i nieszczęśliwych. Wina zaś za wszystkie te nieszczęścia, powtarzam, spadnie tylko na was".*

Odezwa drukowana była w trzech językach: rosyjskim, polskim i niemieckim. Ale nim 31 stycznia rozplakatowano już byli ranni i pobici. Żołnierze wpychali do bram przechodniów i bili, kawalerzyści wjeżdżali pomiędzy ludzi i bili ich szablami, a kozacy nahajkami. „Z pola walki" donosiło, że na ulicy Piotrkowskiej żołnierze pobili księgarza Wagnera i jego żonę. 30 stycznia przed Grand Hotelem spacerowały grupki uczniów. Z hotelu wypadł policmajster Ilarion Chrzanowski i wołał do żołnierzy:

— *Biejtie uczennikow, eto jazwa!* (Bijcie uczniów, to zaraza!).

Tego dnia doszo do starcia demonstrantów z wojskiem na ulicy Ogrodowej. Był jeden ranny.

Nim więc wezwania i ostrzeżenia gubernatora M. Arcimowicza dotarły do łodzian, policja i wojsko pokazały już, co potrafią, a to było tylko ostrzeżenie.

9. ŻĄDANIA

Czego domagali się strajkujący robotnicy Łodzi w styczniu i lutym 1905 roku? Odpowiedź na to daje odezwa Łódzkiego Komitetu PPS. Miała ona uporządkować i ujednolicić robotnicze żądania. A więc Łódzki Komitet PPS stwierdzał, iż:

„...trzeba się domagać:

1. ośmiogodzinnego dnia roboczego;

2. niezwłocznego wznowienia robót publicznych dla wszystkich pozostających bez pracy, bez różnicy wyznania;

3. minimum płacy zarobkowej: dla mężczyzn 20 kopiejek, dla ich pomocników 15 kop. za godzinę;

4. zniesienia płacy akordowej;

5. kontroli robotników nad mianowaniem majstrów, nad pomocą lekarską, higienicznymi warunkami pracy, nad kasami;

6. zabezpieczenia na starość;

7. zniesienia rewizji;

8. usunięcia policji z fabryk".

W miarę trwania strajku robotnicze żądania rozszerzano. Uzupełniono je później o inne. Domagano się:

— *rozszerzenia opieki lekarskiej na robotnicze rodziny,*

— *zaprzestania badań kobiet przez mężczyzn przy przyjmowaniu do pracy,*

— *zagwarantowania nietykalności robotniczym delegatom,*

— *założenia w fabrykach szkół zawodowych, ochronek dla dzieci i bibliotek;*

— *wprowadzenia ubezpieczeń robotników.*

Do żądań tych dochodziły jeszcze żądania polityczne. SDKPiL domagała się wprowadzenia w Rosji konstytucji i republiki, w ramach której ziemie polskie otrzymałyby autonomię. PPS natomiast domagała się zwołania sejmu krajowego w Warszawie, który wypowiedziałby się za pozostaniem w ramach Rosji i uzyskaniem autonomii, czy też za pełną niepodległością. To pierwsze rozwiązanie nie cieszyło się w PPS zbytnią popularnością. Za zwołaniem sejmu krajowego w Warszawie opowiedział się VII Zjazd PPS, który obradował w Warszawie od 5 do 7 marca 1905 roku.

10. NARADA W GRAND HOTELU

Początkowo fabrykanci byli gotowi spełnić robotnicze żądania. 6 lutego Karol Scheibler powiadamiał władze carskie, że w jego fabrykach opieka lekarska zostanie rozciągnięta na robotnicze rodziny, badania nowo przyjmowanych kobiet będą przeprowadzały kobiety, również kobiety będą rewidowały pracownice, zwiększona zostanie liczba oddziałów w przyfabrycznej szkole, chorym robotnikom będzie wypłacana połowa zarobku, a czynsz w fabrycznych domach zostanie obniżony o 25 procent.

Karol Scheibler zwracał uwagę, że *„skrócenie czasu pracy do 10 godzin przy pozostawieniu tej samej normy wynagrodzenia, jaką robotnicy otrzymywali przy poprzednim normalnym 11,5-godzinnym dniu, spowoduje samo przez się podwyżkę płac o 15 procent"*. Mimo tych wszystkich zapewnień i obietnic strajk trwał nadal.

Fabrykanci — jak już wspominałem — od samego początku zbierali się w Grand Hotelu, gdzie rezydował gubernator piotrkowski M. Arcimowicz. Obradowano niemal stale, ale też odbywały się narady w szerszym gronie, bardziej formalne, których przebieg relacjonowała prasa. Od 3 lutego 1905 roku zaczął ukazywać się „Goniec Łódzki" i „Neue Lodzer Zeitung". Jedna taka narada odbyła się 7 lutego 1905 roku. Przewodniczył jej Juliusz Kunitzer. Na tej naradzie postanowiono skrócić czas pracy do 10 godzin i podnieść płace od 5 do 15 procent.

Druga narada odbyła się 10 lutego 1905 roku. Również przewodniczył Juliusz Kunitzer. O przebiegu tej narady szeroko pisała łódzka prasa. Przywiązywano do niej duże znaczenie. Miała uspokajająco wpłynąć na robotnicze nastroje. Podtrzymano poprzednie ustalenia co do czasu pracy. Miał on wynosić 10 godzin. Postanowiono podnieść płace wyżej niż ustalono poprzednio. I tak, ci którzy zarabiali tygodniowo do 3 rubli mieli dostać 15 proc. podwyżki, do 4 rubli — 12 proc., do 5 rubli — 10 proc., do 7 rubli tylko 5 proc. podwyżki. Tkaczom pracującym na akord obiecano 15 proc. podwyżki.

Decyzje te miały obowiązywać we wszystkich fabrykach Łodzi, Tomaszowa Mazowieckiego, Pabianic i Zgierza. Z decyzji tych wycofano się jednak na podobnej naradzie w Grand Hotelu 20 lutego 1905 roku. Ale to już był inny etap walki robotniczej. Domagano się wtedy zapłaty za kolejne dni strajku, bo fabrykanci 1 lutego 1905 roku — nim się połapali, co robią — zapłacili za pierwsze 3 dni strajku. Inna też była sytuacja na ulicach i w fabrykach Łodzi. Padły strzały, polała się krew. Byli zabici i ranni.

C.D.N.

Dla wszystkich i dla najlepszych

Pomysł był prosty. Zebrać w jednym miejscu działaczy PZPR i SD i podyskutować o sposobach realizacji demokracji w państwie socjalistycznym. Siedli więc wszyscy za dwoma stołami i zaczęła się dyskusja. Jak zwykle na początku szło ciężko, bo i temat szeroki i zawsze na początku trudno zabierać głos, każdy chciałby mówić po innych, aby wiadomo było dokładniej o czym ma być dyskusja. Z tego to powodu w zasadzie dyskutowano o demokratyzacji oświaty i kultury, a szerzej w ogóle o stanie oświaty. Były wprawdzie próby skierowania dyskusji na inne tory, jak choćby zainteresowanie zebranych przebiegiem konsultowania projektu ordynacji wyborczej, co przecież jest sprawą niebagatelną.

Sposób wybierania posłów ma kapitalne znaczenie dla kształtu przyszłego Sejmu. Zwrócono uwagę, że jest małe zainteresowanie projektem ordynacji wyborczej. Być może bierze się to stąd, że z dużą żarliwością i emocjami dyskutuje się obecnie nad przyszłymi podwyżkami cen. Co bardziej absorbuje, co ma wymiary konkretnej przyszłości, widzianej poprzez pryzmat domowego budżetu i zarobków. Ale też nie można lekceważyć kształtu ordynacji wyborczej. Z dotychczasowych wniosków, jakie napływają do punktów konsultacyjnych wynika, że zwraca się szczególną uwagę na tajność wyborów oraz ich równość. Zgłasza się propozycje wprowadzenia alfabetycznego zapisu nazwisk kandydatów na liście, jak też rezygnację z miejsc mandatowych na korzyść obowiązku dokonania wyboru między zgłoszonymi i umieszczonymi na liście kandydatami. Jest więc o czym dyskutować. A to nie są wszystkie sprawy, które wiążą się z projektem ordynacji wyborczej.

Problemy wyborów i doskonalenie prawa były jakby pobocznym nurtem dyskusji. Jej główny nurt — to sprawy oświaty. Słusznie bowiem podkreślano, że siła państwa i przyszłość narodu zależą od sprawności i skuteczności działania systemu oświatowego. Powoływano się nawet na przykłady historyczne. Ale wszystkich najbardziej niepokoiła sytuacja tak materialna, jak i idowa oświaty. Obowiązkiem państwa jest zagwarantować wszystkim jednakowy dostęp do oświaty i nauki. Tymczasem występują różne bariery, które ten dostęp różnicują.

Nie ulega wątpliwości, że jedną z takich barier jest poziom szkoły, którą opuszcza absolwent. Niektórzy uważają, że również lokalizacja szkoły ma swoje znaczenie. Lepsze szkoły są w dużych miastach, gorsze w mniejszych. Dane zaczerpnięte z wyników egzaminów na wyższe uczelnie tego nie potwierdzają. Istnieje na przykład duże zróżnicowanie poziomu nauczania w szkołach łódzkich i nie zależy to od miejsca, w którym się szkoła znajduje, a od poziomu i przygotowania nauczycieli, od sposobu nauczania. Były kiedyś szkoły z marką. Ich absolwentów chętnie widziano na wyższych uczelniach, bo gwarantowali swoim poziomem wiedzy dobre wyniki w studiach. Były też różnice wśród uczelni. Niegdyś pytano o uczelnię, którą kończył absolwent, bo od niej zależała wiedza inżyniera czy magistra. Dziś pyta się tylko o dyplom, bo trzeba go załączyć do akt. Zniknęło pojęcie mistrza i ucznia. Średniactwo i nijakość coraz silniej święcą triumfy.

Nie możemy zatem zrezygnować z zapewnienia wszystkim równego startu do nauki, z obowiązku nauki na poziomie podstawowym i upowszechnienia szkoły średniej, ale jednocześnie musimy stworzyć możliwości kształcenia najlepszym, najzdolniejszym. Oni bowiem będą decydowali o przyszłości i w przyszłości o poziomie świadomości społecznej Polaków, o nauce, kulturze, sztuce. Demokratyzacja oświaty polega na stwarzaniu takich samych warunków dla wszystkich, ale nie może doprowadzić do marnowania talentów.

Jak wynika z przedstawionych danych na studia wyższe dostaje się co 4 absolwent pochodzenia inteligenckiego, co 12 robotniczego i co 85 chłopskiego. Te dysproporcje są krzywdzące dla tych środowisk, ale też mają swoje określone przyczyny. W liceach ogólnokształcących 70 proc. maturzystów chce dalej studiować, w technikach zawodowych — 30 proc. Dlaczego?

Wiedza przestała być wartością atrakcyjną. O poziomie życia współczesnego Polaka nie decyduje poziom wiedzy, wykształcenia, umiejętności. Rektorzy wyższych uczelni znajdują się gdzieś na 9 miejscu na listach płac, wyprzedzają ich palacze, rzemieślnicy i przedstawiciele innych zawodów, też przecież uczelni potrzebnych, pożytecznych. Ale ich płaca nie zależy od stopnia odpowiedzialności. Często doraźna potrzeba decyduje o wysokości płacy danego pracownika.

Brak właściwej hierarchii w systemie płac deprecjonuje naukę, kulturę i oświatę. Taki system wszakże kształtował się latami i nie można go dziś zmienić jednym postanowieniem Sejmu czy ministerstwa oświaty. Musi to być proces przywracania istotnym wartościom ich miejsca i roli w życiu narodu. Taki proces musi się zacząć, jeśli chcemy nie tylko dogonić innych w dokonującym się rozwoju cywilizacji, ale dotrzymywać im w przyszłości kroku.

LUCJAN BOGUSZ

Kogo stać na wyższe ceny

TERESA JERZYKOWSKA

Nie brak w kraju — także i w Łodzi — ludzi, dla których zwiększenie comiesięcznych wydatków o tysiąc, dwa czy nawet pięć tysięcy złotych nie stanowi żadnego problemu — nawet i wtedy, gdy owe pięć tysięcy trzeba będzie pomnożyć przez liczbę osób w rodzinie. Członkowie tej grupy ludzi o najwyższych dochodach bardzo chętnie zwiększyliby swe wydatki, pod warunkiem jednak, że nastąpiłoby to na drodze nabywania większej niż dotychczas ilości i lepszych towarów — zarówno spożywczych, jak i przemysłowych. Ale także i oni bez entuzjazmu odnoszą się do faktu, że już za parę tygodni wydatki wzrosną — mimo nie zmienionej wielkości zakupów podstawowych artykułów spożywczych.

Z tym większą obawą oczekują kolejnej podwyżki wszyscy pozostali — a więc zdecydowana większość obywateli, dla których kilkusetzłotowe zwiększenie wydatków jest już poważnym, odczuwalnym obciążeniem rodzinnego budżetu. Tym niemniej sporo ludzi — mimo oczywistej niechęci do podwyżek — rozumie ich konieczność i nieuchronność.

Czy będzie to wariant pierwszy, drugi czy trzeci? O tym zadecydują konsultacje. Niektórzy — traktując to jako żart lub też wyraz braku zaufania do rządu — stwierdzą, że z pewnością przyjęty zostanie wariant czwarty. I — jak sądzę — właściwie oni są najbliżsi prawdy. Można bowiem przypuszczać, że ostatecznie zatwierdzone i wprowadzone w życie zmiany cen oraz zasad reglamentacji stanowić będą jakąś wypadkową pomiędzy przedstawionymi obecnie propozycjami, a wnioskami i uwagami wynikającymi ze społecznej konsultacji.

O ich przebiegu szeroko i na bieżąco informuje codzienna prasa, przytaczając zróżnicowane opinie i propozycje przedstawicieli różnych grup społecznych ludności. My natomiast chcielibyśmy zaprezentować czytelnikom sytuację w jakiej decyzja o podwyżkach cen zastanie mieszkańców naszego województwa.

Zacznijmy więc od zarobków, stanowiących bądź co bądź podstawę nie tylko egzystencji — ale także punktu wyjścia do rozważań o cenach i możliwościach ich podnoszenia. W ciągu ubiegłego roku przychody pieniężne z tytułu wynagrodzeń za pracę systematycznie rosły. W całym kraju wzrost ten wyniósł (według danych za 12 miesięcy roku ubiegłego) 19,4 proc., w województwie łódzkim był natomiast o blisko 2 punkty niższy — wynosił 17,5 proc. Tak więc dysproporcje między Łodzią a tradycyjnie już bardziej zamożnymi regionami kraju w roku ubiegłym pogłębiły się. Widać to także wyraźnie w liczbach bezwzględnych, obrazujących zarobki w czterech podstawowych gałęziach gospodarki narodowej.

I tak przeciętne wynagrodzenie wraz z rekompensatami i wypłatami z zysku wynosiło w całym kraju 18.974 zł. Na wysokość tej sumy niebagatelny wpływ ma przemysł wydobywczy (średnio 33 tys. zł miesięcznie). Bez jego uwzględnienia, średnie wynagrodzenie w pozostałych dziedzinach przemysłu wynosiło 16.972 zł i było o 217 zł wyższe od wynagrodzenia uzyskiwanego w przemyśle łódzkim. Jest to ilość pozornie niewielka, w praktyce oznacza jednak, że wśród rodzin robotników znacznie częściej niż w innych regionach kraju spotyka się ludzi borykających się z trudnościami bytowymi. Zapewne niższe średnie wynagrodzenie w przemyśle łódzkim — które zresztą w porównaniu z r. 1983 wzrosło o 20% — wynika z jego struktury — przeważa przemysł lekki, zatrudniający większość kobiet. Wśród pozostałych regionów kraju województwo łódzkie znalazło się aż na trzydziestym pierwszym miejscu.

Nie lepiej przedstawia się sytuacja w dwu pozostałych gałęziach gospodarki. W budownictwie średnie wynagrodzenie dla województwa łódzkiego jest niższe od średniej krajowej o 638 zł i wynosi 17.779 zł (o 22,8 proc. wzrosło w porównaniu do roku 1983), w transporcie — o 402 zł i wynosi 15.390 (o 15,7 proc. więcej niż w r. 1983).

Jedyny pozytywny wyjątek stanowi handel i usługi, gdzie łodzianie (a właściwie łodzianki, bowiem jest to w znacznym stopniu sfeminizowana dziedzina) zarabiali o 881 zł więcej, niż — średnio — w kraju (o 19,2 proc. więcej niż w r. 83) co wiąże się z faktem, iż w wielu województwach na zmniejszenie tej kwoty wpłynął znacznie większy niż w województwie łódzkim udział handlu wiejskiego, którego pracownicy są przeważnie gorzej wynagradzani.

Pieniędzy w minionym roku przybyło więc wszystkim — choć znacznie mniej niż moglibyśmy sobie życzyć, zwłaszcza w Łodzi, nie znaczy to jednak, że sytuacja większości rodzin poprawiła się na tyle, aby bez niepokoju oczekiwać kolejnych podwyżek. Wraz ze wzrostem przychodów rosły bowiem i wydatki. W roku ubiegłym tempo wzrostu wydatków — podobnie zresztą jak w latach 1983 i 1982 — było wyższe niż tempo wzrostu przychodów i wynosiło 21,2 proc. w skali całego kraju oraz nieco mniej — równe 21 proc. — w województwie łódzkim. W tym samym czasie następował spadek tempa przyrostu wkładów oszczędnościowych, gromadzonych w PKO.

W cenach porównywalnych wydatki mieszkańców woj. łódzkiego wzrosły w roku ubiegłym o ok. 9 proc., zmieniła się również nieco ich struktura: na towary nieżywnościowe wydaliśmy 55,2 proc. (w r. 1983 — 52,9 proc.), na alkohol natomiast — 13,1 proc. (w r. 1983 — 16 proc.). Na prawie nie zmienionym poziomie utrzymują się natomiast wydatki na żywność — 31 proc. (o 0,1 proc. mniej niż w 1983).

Tak więc rok ubiegły — choć rosła produkcja, zwiększały się dostawy towarów na rynek i zachodziły inne, pozytywne zjawiska w gospodarce narodowej, niewątpliwie bardzo ważne dla dalszych losów całego społeczeństwa — z punktu widzenia pojedynczego statystycznego obywatela do najlepszych nie należał: wpływy co prawda rosły, ale jeszcze szybciej rosły wydatki, malały oszczędności.

Oczywiście istnieją rozmaite możliwości zrównoważenia budżetu w skali gospodarstwa domowego (i zapewne jest to działanie łatwiejsze, niż zrównoważenie budżetu państwa). Jedną z nich jest przede wszystkim ograniczenie wydatków, zwłaszcza na artykuły nieżywnościowe, drugiej i trzeciej potrzeby. Tego rodzaju działanie zastosowało zapewne w roku ubiegłym wiele kobiet, odpowiedzialnych za zorganizowanie możliwie najlepszych warunków życia rodziny w ramach posiadanych środków. Jednak jest wiele towarów — przede wszystkim spożywczych, choć nie tylko — z których zrezygnować się nie da, a jednocześnie zaopatrzenie naszych sklepów, wciąż nie jest na tyle dobre, aby wiele drogich produktów można było zastąpić tańszymi o zbliżonych wartościach i takim samym zastosowaniu. W efekcie koszty utrzymania w roku ubiegłym (dane za 10 miesięcy) znacznie wzrosły: średnio o 15,5 proc. dla wszystkich gospodarstw, w tym o 15,7 proc. dla gospodarstw pracowniczych i aż o 16,6 proc. dla gospodarstw emeryckich. Czyli najbardziej pogorszyło się — jak to przeważnie bywa — tym, którzy i tak mieli, łagodnie mówiąc, nie najlepiej.

Zapowiadana podwyżka cen nastąpi więc w okresie dość trudnym: postępującego nie tylko w grupach najniżej, ale również średnio a nawet trochę więcej niż średnio uposażonych — spadku poziomu życia. Oczywiście, również w tym roku wzrastać będą wynagrodzenia, nie w takim jednak tempie (a również w innym trybie, uzależnionym raczej od efektów pracy niż od decyzji rządu), jak miało to miejsce w latach poprzednich. Jednocześnie wzrosną i ceny — a tym samym i koszty utrzymania. Bez względu na przyjęty wariant podwyżek będzie to wzrost większy, niż podawane w zależności od wariantu — 183,40 zł, 191,79 zł bądź 214,29 zł na osobę. Wyliczenie oparte jest bowiem na normie kartkowej, dotychczas obowiązującej, a poza systemem reglamentacji jednocześnie zdrożeją przecież także i towary produkowane z mąki, kaszy, tłuszczów, mięsa i cukru — a więc całkiem pokaźna grupa podstawowych artykułów żywnościowych.

Uświadomienie sobie wszystkich oczekujących nas trudności nie powinno jednak w żadnym razie prowadzić do wniosku, że wobec tego cen nie należy — czy wręcz nie wolno podnosić. O konsekwencjach takiego rozwiązania, odczuwalnych dla całej gospodarki narodowej, a więc wcześniej czy później także dla poszczególnych obywateli, mówi się i pisze sporo, także uzasadniając korzyści i niedostatki proponowanych wariantów podwyżek cen.

Skoro już mimo uzasadnionej niechęci do podwyżek, w wielu przypadkach związanych — mimo rekompensat — z koniecznością znacznego obniżenia standardu życia, będziemy musieli pogodzić się z ich koniecznością — warunkiem ułatwiającym przystosowanie się do nowej sytuacji — jeśli nie materialnie, to przynajmniej psychicznie — byłaby poprawa zaopatrzenia, łatwiejsze niż dotychczas zakupy tych samych — lecz już droższych — artykułów, a także poprawa ich jakości, umożliwiająca lepsze niż dotychczas wykorzystanie.

Nie tylko jakość — w niektórych przypadkach wręcz skandaliczna — ale również ilość artykułów spożywczych, trafiających na rynek ciągle nie jest zadowalająca. Co prawda w roku ubiegłym prawie we wszystkich asortymentach nastąpił wzrost na łódzki rynek (dla przykładu — drobiu, podrobów i przetworów zjedliśmy 5877 ton, tj. o 32,7 proc. więcej niż w roku 1983, jaj o 7,5 proc. więcej czyli 147,5 mln sztuk, twarogów 7720 ton — o 23,3 proc. więcej), ale w niektórych grupach artykułów żywnościowych dostawy były niższe, niż w roku 1983. I tak mleka otrzymaliśmy 82,5 mln litrów, czyli o 5,9 proc. mniej, pieczywa 67751 ton — o 1,8 proc. mniej. Trzeba przy tym podkreślić fakt, że spadek ten nastąpił w roku nie notowanej dotychczas obfitości wyprodukowanego mleka i bardzo dobrego urodzaju zbóż.

Jeszcze gorzej przedstawia się sytuacja z mięsem. Ogółem (w ciągu 11 miesięcy ub. roku) województwo łódzkie otrzymało 46265 ton mięsa — o 3,7 proc. mniej niż w roku poprzednim, w systemie reglamentacji natomiast sprzedano 33.430 ton — o 4,9 proc. mniej. Biorąc pod uwagę, iż nie zmalała — a nawet nieznacznie wzrosła w tym czasie liczba obywateli uprawnionych do otrzymywania kart zaopatrzenia, jest to cyfra alarmująca, oznacza bowiem, że brak jest pełnego pokrycia na kartki. Co prawda niektórzy obywatele — zwłaszcza najubożsi — nie realizują w pełni swych kartkowych przydziałów, inni, zwłaszcza posiadający „zaplecze" w postaci rodziny na wsi, skąd można od czasu do czasu przywieźć schab lub cielęcinę, wykupują zamiast mięsa cukier, mimo to utrzymywanie się takiego trendu w zaopatrzeniu sklepów mięsnych grozi poważnym zwiększeniem utrudnienia i tak już najtrudniejszych zakupów. Na szczęście w żadnym z proponowanych wariantów podwyżek cen nie przewiduje się zmniejszenia reglamentacji mięsa.

Braki zaopatrzeniowe — o ile wraz z podwyżkami cen nie uda się ich w znacznym stopniu złagodzić, będą czynnikiem sprawiającym, iż w odczuciu poszczególnych rodzin wzrost kosztów utrzymania stanie się dotkliwiej odczuwalny.

Zgodnie z ustaleniami, przyjętymi w Centralnym Planie Rocznym wzrost cen w 1985 r. ma wynieść ogółem 12—13 proc. i w takim samym stopniu mają rosnąć płace — co globalnie dałoby efekt utrzymania stopy życiowej na niezmienionym poziomie. Jednak dla wielu mieszkańców naszego województwa realizacja tych założeń oznaczać będzie pogorszenie warunków życia. O ile bowiem wzrost cen będzie dla wszystkich jednakowy — to wobec istniejących, niekorzystnych różnic w wynagrodzeniach, wielu łodzian znajdzie się w sytuacji trudniejszej. Tak więc odpowiadając na tytułowe pytanie, na podwyżkę stać nas nieco mniej, niż mieszkańców wielu innych regionów kraju. Stąd sprawą niesłychanie ważną w naszym województwie będzie — nie tylko w roku bieżącym, ale także w latach następnych — przed kolejnymi podwyżkami cen, stworzenie warunków umożliwiających wszystkim zatrudnionym możliwości zwiększenia swoich dochodów poprzez tworzenie właściwych, zgodnych z nowymi zasadami wynagradzania, zakładowych systemów płac, uzależniających w sposób ścisły wysokość płacy od efektów pracy, a jednocześnie takie organizowanie produkcji, aby wszyscy, którzy chcą dobrze, wydajnie pracować, mogli tę chęć realizować bez przeszkód. Warto także w szerszym niż dotychczas zakresie korzystać i skuteczniej zachęcać ludzi do korzystania z rozmaitych niepełnoetatowych form zatrudnienia, co z jednej strony przyczyniłoby się do poprawienia nie najlepszej sytuacji kadrowej w wielu przedsiębiorstwach, z drugiej — umożliwiało poprawę budżetu nie tylko w rodzinach „wcześniejszych emerytów".

Domek z marzeń

Dokończenie ze strony 1

nych. Było ich już dwudziestu czterech, a więc dokładnie tylu, ile można było wybudować przy Rojnej segmentów-mieszkań.

Oficjalne pozwolenie na budowę otrzymali jesienią. Do pierwszych mrozów zdążyli jeszcze zrobić wykopy pod dwa bloki i w jednym z nich położyć fundamenty. Ziemię wybrały wynajęte koparki. Resztę prac ziemnych wykonano przy użyciu łopat. Pracami kierował zatrudniony na pół etatu emerytowany majster budowlany. (Później zastąpił go mąż jednej z członkiń spółdzielni, tyle że już społecznie).

W tym samym czasie studencka spółdzielnia mieszkaniowa przyjęła też do pracy kierowcę, który został jej członkiem, a który przede wszystkim miał jeździć zakupionym przez nią samochodem ciężarowym marki „Star" Dostali ten samochód z Urzędu Miasta za jedyne sześćdziesiąt kawałków. Tak tanio, bo — wrak do remontu. Ale zrobili remont i wrak nadal jeździ. Póki co.

* * *

Na krótko przed zarejestrowaniem spółdzielni w sadzie wiadomość o jej zawiązaniu została przekazana także na uczelnie. Oczywiście natychmiast znalazło się wielu chętnych, gotowych niemal od razu przystąpić do budowy. Wiadomo, wśród studentów i młodych absolwentów marzycieli nigdy nie brakuje, nawet gdy chodzi o stosunkowo kosztowne marzenia. Niestety, na razie segmentów-mieszkań miało być tylko dwadzieścia i cztery, a potem...

Na potem wymyślono Studencką Grupę Aktywności „Domek", do której zapisuje się wszystkich chętnych. Ich obowiązkiem jest spotykać się raz w miesiącu na zebraniach informacyjnych, a przede wszystkim — wspierać w miarę sił i możliwości działalność samej spółdzielni, której mogą zostać członkami. To bardzo ważna sprawa, bo przecież spółdzielnia jest zupełnie samodzielna i nikt za nią niczego nie załatwi: nie kupi potrzebnych materiałów budowlanych nie wynajmie dodatkowego samochodu, nie wypożyczy sprzętu, nie zdobędzie narzędzi... Dwudziestu czterech budujących nie może być jednocześnie murarzami, zaopatrzeniowcami, urzędnikami i tak dalej, i jeszcze do tego normalnie studiować lub pracować etatowo osiem godzin. Ktoś musi im pomóc. Kto? Ano właśnie między innymi marzyciele ze Studenckiej Grupy Aktywności „Domek", których podstawowym zadaniem jest zbieranie wszelkich możliwych informacji o tym, gdzie, co i jak można zrobić, kupić, załatwić, a co potrzebne jest do zbudowania domu. Stworzono nawet specjalistyczne grupy zajmujące się szczegółowo danymi problemami. Zebrane teraz wiadomości i doświadczenia przydadzą się marzycielom, gdy sami kiedyś chwycą w swe ręce kielnie i łopaty.

Ale zanim to nastąpi, muszą najpierw zostać przyjęci w poczet członków spółdzielni, gdyż samo zapisanie się na listę Studenckiej Grupy Aktywności „Domek" nie równa się automatycznemu zajęciu miejsca w kolejce. O, nie! Trzeba najpierw zdobyć rekomendację tak zwanej rady grupy. Decyduje zaś o jej przyznaniu obecność na zebraniach, aktywne uczestnictwo w zbieraniu informacji oraz — możliwość uzyskania w danym czasie terenu i zezwoleń na budowę dalszych domów.

Wypada dodać, iż prawo rekomendacji do spółdzielni ma również Rada Okręgowa ZSP i Zarząd Spółdzielni. Może trzeba będzie nagrodzić w ten sposób kogoś szczególnie zasłużonego dla organizacji, albo też komuś innemu obiecać miejsce w kolejce po własny segment w zamian za.... no, powiedzmy, za cegłę silikatową. Kto wie?

Na razie do grupy „Domek" zapisało się prawie czterysta osób, spośród których obecnie jedynie około stu pięćdziesięciu może liczyć w przyszłości na rekomendację. Reszta powiem niewiele, ponoć, robi. Natomiast członków spółdzielni jest już pięćdziesięciu trzech, a w najbliższym czasie przybędzie jeszcze siedmiu. W sumie da to liczbę sześćdziesiąt, a więc dokładnie tyle, o budowie ilu domków można na razie realnie mówić. Dalsze są dopiero w planach.

* * *

Łatwo powiedzieć: buduj się sam kto może! Ale to wcale nie jest taką prostą sprawą — zwłaszcza gdy spółdzielnię tworzą ludzie młodzi, niedoświadczeni, nie mający silnego wsparcia ze strony jakiegoś „dobrego wujka", czy chociażby macierzystego przedsiębiorstwa produkcyjnego. Wszystkiego praktycznie muszą uczyć się od zera, sami przecierać szlaki do producentów materiałów budowlanych, posiadaczy sprzętu, z którego przydałoby się skorzystać.

I tak na przykład z cementem nie ma ostatnio większych kłopotów: zamawia się, odbiera w wyznaczonym terminie... Ale już żeby dostać cegłę na czas i to w potrzebnych ilościach, trzeba było zawrzeć dosyć dziwną umowę z Łódzkim Przedsiębiorstwem Ceramiki Budowlanej, które zgodziło się sprzedać cegłę, jednak pod warunkiem, że studenci sami ją sobie... wyprodukują. No, może brzmiało to w umowie trochę inaczej, ale faktem jest że członkowie studenckiej spółdzielni mieszkaniowej musieli przez miesiąc pracować w cegielniach w Wilanowie i na Stokach.

Łatwo zgadnąć, że robili tam właśnie cegły. Dla kogo? Per saldo — dla siebie. Aż strach pomyśleć co by się działo, gdyby podobne transakcje trzeba było zawierać, kupując drewno, rury, blachę...

* * *

Spośród wszystkich domków na osiedlu przy ulicy Rojnej te dwa budowane przez studentów wydają się bodaj najskromniejsze. Ale dla studentów nie ma to większego znaczenia. Świadomie zresztą wybrali projekt tak taniego bloku, aby koszty budowy obniżyć do minimum. W końcu sami muszą za wszystko zapłacić — teraz lub w przyszłości. A że domki mniej efektowne z wyglądu od innych... I tak będzie studentom czego pozazdrościć — na dole: kuchnia, przedpokój, toaleta i pokój o powierzchni trzydziestu czterech metrów kwadratowych, a na piętrze: łazienka, jeden pokój dwudziestometrowy i dwa pokoje po dziesięć. W sumie ponad sto metrów kwadratowych powierzchni. No, i jeszcze garaż. Które M w betonowych mrowiskach może równać się z takim „skromniutkim" segmentem-mieszkaniem?

Według aktualnych cen koszt budowy jednego segmentu-mieszkania w studenckiej spółdzielni mieszkaniowej wynosi dwa miliony sześćset tysięcy. Bank daje półtora miliona kredytu. Ćwierć miliona każdy z członków spółdzielni wpłacić musi gotówką (ratami). Resztę wartości kryje w sobie praca własna przyszłych mieszkańców — w ciągu trzech lat budowy około trzech tysięcy godzin. Zatrudnionemu etatowo robotnikowi zajęłoby to ponad rok przy założeniu, że uczciwie machałby łopatą lub kielnią przez osiem godzin dziennie, świątek-piątek, trzysta sześćdziesiąt pięć dni w roku. Studentowi-marzycielowi musi wystarczyć czas wolny od zajęć na uczelni, wolne soboty i niedziele, wolne wakacje i urlopy (bo tylko jeszcze dziewięć osób spośród budujących studiuje). Można przy tym zaangażować znajomych, całą rodzinę... Byle budowa posuwała się do przodu. Kto nie wypracuje uczciwie swoich trzech tysięcy godzin, będzie musiał dopłacić gotówką — w przeliczeniu: stówa za godzinę. Ale to dopiero po zakończeniu inwestycji, czyli prawdopodobnie w trzecim kwartale 1986 roku, kiedy to — jak wszystko dobrze pójdzie, — można się już będzie wprowadzić do własnoręcznie wzniesionego domu.

Kto które mieszkanie otrzyma, jeszcze nie wiadomo. W ten sposób w każdym miejscu każdy pracuje „na swoim". Zasada słuszna. Pewno będzie losowanie. Ale póki co...

* * *

Przed członkami studenckiej spółdzielni mieszkaniowej stoi jeszcze wiele problemów do rozwiązania. Przed zimą zdążono przenieść się z pracami na drugą kondygnację. Kontynuacja — wiosną. Na razie nikt jednak nie potrafi jeszcze powiedzieć, czym na przykład zostanie pokryty dach. Po prostu zależy to od materiału, jaki uda się spółdzielni zakupić.

Nie zostało też jeszcze ustalone, jaki rodzaj ogrzewania mieszkań wprowadzony będzie na osiedlu przy ulicy Rojnej. Początkowo planowano podłączenie wszystkich do sieci cieplnej, okazuje się jednak że mogą być z tym kłopoty. Teren jest dopiero w trakcie tak zwanego uzbrajania. Ot, taka typowa nasza prowizorka.

Poza tym pora już chyba zastanowić się, gdzie będą budować następni spółdzielcy z Piotrkowskiej 77. Mówi się o przydzieleniu im terenu na dalekiej Retkini, jeszcze za ulicą S. Allende, tam, gdzie w tej chwili znajdują się ogródki działkowe. Miałyby tam stanąć domki złożone aż z trzystu mieszkań-segmentów. Inwestycję tę realizowano by etapami. Z pewnością przez pięć, dziesięć, może nawet więcej lat. Ciekawe, czy do tego czasu wszystkim dzisiejszym marzycielom wystarczy cierpliwości? Bo co innego budować się już, od razu, a co innego — kiedyś tam. Marzenia także mogą się zestarzeć.

* * *

Nowe, nietypowe — jak na nasze warunki! — osiedle mieszkaniowe przy końcu ulicy Rojnej. Szczęśliwi ci, którzy tam zamieszkają. Przy odrobinie dobrej woli można by więc nazwać je osiedlem spełnionych marzeń. Ich marzeń!

Happy end.

I tylko w skołatanej głowie odzywa się czasem pytanie: czy nie powinno być tak że studenci studiują, murarze murują...? Odzywa się coraz ciszej.

P. T.

Wykreować magistra w kryzysie

Foto: Grzegorz Gałasiński

Dokończenie ze strony 1

w czyn, trzeba być tegim fachowcem i znawcą przedmiotu. Przede wszystkim więc magister powinien znać swoją dziedzinę wiedzy i swój zawód — na poziomie mistrzowskim. Pamiętać powinien magister, że jest twórcą kultury, sztuki i nauki, kształtuje stosunki i styl pracy na powierzonym sobie odcinku działalności społecznej, administracyjnej, wytwórczej etc.

2. CO MAGISTER MA?

Realny magister lat 80-tych ma wszystko wyżej wymienione — „gdzieś". On, z wyboru, woli skrywać się w skorupie i wszystko, co ponad wzgląd na własne korzyści i własne rodzinne „ciepełko" — mieć za przejaw frajerstwa i mieczakowatości. Nie wychylać się. Nie podskakiwać. Siedzieć cicho. Rzepkę sobie skrobać. I kochanym być! — Taka jest prawda; nie tylko kryzysowa, ponieważ prawdą to było także grubo przed kryzysem. Ileż to już lat liczy sobie powiedzonko „śmierć frajerom"?

Realny magister ma więc „gdzieś" zarówno ideały, jak i własną fachowość. Wiedzy on zgłębiać nie zamierza — płycizna, która mu nalano do głowy podczas studiów jest już i tak za głęboka, jak na potrzeby tzw. życia; kultury on tworzyć nie zamierza — z tej, która go otacza, on i tak nie korzysta, a własnego mlaskania przy obiedzie on nie słyszy; nauki rozwijać on nie chce — pracy to wymaga nadmiernej, a zyski oferuje nader niewymierne; administrować, kierować, zarządzać z głową — a po co? Na studiach on miał ambicje „jechać na trójczynach", przykładać się do dzieł tyle tylko, ile trzeba było do utrzymania się na liście studentów; później zaś, „w pracy", on nie ma już żadnej potrzeby zgłębiać i pogłębiać oraz rozszerzać — bo i po co, skoro nikt niczego nie wymaga, i nie jest w stanie „skreślić" z listy płac?

Magister realny ma „gdzieś", ponieważ i jego tam mają, oferując mu na początek pensje rzędu 9 tys. zł w chwili, gdy średnia krajowa przekracza 17 tys. zł, i gdy „przy łopacie" można „wyciągnąć" grubo więcej, niż otrzymuje profesor zatrudniony w akademii, politechnice, uniwersytecie. Za taką pensję magister nie jest w stanie wyżywić się i przyodziać, ani kupić książki. Nic dziwnego więc, że świadomość ma przyćmioną, skoro byt ma poniżej mizerii. Ogólnie mówiąc, perspektywy ma szare, jak i sam jest szary.

Prawdą jest, że „satysfakcja intelektualna", to rzecz wielka; powinno się ją przedkładać nad satysfakcję przyziemnie materialną. Prawdą jest jednak także, że satysfakcji intelektualnej powinna towarzyszyć satysfakcja materialna na tyle satysfakcjonująca, iżby nie trzeba było „wzlotów ducha" podpierać chałturzeniem dla chleba. Umysł winien zapewnić utrzymanie ciału, z którego wyrasta, skoro to właśnie umysł jest tym, co różni człowieka od reszty stworzeń. Praca zaś ma co najmniej dwa oblicza — to pierwsze prymitywnie fizyczne, oblewanie potem, kojarzące się z gnojem i znojem; i to drugie w białym kołnierzyku poniżej głowy, która, wysiłkiem niematerialnej myśli zdolna jest zastąpić pot oraz znój mięśni automatem i robotem; zaoszczędzić rzekę pieniędzy lepszym pomysłem, lepszą organizacją i wykorzystaniem tego, co zwykło się było wyrzucać na hałdy i śmietniska w charakterze odpadów po prostej pracy fizycznej.

3. O NIEOPŁACALNOŚCI MYŚLENIA

Wada umysłu jest jednak to, że sam przez się niewiele jest on w stanie zdziałać. Praca umysłowa musi iść w parze z pracą fizyczną — jeżeli porywające idee mają przyoblec się w materialne ciało, ułatwiające życie wszystkim. Na takim chodzeniu w parze polegać powinna, jak się wydaje, istota sojuszu robotniczo-chłopskiego z jednej strony, a inteligenckiego z drugiej. Zwróćmy uwagę, że idee socjalizmu stworzyli inteligenci. Czy Marks kuł młotem? Nie kuł. Czy Lenin machał łopatą? Nie machał. Czy lepiej byłoby, gdyby oni kuli i machali?

Sojusz robotniczo-chłopski to rzecz wielka. Pod warunkiem, iż nie będzie to sojusz nastawiony na apoteozę pracy widłami (wytwór robotnika) przy gnoju (synonim rolnictwa), tj. na petryfikację tego, co było (jest!) — lecz będzie to sojusz, mający na celu popieranie wszystkiego, co służy odejściu od wideł i gnoju z jednoczesnym wzrostem plonów i produkcji dóbr coraz to lepszej jakości, aby starczyło dla wszystkich, i wszystkim dobrze służyło. Aby zaś rzeczywiście starczyło i służyło, niezbędna jest myśl magistra, niekoniecznie pochodzenia robotniczego lub chłopskiego. Najważniejsze, aby był to magister zdolny ruszać głową, tym ruszaniem zapewniając byt godziwy wszystkim, w tym i sobie samemu.

Zaś, jak na razie, myślenie, zwłaszcza typu „pro publico bono", nie popłaca. Widzi to każdy chłop i robotnik; dostrzega student. Widzi także profesor i docent.

Tym więcej potrzeba pracy ze strony profesorów, aby wbrew temu co „gały widzą" wychować studenta na magistra naszych (?) marzeń. Mimo więc, że realny magister chudo ma, a także sam ma „gdzieś" — profesorowie, przynajmniej wielu z nich uważają, iż winni tym bardziej przyłożyć się do dzieła wypromowania magistrów na miarę dzisiejszych marzeń, a potrzeb jutra, nawet jeżeli dzień dzisiejszy stawia znak zapytania nad sensem wysiłków, które wyglądają jawnie na bezsensowne, jeżeli przyłożyć do nich miarę tzw. zdrowego rozsądku.

Istnieją, na szczęście (?) jednostki, które trzymając się swoich idei i wizji, nie dają sprowadzić się na ubite szlaki; nie akceptują systemów wartości „powszechnie obowiązujących"; wyłamując się ze schematu „jak się da, to się zrobi" — robią, co uważają za słuszne i co do nich należy, nie pytając o zapłatę.

4. CO WIE PROMOTOR?

Jeżeli jest promotor, hołdujący wyżej wyłuszczonym zasadom, zwłaszcza zasadzie pracy dla satysfakcji intelektualnej, to co musi on robić, aby wypromować magistra w dziedzinie nauk ścisłych? Musi zaszczepić studentowi przekonanie, iż ten winien czytać, eksperymentować, odkrywać i uogólniać; wnioski z tych poczynań powinien wcielać w czyn, czyn traktując jako probierz prawdy i słuszności. Wszystko to student winien czynić bez patrzenia na zyski dzisiaj, a raczej z nastawieniem się na deficyt i kolce. Jego bowiem, magistra, zadaniem jest zmieniać beznadziejne „dzisiaj" na tęczowe jutro. Każdy zaś, kto chce zmieniać, poprawiać i ulepszać, opuszczać koleiny wyżłobione przez przodków — musi być przygotowany na obijanie boków kijami. Tak było od zarania dziejów, tak też zapewne będzie po wiek wieków.

Czy zadanie wychowania (!) magistra jest łatwe? Nawet w czasach najwyższej prosperity, której nigdy nie mieliśmy, byłoby to trudne. W czasach zaś kryzysu wymaga to wysiłku spotęgowanego do sześcianu. Aczkolwiek trudne, jest to zadanie wykonalne. Bowiem wbrew sądom i opiniom głoszonym i uznawanym przez „większą większość" — intelekt jest w stanie zapanować nad materią, jest w stanie pokonać bezwład masy, jeżeli naprawdę chce.

Jeżeli jest więc promotor, chcący mimo wszystko wypromować prawdziwego magistra w dobie kryzysu, to co powinien robić? I co on wie? — On wie, że magistrant powinien analizować i syntetyzować tak w myśli, jak i przy stole laboratoryjnym. Powinien czytać nie tylko literaturę specjalistyczną, ale także ogólną: dzieła w rodzaju „Wielkiego Testamentu", „Don Kichota", „Dżumy"...

Te setki dzieł, stanowiących wykwit oraz esencję ducha poprzednich pokoleń — winny być w księgarniach, każdemu dostępne. Lecz nie są. Co więc ma czynić promotor zdający sobie sprawę, że wiedza specjalistyczna jest martwa bez podkładu humanistycznego? — Na pewno nie „pasować". Winien dołożyć starań, iżby student osiągnął nieosiągalne: w charakterze seminaryjnej zaprawy do tego, co czekać go może (będzie!) po magisterium na tzw. arenie życia; winien sprawić, iżby student zdobywał klasykę i rozczytywał się w niej mimo, iż klasyki „nie ma", a jej znajomość przez wielu uważana jest za balast, za coś w rodzaju kamienia młyńskiego u szyi.

Promotor wie, że jego magistrant winien czytać sporo bieżącej literatury specjalistycznej, obcojęzycznej. Chcemy czy nie chcemy tak już się stało, że każdy, kto ma coś istotnego do powiedzenia w nauce, mówi to dzisiaj po angielsku. Polak także! Winien więc promotor zachęcać studenta do nauki języków, a następnie polecać do studiowania literatury fachowej, te najnowszą. Jak jednak zachęcać do szlifowania wiedzy o językach, gdy na rynku brak słownika? Jak zachęcać do studiowania literatury przedmiotu, gdy w bibliotekach akademickich brak świeżych monografii i czasopism? Obecnie monografia naukowa może kosztować 250 dolarów, prenumerata zaś czasopisma sięga nawet kilku tys. dolarów. Dla nas tysiąc dolarów to kwota wielka (aczkolwiek stanowi ona zaledwie ekwiwalent 3-tygodniowej zapłaty za pracę przeciętnej maszynistki). W rezultacie półki bibliotek akademickich świecą pustkami.

Co w takiej sytuacji robi dobry promotor? Sprowadza literaturę, tj. informacje, kanałami swoich prywatnych przyjaźni i znajomości. Czy to wystarcza? Niestety, nie wystarcza. Żadna indywidualna inicjatywa nie zastąpi polityki zakupów tego, co jest niezbędne dla kształcenia magistra, który to magister, co warto podkreślić, pracować będzie przez 30—40 lat nadchodzących. Oszczędzać, owszem, należy. Ale czy do rozsądnych należą oszczędności, dzięki którym magister dzisiaj nie zapozna się z dzisiejszym stanem wiedzy w dziedzinie, która zgłębia? Czy do rozsądnych należą oszczędności, dzięki którym również profesor nie może zapoznać się z ostatnimi postępami wiedzy — by je przekazywać studentom, by wiedzę tę dalej rozwijać? Informacja jest towarem; świat „zabija się" za nią. Dlaczego dla nas ona nie stanowi żadnej wartości?

Promotor wie także, że jego podopieczny powinien wykonać cykl badań, mających na celu rozstrzygnięcie jakiejś kwestii istotnej albo dla nauki, albo dla praktyki. Tu zaś, wiadomo, nie ma taryfy ulgowej; albo coś się odkrywa przy pomocy metod adekwatnych, z użyciem najnowszych narzędzi badawczych, albo markuje się robotę, lejąc wodę typu piątej popłuczyny po kisielu, tj. niczego się nie odkrywa i niczego nie ustala. Student, tym samym, winien dostać do rąk aparaturę analityczną najnowocześniejszą, sprzęt i materiały takie, o jakich przeciętnemu zjadaczowi chleba jeszcze się nie śni. Lecz nie dostaje. Aparatura w naszych akademiach jest, owszem, wspaniała, ale jako eksponaty w muzeum techniki. Materiały są także „ostatnim krzykiem wynalazczości" ale sprzed półwiecza. O sprzęcie lepiej nie wspominać — nawet najzwyklejszej szalki Petriego, kolby Erlenmayera czy termometru rtęciowego (wynalazki XIX wieku) — brakuje. Co w tej sytuacji ma robić ambitny promotor?

Promotor musi wyjaśnić studentowi szczerze, a także przekonać go, iż winien niedostatki technicznego wyposażenia skompensować zwielokrotnionym nakładem swojej żywej pracy. I to zdając sobie sprawę, iż mimo zwielokrotnionego wysiłku nie będzie w stanie „przeskoczyć" pewnych barier — nie stanowiących problemu już dla studentów I roku uczelni, należycie wyposażonych (takich u nas brak!). Nie wszystkie bowiem braki techniczne da się „nadrobić" poświęceniem, wyrównać hartem ducha. Dla przykładu, nie da się policzyć radioaktywności trytu, włączonego do chromosomów, gdy nie ma się scyntylacyjnego spektrometru (a nie ma się go w polskich laboratoriach uniwersyteckich, chociaż znajduje się on w przeciętnej pracowni biologicznej świata od lat trzydziestu). Usiłując ominąć niedostatki techniczne — my wkładamy po stokroć więcej inwencji i pracy od innych, by osiągnąć to, czego i tak nie da się osiągnąć bez odpowiedniego sprzętu i narzędzi.

Chociaż więc sam promotor wątpi w sensowność takiej pracy, to jednak stara się przekonać magistranta o sensowności porywania się z kopią na wiatraki (właśnie dlatego potrzebna jest magistrantowi znajomość klasyki!). Robi to, ponieważ wierzy w lepszą przyszłość; ponieważ wie, że bez jego wysiłków dzisiaj nie będzie tej lepszej przyszłości. Któż ją bowiem ma „robić", jak nie dzisiejszy magistrant?

5. ROZTERKI PROMOTORA

Promotor wie, że mimo swoich najlepszych chęci wypuści magistra niedouczonego w porównaniu do poziomu magistrów wypuszczanych w innych częściach świata. Pracowity może być jego student jak mrówka, talent może mieć jak diament — a mimo to wyrastający z niego magister będzie niedouczony, o wielu sprawach nie będzie miał pojęcia. Niezdarny będzie magistrant ów jak pingwin zestawiony z albatrosem, względnie jak budzik m-ki „Poltik" w zestawieniu z elektronicznym budzikiem m-ki „Seiko".

To, czyli niedouczenie owo i niezdarność — w przypadku magistranta przepełnionego najlepszą wolą i chęciami, uzdolnionego ponadprzeciętnie. Takich jest niewielu! Co więc w przypadku przeciętnie uzdolnionego, przeciętnie leniwego, skłonnego tylko przeciętnie poświęcać się „dla idei"? Wiedzę i umiejętności takiego magistranta dzielić będzie od wzorca na dzień dzisiejszy epoka. I jak taki ma budować lepszą przyszłość, skoro on nie ma pojęcia o stanie dnia dzisiejszego, skoro inni kształca lepiej, a wykształconym stwarzają warunki, umożliwiające im pracę wielokrotnie efektywniejszą od warunków, w jakich przyjdzie pracować naszemu magistrowi?

Do powyższych rozterek promotorów, fachowych, dochodzą rozterki moralne, związane z odpowiedzialnością za losy tego, kogo kształci. Jeżeli rzeczywiście osiągnie sukces wychowawczy, zaszczepi magistrantowi zamiłowanie do wiedzy i prawdy, wyrobi w nim nawyk krytycznej analizy rzeczywistości i umiejętność stawiania pytań trafiających w sedno oraz proponowania rozwiązań naprawdę skutecznych, więc „niewygodnych", łącznie z uporem w dążeniu do ich zrealizowania — tj., gdy uczyni z magistranta człowieka, który wie, jak działać i pracować; to co z nim stanie się? Toż go rozdziobią, jeżeli nie będzie (a nie będzie!) krakać w stadzie; jeżeli będzie rogaty i „trudny" (a będzie!).

Oto i są dylematy promotora. Trudne zawsze, ale w kryzysie — trudne szczególnie. Dochodzi do tego dylemat sumienia: kształcić czy nie kształcić, skoro wiadomo, że należycie wykształcić nie można; skoro się wie, że im wyższe wykształcenie tym niższe, relatywnie, uposażenie? — A przecież nie kształcić nie można, bo cóż by się stało już jutro z nami? Wszak wiadomo, że potęga Japonii stąd się m. in. wywodzi, iż ona już w XIX w. wprowadziła powszechne nauczanie, a następnie, po doświadczeniach Hiroszimy, postawiła na uczenie się, choćby od diabła. Wszak wiadomo, że inni nie stoją w miejscu, nie współczują stojącym i samopętającym się — lecz pną do przodu, rwą ze wszystkich sił.

6. RZECZYWISTOŚĆ

Rzeczywistość jest taka, że magistrów, jak nieloty kształci się tylu, ilu studentów przebrnie przez pierwsze lata studiów. Kształci się mimo, iż obiektywnie nie mamy warunków do kształcenia na poziomie dnia dzisiejszego, a zwłaszcza wymogów jutra. Kształci się przeto „jak można", „jak warunki pozwalają", bo „tak trzeba". Skrupuły i zwątpienia odkłada się na bok, ponieważ odkładania takiego także potrzeba!

Tylko czasami ktoś powie, że trzeba się nam opamiętać! Że trzeba się nam zastanowić, co jest potrzebne, abyśmy magistrów oraz inżynierów mogli kształcić lepiej i najlepiej; zapyta, czy naprawdę „nie stać nas" na wysupłanie groszy na edukację, aby zyskiwać grube tysiące w efekcie edukacji? Wszak to, co najważniejsze — talenty i zapał, magistranci nasi mają! Dlaczego więc nie mielibyśmy stworzyć warunków niezbędnych do osiągnięcia przez nich najwyższego z możliwych poziomu wykształcenia ogólnego i specjalistycznego — jako najlepszego zadatku na jutro?

Do każdej złotówki i dolara, zaoszczędzonych na edukacji dzisiaj, przyjdzie nam dopłacać miliony przez nadchodzące 3—4 dziesięciolecia, wprost i pośrednio (pytanie: ile nas kosztuje brak odkrycia lub wynalazku, które mogły były być zrobione u nas? Ile nas kosztują licencje na rzeczy, wynalezione u nas, ale niedocenione przez nas?). Każda zaś złotówka i dolar może nam przynosić tysiące i miliony zysku przez dziesięciolecia — jeżeli dogłębną wiedzę, przemienioną na twórczą pracę intelektualną wynagradzać będziemy rzetelnie, a przynajmniej nie gorzej od pracy fizycznej; i gdy będziemy szanować ją tak samo. A nawet lepiej!

Dopóki mamy promotorów, zdolnych kształcić dobrych magistrów; dopóki mamy kandydatów na magistrów — dopóty jeszcze nie jest źle. Gra o jutro jeszcze nie jest przegrana do zera. O ile, oczywiście, zdecydujemy się wreszcie być normalni i postawimy na intelekt — jako najlepszy środek uwalniający chłopa od gnoju, a robotnika od potrzeby walenia młotem lub oskardem. O ile zdecydujemy się na sojusz robotniczo-chłopski, cementowany intelektem.

7. WNIOSKI?

Edukacji i nauce trzeba „dać" dzisiaj, jeżeli chce się z nich czerpać pełnymi garściami, jak z Sezamu, i to przez dziesięciolecia. Odkryto tę prawdę już dawno. Może, wobec braku (nieuniknionego?) literatury opisującej najnowsze odkrycia w dziedzinie nauk ścisłych — warto przyswoić sobie tę starą prawdę, i zacząć ją wcielać w życie? Jak i tę, że inwestycje w naukę i edukację, to inwestycje najlepsze z najlepszych — na przyszłość? (!)

Edukacja akademicka i nauka w Polsce, pozbawione środków dewizowych, zamierają. Ockniemy się, przypuszczam, gdy zamrą całkowicie. Próby wskrzeszenia będą kosztować nas milionkroć więcej, niż to, co oszczędzamy na nich dzisiaj. Z rezultatem jednoznacznym, tj. z przegraniem swego własnego jutra. Jutro przegrywa się bowiem właśnie dzisiaj. Tylko też dzisiaj można je wygrać.

Na razie, tak przynajmniej widzę, zdążamy ku przegranej.

J. STANISŁAW KNYPL

EDWARD BRYL

Wrzód

— Czekałam przed blokiem, karetki oczywiście nie było — mówi Wiesława R. — Denerwowałam się bardzo, gdyż mąż miał silne bóle serca. Ponaglałam aż cztery razy. Wreszcie lekarz przyjechał. Był na niezłym rauszu. Wykrzyczał mi, że jak się tak spieszę, powinnam wezwać pogotowie prywatne. W ogóle chciał zrezygnować z wizyty, zatrzymał nawet windę, ale go ubłagałam. Potem naubliżał mnie, mężowi, który jak się okazało miał zawał...

14 sierpnia 1984 r. o godzinie 16.20 zespół wypadkowy wrócił do stacji przy ul. Sienkiewicza po zakończonej wizycie. Za karetką przyjechał radiowóz milicyjny (nr rej. 1083 MO). Lekarka jeżdżąca w zespole była kompletnie pijana. Dopiero po interwencji organów MO u starszego lekarza Biura Wezwań zdjęto ją z dyzuru...,

— Teraz pogotowie pracuje znacznie gorzej niż kilka lat temu — stwierdziła lekarz ordynator oddziału. — Niedawno wzywałam zespół reanimacyjny do dziecka w stanie agonalnym, które trzeba było szybko przetransportować do innego szpitala. „R-ka" przyjechała po ...czterech godzinach mimo naszych interwencji, usilnych próśb. Jako pacjentka również nie mam najlepszego zdania o łódzkiej pomocy doraźnej. Mnie też zdarzył się zawał. Mąż wzywając pogotowie podał wszystkie dane, objawy, także to, iż jestem lekarzem, więc chyba się nie mylę w diagnozie. Zdumienie moje było ogromne, gdy przyjechała ginekolog położnik, która dopiero ode mnie wzywała zespół „K". Nawet w tej sytuacji nie zjawił się kardiolog, lecz anestezjolog. Jakże więc jest z tą mocno akcentowaną i rozreklamowaną specjalistyką przy Wojewódzkiej Stacji Pogotowia Ratunkowego w Łodzi?

Dr B.: — Przyniesiono mi do poczekalni nieprzytomną dziewczynę lat dziewiętnaście, w zaawansowanej ciąży. Stwierdziłam zapaść. Wezwałam karetkę. Lekarka przyjechała z gołymi rękoma

Dr Anastazja Targaszewska: — To mnie wysłano do tej chorej, informując, że pacjentka jest w dobrym stanie. Do pani ordynator z zawałem serca również ja jeździłam. Oponowałam biorąc tę wizytę. Lecz kiedy starszy lekarz Biura Wezwań podsunął mi do podpisu dokument, iż odmawiam przyjęcia wizyty, pojechałam, choć zdawałam sobie sprawę z bezcelowości mojej interwencji. Twierdzę, że dla personalnych rozgrywek ze mną igrano zdrowiem i życiem pacjentów. Byłam nielubiana, gdyż próbowałam walczyć z pijaństwem i bałaganem. Chciano mnie się pozbyć za wszelką cenę, nawet udowadniając, iż jestem kiepskim lekarzem, gdyby się to udało, wiadomo czyim kosztem.

Cóż znaczy jedna „skórka" więcej czy mniej dla naszych pogotowiarzy, zresztą nawet to określenie mówi wiele o ogólnym stosunku do pacjenta. Na porządku dziennym jest, że do bardzo poważnych przypadków ginekologicznych lub położniczych np. krwotoków z dróg rodnych, porodów, jeżdżą same położne, mimo iż lekarz dyżuruje. Wizyty są kilkakrotnie reklamowane... Nieraz byłem świadkiem, kiedy zespół „R" czy „K" wzywano parokrotnie do wyjazdu i to w obecności dyrektora. Nie widziałem nigdy aby zaoponował. Oczywiście dokumentacja zawsze w należytym porządku — wezwanie godz. 19.00, wyjazd — 19.01. Sam szef czuwa, ale tylko nad papierkiem. Ważne, że potem się spieszą i wszyscy widzą. Kolorowe „R-ki" z włączonymi światłami, na sygnale mkną przez miasto zalotnie wiewając proporczykami. Oprawa piękna Ale tu, na miejscu trzeba dokończyć herbatę, bigos czy po prostu nabrać chęci...

Niejedną dobę spędziłem w łódzkim pogotowiu jeżdżąc w karetkach. Kiedy zrywałem się słysząc wezwanie z głośnika, zawsze powstrzymywał mnie kierownik zespołu — spokojnie, spokojnie — redaktorze, zdążymy. Przyznaję, zdążyliśmy. Nigdy nie widziałem zbędnego pośpiechu — tyle że później chyba gwoli nadrobienia straconego czasu wyskakiwaliśmy prawie w biegu, zwłaszcza gdy mieliśmy gapiów, bywało czasem po dwa, trzy stopnie w górę na piętra. Głośno sapaliśmy pod drzwiami. O naszym pośpiechu nikt nie wątpił. Zerkano z szacunkiem, powagą, umieliśmy się sprzedać...

Na bezwład organizacyjny, tolerancję niektórych pijących, układy panujące w Wojewódzkiej Stacji Pogotowia Ratunkowego w Łodzi skarżyli się niejednokrotnie sami lekarze. Wysyłano pisma do Urzędu Miasta, Lekarza Wojewódzkiego. Petycje nie odnosiły żadnego skutku, bo szkopuł w tym, że większość skarg z reguły jest właśnie rozpatrywana przez zainteresowanych, tzn. przez tych, na których są pisane. Skargi na pogotowie rozpatruje Wojewódzka Stacja Pogotowia, na Wydział Zdrowia — Wydział Zdrowia itd. Ale władze łódzkiej służby zdrowia szczycą się, że obywatele w ogóle piszą mało skarg na medyków, tylko sporadycznie. Stosunkowo niewiele jest także pretensji do pogotowia. Niestety radość to doprawdy bezpodstawna. W istocie żalów rozlewa się morze... Tyle że ludzie przestali już wierzyć w skuteczność swoich interwencji, więc milczą.

Co pogotowie może zrobić z zasadną skargą obywatela, najlepiej świadczy przykład sprawy Bogumiła Pęciaka. W godzinach wieczornych 24.IX.1983 r. zasłabła mu żona na ulicy. Wystąpiły silne bóle głowy, wymioty, zaburzenia wzroku, słuchu. Przygodną taksówką zawiózł ją do Wojewódzkiej Stacji Pogotowia przy ul. Sienkiewicza. Tam kobiecie odmówiono pomocy, polecając zgłoszenie się do dzielnicowej pomocy doraźnej. Później okazało się, że chora miała wylew i konieczna była natychmiastowa operacja. Gdyby pacjentkę zbadano na miejscu i przewieziono od ręki do szpitala, nie byłoby sprawy. Być może zbędne opóźnienie przekreśliło jedyną szansę ratunku, a być może, iż nawet błyskawiczna interwencja lekarza pogotowia w tym przypadku dałaby niewiele. Fakt pozostał — odmówiono pomocy ciężko chorej kobiecie, a przecież pogotowie obowiązuje przede wszystkim świadczenie takich usług.

Reakcja dyrektora Wojewódzkiej Stacji Pogotowia na skargę Bogumiła Pęciaka wstrząśniętego śmiercią żony była bulwersująca. Po prostu udowodnił nieszczęsnemu człowiekowi, iż kobiety wcale do pogotowia nie przywiózł! Oto fragmenty pisma firmowanego przez dr Jerzego Okińczyca, który sprawnie i szybko zebrał niezbędne do tego celu oświadczenia swoich pracowników.

„1. Kierownik Ambulatorium bardzo pozytywnie ocenił dotychczasową, nienaganną pracę wspomnianej rejestratorki nie stwierdzając uchybień z jej strony.

2. Rejestratorka, która miała skierować obywatela z żoną do oddziału Pomocy Doraźnej Łódź—Bałuty ul. Mokra 10/12 nie potwierdziła takiego wydarzenia w dniu 24.IX.1983 r. W godzinach 7.00—21.00 zarejestrowano łącznie 138 osób.

3. Dyspozytorka przewozów Biura Wezwań, która przebywała w pobliżu okienka rejestracji, podaje, że nie zaobserwowała, aby ktokolwiek zgłaszał się do gabinetu internistycznego w godzinach 20.00—20.30."

Wydział Zdrowia i Opieki Społecznej w Łodzi oczywiście podtrzymał stanowisko dyrektora pogotowia i sam zastępca dyrektora wydziału do spraw lecznictwa lekarz Tadeusz Rześniowiecki napisał między innymi.

„Jeśli obywatel jest niezadowolony z naszej odpowiedzi, proponujemy wniesienie skargi do władz sądowych".

Po długiej korespondencji, a przede wszystkim po przedstawieniu naocznych świadków zajścia w stacji pogotowia — córki poszkodowanego i kierowcy taksówki, który wiózł chorą, tenże sam dr Tadeusz Rześniowiecki odpisał:

„Wydział Zdrowia i Opieki Społecznej uprzejmie powiadamia iż w wyniku ponownego badania skargi ustalono, iż zarzuty w niej zawarte należy uznać za słuszne, a w szczególności w odniesieniu do braku zainteresowania stanem zdrowia chorej i szybkiego udzielenia jej pomocy w czasie pobytu w Wojewódzkiej Stacji Pogotowia Ratunkowego.

(...) wyraża ubolewanie z powodu doznanych kłopotów i trudności z uzyskaniem pomocy w placówkach uspołecznionej służby zdrowia (...) pragnie podkreślić, iż sprawa właściwego stosunku do pacjentów i interesantów oraz przypominanie o służebnej roli pracowników służby zdrowia jest w stałym centrum uwagi tutejszego Wydziału".

„Wzorową" rejestratorkę odsunięto od pracy z pacjentami, ale że rozmowie poszkodowanego z nią przysłuchiwał się także lekarz, którego Bogumił Pęciak, mimo wielkiego zdenerwowania stanem żony, widział — zapomniano. Zresztą to nie było ważne, bo nikt nie potrafił faktu udowodnić. Wydział Zdrowia niechętnie przyznaje słuszność swoim adwersarzom, z reguły czyni to po długich „uciążliwych badaniach" i tylko wtedy, gdy inaczej nie może się pozbyć „namolnego pieniacza", „maniaka" — tak potocznie nazywa się tu ludzi, którzy próbują choć na papierze dociec swoich racji. Co się zaś tyczy postępowania pracowników Wojewódzkiej Stacji Pogotowia Ratunkowego, to dziwić im się nie należy, że lekką ręką pozbyli się ciężko chorej pacjentki, przykład podobno idzie z góry...

Mówi dr Marek Halkiewicz: — Wezwanie brzmiało groźnie. Dziecko lat 3 wpadło we wrzątek, ciężko poparzone, umiera... Przyjąłem wizytę dla zespołu wypadkowego, ale uważałem, iż powinien jechać ze mną pediatra. Aktualnie w stacji nie było żadnego, pracowali w terenie. Prawie w ostatniej chwili przypomniałem sobie, że przecież szef jest pediatrą i to z drugim stopniem specjalizacji. Pobiegłem na górę, do gabinetu. Przedstawiłem sprawę — nie miałem wątpliwości, że pojedzie. Wiedziałem, liczyła się każda sekunda. Niestety dr Jerzy Okińczyc zmierzył mnie zimnym spojrzeniem.

— Mnie wizyty nie obowiązują! Jestem tu dyrektorem! Jako jedyny obecny w pogotowiu pediatra odmówił. Uważam takie postępowanie za wysoce nieetyczne.

— A przecież dyrektorzy pomocy doraźnej jeździli w karetkach. Np. doktor Jan Matczak często „schodził w lud", potrafił zaliczyć kilka wizyt, sprawdzić jak jego pacjenci są przyjmowani w szpitalach, później już będąc szefem Wydziału Zdrowia zreformował pogotowie; w dzielnicach powstały podstacje, skrócił się czas dojazdu. Dzisiaj aż tak bardzo nikt się pogotowiem nie przejmuje, także dyżurni lekarze miasta nie wiedzą co się dzieje na dole — jak praca w gabinecie, to w gabinecie!

A że bywa rzeczywiście bardzo różnie, to prawda! Podczas procesu dr Anastazji Targaszewskiej wiele spraw wyszło na światło dzienne. Zeznawał doktor Marek Halkiewicz:

— Od kilku miesięcy obserwuję, iż doktor Targaszewska zamiast w dyżurce oczekiwała na wyjazd na korytarzu. Wiem, że miała kłopoty z położnymi, wolała jeździć sama, obawiając się afrontu, niewykonania polecenia. Była przez położne słownie napastowana, wulgarnie wyzywana. Żaliła się także, że w karetce brakuje leków, bielizny etc. Faktycznie w zestawie nie ma leków przeciwwstrząsowych. Właśnie w tym kontekście powstał zarzut przeciwko dr Targaszewskiej, że woziła ze sobą prywatne leki. Należy ją za to ozłocić! Docierały do mnie (zresztą nie tylko) wiadomości, że w dyżurkach położnych przebywają osoby nietrzeźwe, że tam się pije, wiedzieli wszyscy! Ponieważ taki stan trwał długo, mogę sądzić, iż dyrekcja o tym wiedziała, lecz nie reagowała. Chcę powiedzieć, że atmosfera w pogotowiu jest fatalna. Dyrektor opiera się na opiniach pań z biura. Ploteczki to jego żywioł. Zresztą nie po raz pierwszy grupa lekarzy pracujących w pogotowiu wystosowała pismo do KŁ, do prezydenta miasta o stosunkach panujących w stacji, przetargach — tę wizytę wezmę, a tu nie pojadę. Wezwanie leży, pacjent czeka...

Świadek Danuta Łysakowska — była przełożona pielęgniarek w Wojewódzkiej Stacji Pogotowia Ratunkowego w Łodzi:

— Byłam przełożoną pielęgniarek, osobiście widziałam wielokrotnie pijanych pracowników w biały dzień, na dyżurze. Pamiętam naradę u dr Okińczyca, gdzie były pijane dwie położne, jedna bardzo bełkotała... Dyrektor nie zwrócił na ten fakt w ogóle uwagi. Ja miałam wydane zarządzenie wewnętrzne, które mi odbierało nadzór nad zespołami położniczymi!

W czasie dziesięcioletniej pracy nie usłyszałam w stosunku do siebie ni słowa nagany od dyrektora, jeśli coś było nie w porządku, dowiadywałam się od osób trzecich, do których się zwracał, bezpośrednio do mnie nigdy — w oczy chciał być dobry.

Jeden z lekarzy dr M. przyszedł na dyżur kompletnie pijany, nie mógł trafić do drzwi. Wtedy dr Targaszewska zwróciła się do kierownika Działu Usług, aby zdjąć doktora M. z dyżuru.

— O tym, że położne piją, dowiedziałem się dopiero tutaj, na sali sądowej, że w ogóle ktoś pije — zeznawał dr Jerzy Okińczyc. Położną, tę z zebrania, wytłumaczył, że ma taką niewyraźną mowę już od urodzenia. Adwokat musiał przypominać dyrektorowi, że przecież zwalniał ludzi za pijaństwo. Wtedy nastąpiły zawiłe wyjaśnienia, iż oni pili w domu... Mówił jakby nie zrozumiał, że alkohol w domu to całkiem prywatna sprawa, natomiast do pracy każdy musi przychodzić trzeźwy.

Od przełożonej Danuty Łysakowskiej wiem, iż niektórzy do pracy w pogotowiu przychodzili pijani. Np. pielęgniarka Maria G. Fakt ten znał doskonale dyrektor.

Zrozumiałem także, czemu dr Władysław S. tak zaciekle bronił położnych przed sądem. Po prostu są mu wygodne. Może przychodzić na dyżur z kilkugodzinnym opóźnieniem, listę obecności podpisuje dopiero rano, one załatwiają wizyty. Zdarza się, że w ogóle się nie przebiera, bo i po co...

Doktor Targaszewska stwierdziła, iż położne dopiero od niedawna podpisują listę obecności, niektórzy lekarze też. Nieraz odmawiały jej wyjazdu na wizytę. Np. położna Jadwiga S. — powiedziała, że nie pojedzie, bo właśnie u dyrektora jest zebranie na temat dr Targaszewskiej, musi być na miejscu, tutaj będzie potrzebna. Doktor Anastazja Targaszewska została zwolniona z pracy w pogotowiu. Uznano ją za konfliktową, nie umiejącą współżyć z ludźmi, nawet z maleńkim zespołem położnych. Nie pomagały nawoływania Sądu do ugody stron, tylko lekarka była gotowa wyciągnąć rękę — dyrekcja zdecydowanie odrzucała wszystkie propozycje. Nawet wtedy, gdy jeszcze nie było mowy o żadnej sprawie sądowej. Byłem osobiście z dr Targaszewską u dr Jerzego Okińczyca, kategorycznie odmówił rozmowy. — Jej już nie ma, nie istnieje — powiedział.

Dr Anastazja Targaszewska musiała odejść „dla dobra instytucji". Sędzia Teodora Groeger w kulisach sprawy powiedziała do dziennikarzy: „Jako człowiek jestem po stronie doktor Targaszewskiej, ale jako sędzia nie miałam wyboru".

— Chciałam tak niewiele — żaliła mi się później dr Targaszewska — spokojnie i dobrze pracować. Wymagałam, aby na moim dyżurze nie było pijanych położnych, nie piło się wódki, żądałam porządku, potrzebnych leków. O spostrzeżeniach meldowałam ustnie i pisemnie dyrekcję. Nigdy nie doczekałam się żadnej reakcji, stałam się czarną owcą.

Proces lekarki był niezwykle interesujący. Udowodnił dwa niezbite fakty: pijaństwo w czasie godzin pracy pogotowia i tolerancję dyrektora, który za te przewinienia karał jedynie nielicznych i to wyłącznie wtedy, gdy już nie było żadnego innego wyjścia.

Wojciech Andrzejewski, mecenas dr Targaszewskiej, apelował w trakcie procesu: — Moja klientka postanowiła skończyć z pijaństwem w pogotowiu, przynajmniej na swoim odcinku. Jeśli nie zostanie przywrócona do pracy, cnota będzie upokorzona, a niecnota po raz któryś zwycięży...

Opinię łódzkiego świata lekarskiego na temat afery są podzielone.

— Dr Kurek: — Doktor Targaszewskiej należałoby wystawić pomnik. Jako lekarz jest już na bruku, ale walczy nadal. Teraz nie o swoją sprawę, bo jej nie ma, o ideę.

Lekarz med. Alina Myczkowska, były konsultant wojewódzki do spraw ginekologii i położnictwa do dr Targaszewskiej, która skarżyła się na położne: — „Cały świat pije, a pani chce Polskę uzdrawiać?"

Po artykule Tomasza Sienkiewicza „Poślizg" w „Przeglądzie Tygodniowym" w łódzkim Wydziale Zdrowia zawrzało. Niektórzy władni, głęboko wierzący w potęgę własnej mocy, po wysypaniu wozu przekleństw na głowę wścibskiego dziennikarza, stwierdzili głośno, że postarają się, aby więcej nie wziął pióra do ręki — już mu to załatwią. (Domyślam się, że wyłamią kończynę). Spowodują także, aby więcej o tym nieszczęsnym procesie nie pisano w prasie, zwłaszcza w „Odgłosach". Bryl też powinien znać swoje miejsce w szeregu (To o mnie). Teraz tylko patrzeć jak na całą Polskę, do ministra T. Szelachowskiego, do różnych instancji rozlegnie się gromki krzyk skargi, protestu. Oburzeni pracownicy pogotowia łódzkiego pod wodzą dyrektora wystosują pewnikiem list, iż są szkalowani, że niecne pismaki wykorzystując wybryki nielicznych niesubordynowanych jednostek brukają opinię całej instytucji, szargają pogotowiarskie świętości! O ludzka naiwności, psychozo tłumu... Tak się dać zwariować. Przecież to jasne, że nawet nie grupka złych pracowników, ale indolencja dyrekcji, nieumiejętność kierowania ludźmi, zespołem, powodują, iż fakty które nie powinny mieć miejsca, bądź też powinno się je załatwić na gorąco i uczciwie — narastają do gigantycznych rozmiarów, wyłażą na miasto, włóczą się po sądach, stają się przedmiotem zainteresowania prasy. Nie byłoby sprawy dr Targaszewskiej, żadnej sprawy... Ale dyrekcja widać to lubi... Przy tym szef jest zręczny, potrafi wpływać na ludzi. Oto jeszcze jeden dowód tego wpływu. W trakcie trwania procesu dyrektor zażyczył sobie zmiany przewodniczącego składu, wystosował pismo do Prezesa Okręgowego Sądu Pracy i Ubezpieczeń Społecznych w Łodzi.

— *„Osobiście ja, oraz przewodniczący Zw. Zawod. Prac. Wojewódzkiej Stacji Pogotowia Ratunkowego ob. Bednarek, ob. ob. H. Muszyńska, W. Pilarczyk, H. Rybak — widzieliśmy jak Sędzia T. Groeger przesyłała dwuznaczne uśmiechy do pełnomocnika wnioskodawczyni adwokata, Andrzejewskiego, które stwarzały wrażenie, że sędzia pozostaje w przyjaźni z adwokatem. Reasumując powyższe wnoszę o wyłączenie od prowadzenia sprawy sędziego".*

Oczywiście bezpodstawny, groteskowy wniosek został oddalony. Trągiczne jest to, iż na życzenie dyrektora podpisały go bezkrytycznie B. Łokaj — sekretarz POP PZPR, przedstawiciele Związku Zawodowego J. Karwacka, E. Żeleńska i W. Bryś. Żadna z podpisanych osób nie była na procesie, nie widziała „nieprzyzwoitych" uśmiechów sędziego, a jednak wszyscy położyli swoją parafkę i pieczęć poważnych organizacji pod tym pismem. Czy można w tak bezmyślny, nieuczciwy sposób narażać na szwank organizację, którą się reprezentuje, ośmieszać siebie?

Widać wyraźnie iż energia ludzi odpowiedzialnych za całokształt pracy łódzkiej służby zdrowia nie idzie we właściwym kierunku. A może by tak należało zrobić porządek na własnym podwórku, bo faktem jest, iż dzieje się źle. Ja również mam poczucie, iż przyczyniłem się niechcący do utrwalenia takiego stanu rzeczy. Pisałem niejednokrotnie o łódzkim pogotowiu, znam doskonale trudności kadrowe dr Okińczyca i prawdę, że tutaj do pracy z nielicznymi wyjątkami przychodzą ludzie, którzy z różnych względów nie mogą nigdzie znaleźć miejsca. Naciągałem wiele, pisałem na wyrost i także prawdę o trudnej pracy pogotowiarzy, chciałem dodać instytucji powagi, pomóc dyrektorowi w przyciąganiu fachowców z prawdziwego zdarzenia. I co się stało? Narósł wrzód nie tylko na ciele łódzkiej służby zdrowia, ale miasta. Pora go przeciąć. Jest nadzieja, że sprawa zostanie rozwiązana. Doktor Targaszewska dotarła do członka Biura Politycznego Albina Siwaka. Gdyby normalną drogą wszystko trafiło do ministerstwa zdrowia i utartym szlakiem zostało przekazane do łódzkiego Wydziału Zdrowia, wiadomo, utknęłoby w martwym punkcie.

Wyrok Sądu też usankcjonował istniejący bałagan. Doktor Targaszewska powinna być przywrócona do pracy, chociażby miały odejść wszystkie położne! Pielęgniarka Wojewódzka mgr Maria Ziółkowska poinformowała mnie, iż jest w stanie zapewnić stacji potrzebną ilość personelu. A jeśli w pogotowiu wróciłby ład, porządek, wielu z tych, którzy teraz się obijają, musiałoby wziąć się solidnie za pracę, bez przespanych dyżurów, wyjazdowych luzów, albo odeszłoby na własną prośbę.

Skrzywdzono dr Anastazję Targaszewską, uczciwego lekarza. Wbrew panującej powszechnej opinii o niebotycznych fortunach ginekologów-położników, żyje z rodziną bardzo skromnie, jest jedynym żywicielem rodziny, chory mąż na rencie, dwoje dorastających dzieci, nie ma willi, segmentu. W pogotowiu przeszła upokorzenia, szantaż. Nie oszczędzono lekarce także telefonów z pogróżkami. Na serio kontrolowano czy doktor Targaszewska nie ma fermy lisów — bo przyszedł takowy anonim. Dziś doktor Targaszewska nosi się z zamiarem odejścia z zawodu.

Świadectwo dojrzałości (1)

RYSZARD BINKOWSKI

Tata wywierał presje na mame, aby sprawniej szykowała sie na imieniny u cioci Zosi. Ciagnęło go do tych igrców jak wielbłada do wodopoju, ponieważ był człowiekiem rozrywkowym i miał bardzo pojemny organizm. Ot skromny czterdziestoletni, średnio wykształcony emeryt bez zawodu i bez zajecia.

Mama była niezbedna na każdych imieninach, albowiem oddziaływała psychologicznie na gości. Pracowała jako specjalista do spraw fluktuacji na trzecim oddziale wojewódzkiej bazy ludzi żywych, gdzie ustawiała psychicznie kierowców, by krecili kółkiem w przeciwna strone i nie garażowali w kostnicach. Ponadto mama wychowywała nowoczesnie siedemnastoletnia córke Basie, która uczeszczała do trzeciej klasy technikum chemicznego. Dziecko otrzymało od Świetego Mikołaja prezencik w postaci zestawu „Mały Chemik", iżby mogło po maturze pomagać tacie w procesach destylacji. Basia była kształcona przez władze, lecz nie uświadomiona przez mame, bo od tego sa Skiroławki, Telewizja oraz rapier małego kaprala.

Kiedy tata z mama obliczali przed lustrem, ile też u Zosi wypadnie na łeb, Basia segregowała bilon swój kieszonkowy oraz doskonaliła urode. Na podbój wieczorowego świata miasta Łodzi wypadło jej osiemdziesiat sześć złotych nawisowych. Uroda była bardziej podreperowana. W swoich błekitnych sztruksach, w białej kurtce ze stójka i z przetrzebionym włosem prezentowała sie jak złowieszcza kurtyzana z salonu punków, którzy łykaja gwoździe w celu usztywnienia fryzury.

— Rany boskie, a kto cie tak wymłócił?! — warknał ojciec, olśniony widokiem córki.

— Jeszcze nikt, tatusiu. Tylko suszarka zassała i wciagneła mnie do środka.

— Cha, cha, cha! A z tej suszarki to ty dokad, he?

— Ano, tatusiu — szczebiocze przymilnie dziewcze — umówiłam sie z koleżanka Ewa na lody.

— *Gdzie?*

— Ano, w „Puchatku", tatusiu.

Matka objeła dziecie głeboko psychologicznym spojrzeniem o sile pieciu rentgenów, po czym rzekła suchym, drewnianym tonem:

— Mam nadzieje, moje dziecko, że te lody ci nie zaszkodzą, co?

— E — ee, państwowa produkcja, nie skażona gronkowcem...

— A nie roztopia w tobie hartu ducha i cnoty?

— Oj, mamo, jedna porcyjka?

— No, no! To kiedy wrócisz?

— Zgodnie z regulaminem o dwudziestej pierwszej, mamusiu.

Otrzymawszy błogosławieństwo, córka poszła na lody, a zaraz potem tata z mama wyruszyli na imieniny.

2.

Na imieninach u cioci Zosi rej wodził kolega Dareczek, bardzo smagły rajdowiec bez zawodu, ponieważ ostatnio wjechał na dach tramwaju linii 21. Ten ujeżdżacz swawolny zabawiał gości jak dzieci, opowiadając anegdoty o dziewczynce, która strasznie bluźniła, tudzież o społecznej inspekcji, która doznała szoku w przedszkolu, bo dzieci korzystały tylko z jednego nocnika.

A kiedy było już po flaszce na głowe, w piersiach taty Barbary zaryczał lew. A kiedy wybiła dwudziesta druga, zbudził sie w nim także duch ludowego kontrolera, zrodzony w umysłach ludzi specjalnej troski.

— Matka — warknał bełkotliwie — zrób kontrole na chacie!

— Ależ co ty, Ziuteczku? Czy ty nie masz zaufania do własnego dziecka?

— Nie wiem, ale coś mi mówi, że ono prysnęło na jakaś emigracje.

— Opanuj sie, Ziuteczku! Czy ona może zrobić ci manko?

— Manko nie, ale superate może taką wykręcić, że sie nie pomieścimy w domu. Dzwoń!

Dla świetego spokoju matka zadzwoniła dwukrotnie. Telefonu nikt nie odebrał.

— A nie mówiłem?! — pieni sie tata.

— Ziuteczku, pij, ludzie patrzą. Dziecko wyłączyło, jak zwykle, aparat z gniazdka i śpi.

— No, to do niej podobne. Pewnie ją znużyły eksperymenty z „Małym Chemikiem" — zgodził sie uspokojony tata i sięgnał po butelke.

Imieniny przeciagnęły sie, albowiem jeden z gości okazał sie honorowym dawca krwi ze wsi. Przywiózł ci on bańke płynu markowego pt. „The Moon Light Vodka", co motłoch nazywa wulgarnie księżycówką. Dlatego też tata z mama zmuszeni byli oddać sie dogłębnej degustacji. Do domu ruszyli tuż przed północą. Zbliżała sie godzina duchów.

3.

Ale żadnych duchów nie było.

Telefon był właczony.

Baśki nie było w łóżku.

Saldo w sprzetach, banknotach i biżuterii nie drgnęło.

Foto: Grzegorz Gałasiński

Mimo to matka trzeźwiała na gwałt, ojciec miał komplikacje. Stan, w jaki teraz przechodzili, nazywamy panika. Nic dziwnego, ponieważ Baśka najpóźniej zjawiała sie w domu o dziesiatej wieczorem.

Udali sie przeto do koleżanki córki, rzeczonej Ewy. Ta dzielna, zdyscyplinowana dziewczyna spała już zgodnie z regulaminem. Aby ją zbudzić, matka musiała uszkodzić jej nieco fryzurę. Dziewczę miało włosy nawinięte na druty do robienia swetrów, dzięki czemu jej główka przypominała wystraszonego jeża w ucieczce przed walcem drogowym. Oko jej było trzeźwe, a gardło schrypnięte po lodach.

— Byłaś z Baśką w „Puchatku"?! — wrzasnęła rodzona mać, by pocieche otrząsnać ze snu, powiedzmy.

— Aha.

— I coście robiły?

— Jadłyśmy malinowe lody — wychrypiała Ewa.

— A gdzie jest Basia? — podjęła indygacje pani psycholog od kierowców.

— Nie wiem. Ona sie tam spotkała z dwoma chłopakami i z jakaś dziewczyną.

— I została w „Puchatku"?

— Nie — eee — ziewnęła Ewa. — O ósmej wszyscy wyszli i wsiedli do żółtego mercedesa z rejestracja LGD, numeru nie pamiętam...

— A tyś, cholero, została?! — natarła matka Ewy.

— Broń Boże! Oni mnie podrzucili do domu, a Baske mieli wysadzić po drodze.

— Ale ona dotad nie wróciła.

— Jeśli nie wróciła — odparła Ewa — to bawi sie w klubie „Rezerwat"!

Natenczas rodzice Barbary wezwali na pomoc znajomego detektywa w szarobłekitnym mundurze. Udali sie do klubu „Rezerwat", ale tam wrzeszczała tylko bez przerwy jakaś opetana, że kocha Adriatyk. Baśka tego nie słuchała, bo w klubie jej nie było.

Tata z mama wszczeli przeto poszukiwania na własna reke. Byli nawet u babci Barbary, ale na próżno. Pozostała im wiec penetracja ulicy, na której mieszkali. Pohukiwali, nawoływali, budzili sasiadów, przez co tate chciał nawet zawieść do żłobka nieznany milicjant, lecz zrozumiawszy ojcowski ból, puścił go luzem. Rodzice penetrowali wiec dalej, zaglądając do różnych zakamarków, aż po kres wyczerpania.

Zrezygnowani i znudzeni usiedli w pokoju i czekali ze słowem bożym na powrót swej marnotrawnej.

4.

W tym miejscu należy z bólem ujawnić, że malinowe lody to była pospolita, lipna zagrywa, w której koleżanka Ewa stanowiła żywe świadectwo moralności uczennicy Barbary. To znaczy malinowe lody, owszem, były tego wieczora, rzecz jednak w tym, iż pomysł na lody zrodził sie już przed tygodniem, kiedy to Barbara poznała w „Puchatku" przystojnego i możnego faceta ze strefy prywatnej. Miał dwadzieścia dziewieć lat, prezentował sie jednak tak młodzieńczo i dziarsko jak poborowy przed strzyżeniem. Ponieważ dysponował mercedesem oraz majątkiem w postaci firmy polonijnej trzaskającej galanterie lekka na rynek wewnętrzny, zachwycona sztubaczka umówiła sie z nim za tydzień w tym samym miejscu i o tej samej porze.

Czekał wiernie przy stoliku w towarzystwie kolegi Marka i koleżanki Joli, wszyscy z branży lekkiej i z pełna galanterią. Przerobili lody, kawe, pare erotyczno-politycznych dialogów, po czym wyszli i pozbyli sie w drodze Ewki, która chciała do domu. Baśka też chciała do domu, ale nie orientowała sie w czasie, ponieważ wyczerpała sie bateria i stanął jej zegarek. Czas sie zatrzymał, lecz szef firmy polonijnej ani myślał, gdyż był na chodzie. No i ten szef, który miał na imie Albin, oświadczył beztrosko:

— Dziecino, toż to pora dobranocki dla przedszkola, a ty chcesz lulu? Za wcześnie, dziecinko, za wcześnie, przed toba wielki świat! Zabawimy sie, jak na biznesmenów przystało w sport tenisowy. Biały sport, moja droga, rekreacja i kompletny hajlajf...

No i pojechali na korty do parku księcia, co utopił sie w rzece, aby przerobić po jednym secie bez rakiety. Mogli wprawdzie zagrać w tzw. włosianke, ale przeszkadzali im faceci, co sie krecili w cieniu. Ich kostiumy wcale nie były podobne do uniformu sedziego z gwizdkiem. Baśka zaczeła grymasić, wiec Albin do niej:

— Wstyd, dziecino, doprawdy wstyd! Musisz zaliczyć Europe, kochanie!

Zawstydzona uczennica ustapiła i pojechali do „Europy", gdzie Jola z Markiem zassali po lufie wina. Baśka nie piła, gdyż nigdy nie używała alkoholu państwowej produkcji. Albin również nie pił, ponieważ w swym tajnym planie miał długą trase za kierownica.

5.

Po zwiedzeniu Europy Baska znowu oświadczyła grymaśnie, że musi wracać do mamy. Wyrozumiały Albin wyraził zgode na podrzucenie jej wapniakom, ale po drodze zajechał pod „Rezerwat", gdzie miał do załatwienia polonijny interes. Jak Baśka usłyszała skowyt żałosny: Adria... adriaaa-aa-tyk!", to natychmiast wyraziła zgode na pląsy. Ale było już późno, w klubie tłok jak u rzeźnika w wolne soboty, wiec bramkarze nie chcieli ich wpuścić. Wtedy do mercedesa wpakował sie kolega Maks, taki elegancki młody gość z kolczykiem w prawym uchu, żeby sie nie zgubił w mieście. Maks podał sie za mocnego z geografii i specjaliste w wykrywaniu nocnych oaz radości. No i zaczęli odwozić uczennice Basie do domu. Zdaje sie, iż Maks był jednak kiepskim nawigatorem, albowiem odwózka strasznie długo im szła, tak jakby nie mogli trafić pod wskazany adres. Kiedy auto przystanęło na skrzyżowaniu, Baśka próbowała dać drapaka, ale drzwi, cholera, były zablokowane.

I wtedy Baśka, jak zauważyła Jola, zaczeła zachowywać sie nienormalnie. Niby to sie bała, niby to kuliła sie ze strachu jak gołębica w cieniu jastrzębia, a jednocześnie przytulała sie z kokieteria do swego Albina. Albo nie chciała stracić milionera, albo też usiłowała wzbudzić w nim uczucia amnestyjne, żeby ją zwolnił z internowania.

Takie ni w pieć ni w dziewieć zdenerwowało Jolke, która była istota doświadczona przez los. Powiedziała wiec szeptem Baśce, że ona też by chciała do domu, ale już dawno zrozumiała, że tu chodzi o zwykłą nocna dmuchawke, wiec nie ma sie co pindolić.

Milioner Albin dosłyszawszy ów szept, zamiast skruszeć, uśmiechnał sie szyderczo. Milionerzy na ogół sa bez serca i nie mała demokratycznego charakteru.

Ale o tym, jaki wpływ wywiera smak lodów malinowych na psychike i doznania cielesne nieletnich oraz żonatych, dopiero za tydzień.

C.D.N.

Druty

JACEK WALCZAK

Michał nie był najlepszym dzieckiem, ale nikt nawet nie mógł przypuszczać, że tak potoczą się jego losy.

Budowa wiaduktu nad torami kolejowymi posuwała się w żółwim tempie. Ciągle przestoje, brak materiałów bądź robotników to codzienny obraz tej inwestycji. Mieszkańcy osiedla kiwali tylko z politowaniem głową, przeklinając w duchu ekipę budowlaną, bo teraz do pracy musieli jeździć niemal przez centrum miasta.

— *„Zawsze mnie szlag trafiał jak patrzyłem na te roboty. Mieszkam tu w pobliskim bloku i nieraz widziałem, że na budowie nic się nie dzieje, oprócz tego, że okropny tam bałagan, powiększający się z dnia na dzień, oraz mnóstwo wałęsających się dzieci".*

Dzieciarnia mieszkająca na osiedlach-molochach nie ma gdzie się bawić. Wybetonowane podwórka, otoczone betonowymi pudełkami, nie pozwalają na „rozwinięcie skrzydeł". Tłoczą się w różnych kątach takich enklaw, myśląc o miejscach pozwalających na zabawę w coś ciekawego. Wychodzą poza ich granicę szukając placu do zabawy w chowanego, „wojnę", czy Bóg wie w co tam jeszcze. Najlepszym do tego miejscem jest teren budowy. Tam można i gdzie się schować, i znaleźć coś ciekawego. Kawałek kija w rękach dziecka zamienia się zaraz w karabin maszynowy.

— *Ciągle wyganiałem tych smarkaczy z budowy. Chodziłem z psem, ale gdzie tam. Wyganiam ich z jednego końca, to pokazują się za chwilę w drugim. Panie! Mnie już sił brakowało. Psa się bałem spuścić. A przecież wystarczyłoby jakieś ogrodzenie. Pewno, że i tak by tu przychodzili, ale już nie wszyscy. Co parkan to parkan. Pies też mógłby wtedy biegać po terenie. Nigdzie by nie uciekł".*

Ogrodzenia jednak nie było. Ta potężna obszarem inwestycja nie potrafiła się odgrodzić od reszty otoczenia, jakby chciała żyć razem z nim, przypominając co dzień że jest. Kusiła wszystkich swym „bogactwem".

Święta Wielkanocne były tuż, tuż. W codziennej przedświątecznej krzątaninie dzieci nie były mile widziane przez rodziców. Co prawda starsi oczekiwali pomocy od nich, ale o pomocy raczej nie było mowy.

Michał nie lubił tych dni. Wolał się nie pokazywać w domu. Jego ulubionym miejscem była piwnica. Tam, wraz z kilkoma kumplami mieli swój kącik.

— *„Zawsze, kiedy schodziłem do piwnicy zastawałem tam gromadę chłopców. Zachowywali się głośno, ale kiedy wchodził ktoś starszy, milkli natychmiast. Czuło się jednak dym papierosowy. To nie było miejsce dla nich. Wyganiało się, ale gdzie tam. Nic sobie z tego nie robili. Przychodzili tu ciągle. — Czy coś kradli? Nie! Nie, tego zarzucić im nie można.*

Tam właśnie, wśród dymu palonych petów zapadła decyzja. Kto pierwszy dał tę propozycję nie pamiętają. Ale zgodzili się na nią wszyscy. — Idziemy na budowę! Skończyli jeszcze palić, pogadali chwilę i poszli.

Na dworze prószył lekki śnieg. Było zimno, ale nie mroźno. Ziemia nie była zamarznięta, tworzyła coś w rodzaju mazi, w której przy każdym kroku toną buty. Było szaro, kiedy dotarli do wiaduktu.

Dozorca z trudem brodził po błocie. *„Dziś to chyba żaden gówniarz tu nie przyjdzie. Dopiero by matka takiemu dała, gdyby zobaczyła po zabawie tutaj jego buty".* Rozejrzał się jeszcze wokoło i wrócił uspokojony do stróżówki.

Ten dół nie był daleko. Widać go było z ulicy. „Zachęcał" dzieciarnię do zabawy w nim. Doskonale nadawał się na „okopy". Michał i jeszcze czterech jego kolegów dotarło w okolice wykopu około godziny 16.30. Chłopcy rozejrzeli się wokół. Ochota do zabawy minęła. Wtedy w piwnicy, kiedy mówili o tym by tu przyjść, wydawało im się, że będzie fajno. A tymczasem — robi się coraz ciemniej i zimniej. Śnieg zaczyna padać coraz gęstszy. Dla rozgrzewki postanowili porzucać kamieniami. O cel nie było trudno. Wystające wokół deski, walające się butelki stanowiły znakomite tarcze. Posypały się grudki zamarzniętej ziemi. Krok po kroku zbliżali się do dołu.

— *„To było nagle. Niespodziewanie. Michał zauważył jakąś butelkę. Postanowił w nią rzucić i kiedy się zamachnął ziemia obsunęła się pod nim. Stracił równowagę i po chwili zobaczyliśmy jak znalazł się w dole. Początkowo to nawet nas rozweseliło. Był cały utytłany w błocie. Wyglądał naprawdę śmiesznie. Podniósł się, ale nie wychodził od razu. Zaczął jeszcze czegoś tam szukać. W pewnym momencie poczuliśmy, że rzuca w nas gliną. Był wściekły. Po kilku minutach spróbował wyjść. Dół nie był głęboki, ale błotnista ziemia obsuwała mu się spod nóg. Gromolił się, ale za każdym razem leciał w dół. Jeden z nas pobiegł poszukać jakiejś deski, by mu podać. Po kolejnej nieudanej próbie, kiedy obsunął się wraz z ziemią, wynurzyły się z błota druty".*

Chłopak milknie. Odwraca wzrok. Nie chce mówić.

Matkę coś tknęło. Poczuła się nieswojo, była zdenerwowana. Mąż jeszcze nie wrócił z pracy, a chłopak od kolegów. Niepokój wzrastał z minuty na minutę. Wreszcie około godziny 20 dzwonek u drzwi.

Michał zauważył te dwa wystające z ziemi druty. W jego oczach było widać błysk zadowolenia. No teraz się wreszcie wygramoli z tego przeklętego dołu. Ale jak on wróci do domu. Jest cały brudny. Matka znowu zrobi mu awanturę. Złapał się metalowych prętów i poczuł nagle potężne szarpnięcie. Wstrząs był tak duży, że upadł na dno.

Koledzy spojrzeli po sobie zaskoczeni. Zaczęli krzyczeć, ale tam w dole nikt się nie odzywał. Postali jeszcze chwilę i zaczęli biec w stronę domu. Przerażenie było tak ogromne, że o tym, co się stało, nie powiedzieli nikomu.

— *„Kiedy ujrzałam męża, uspokoiłam się nieco, ale nie na tyle, żeby być już całkowicie spokojna. Michał ciągle nie wracał. Około 23 pobiegłam do jednego z jego kolegów. Był jakiś dziwny, kiedy mówił ze mną, plątał się w rozmowie, ale wytłumaczyłam to sobie nieodpowiednią porą mojej wizyty... Wróciłam do mieszkania. O spaniu jednak nie było mowy".*

W niecałą godzinę później schodząc znowu na poszukiwanie syna spotyka na schodach Jarka. Ten ciągle przerażony słowo po słowie opowiada co się stało.

Ojciec Michała zawiadamia milicję i pogotowie. Kiedy dotarli na miejsce wypadku, chłopak już nie żył. Miał 16 lat.

— *„Czy mam żal do jego kolegów? Początkowo tak. To było straszne. Patrzyłam na nich jak na morderców. Jakby to oni byli winni śmierci syna. Wie pan, miałam podstawy tak myśleć. Wydawało mi się, że są dorośli. Przecież tak się zachowywali. Palili papierosy, rozmawiali o dziewczynach. W domu negowali wszystko to, co im się mówiło o życiu. A tymczasem zachowali się jak dzieci. Jak dzieci. Bo chyba byli jeszcze nimi wtedy".*

W kilka dni później przechodzący obok wykopu ludzie zauważyli nadal groźnie sterczące z ziemi DRUTY!!!!

P.S. Imiona bohaterów reportażu zostały zmienione.

Proza młoda i najmłodsza (1)

Młoda proza?

TADEUSZ BŁAŻEJEWSKI

Czy istnieje w naszej literaturze współczesnej coś takiego, jak młoda proza? Sądzę, że tak. Ta nieostra treściowo i zakresowo nazwa (podobnie jak i stosowana wymiennie: proza nowych nazwisk) obejmuje dzisiaj co najmniej twórczość kilkudziesięciu autorów, zarówno debiutantów, jak i ludzi, którzy zdążyli już nabrać doświadczenia w pisarskim fachu. Na ogół odnosi się ją do przedstawicieli generacji autorów urodzonych około roku 1950, ale obejmuje ona także prozaików starszych, którzy debiutowali w końcu lat siedemdziesiątych czy później. Termin: młoda proza świadomie stwarza wizję pewnej całości, łącząc odległe osobowości twórcze, zróżnicowane problemy i różne przejawy świadomości artystycznej. Jako umowną całość traktuję i ja owo zjawisko, po pierwsze dlatego, iż istnieje już w tym względzie wystarczająca tradycja krytycznoliteracka, po drugie zaś z tej racji, że — jak pisał Kazimierz Wyka w szkicu „Żywotne tradycje prozy polskiej", pomieszczonym w „Pograniczu powieści" — proza jest gatunkiem najbardziej związanym z ciągłością życia społecznego.

Jako motto tego szkicu proponuję aforyzm Wacława Berenta: „Literatura jest jak kokota. Kiedy jest przezorna i dalekowzroczna, dba o opinię i stara się o ciche względy starszych panów. Gdy jest młoda i płocha, lubi nadto modne stroje...". Pokażemy je w dalszej części tej skromnej zaledwie wycieczki w stronę młodej i najmłodszej prozy, wycieczki ograniczonej nie tylko doborem nazwisk i tytułów, lecz również momentem, w którym prezentowane tu powieści i opowiadania pojawiały się na czytelniczym rynku. Daję bowiem obraz stanu rzeczy z przełomu lat siedemdziesiątych i osiemdziesiątych. Myślę zresztą, że takiego wyboru nie trzeba specjalnie motywować.

Z DYSKUSJI O MŁODEJ PROZIE

W tomiku „Gwizdy w obecność" (1982) Ryszarda Milczewskiego-Bruna znajduje się wiersz pod symptomatycznym tytułem „Z dyskusji o młodej literaturze". Warto go przytoczyć, bo belkotliwy zapis naśladuje ironicznie styl większości naszych dyskusji o literaturze współczesnej. Posłuchajmy:

...już nawet szczać trudno —
co wypryszczesz
Prawdziwie — neologizm:
powiedza — —
Poprzez płoty i drapaki — Sroki·
Wyskrobały wszystkie złoto
z grobów
I do dużego miasta odleciały
do kopalni — —
A Noże — rozwody pamieci biorą
Tną konwencjonalnie
wyobraźnię całą
I tradycję Pól — dlaczego
zaraz w pień?
A z tym szczaniem to tak —
pomachasz po wsiech
I zaraz w okolicy Łuków
Brwiowych — żary
Sinego stoku —
onomatopcja — —
I miast bohatera naszych
czasów — Deski;
Młody górniarz i stary
policjant —
Biją dialektycznego konia!

Wypowiedzi na temat młodej prozy można podzielić na cztery grupy: wypowiedzi przypadkowe, dyskusje redakcyjne, wystąpienia wyznawców teorii rewolucji artystycznej w prozie polskiej, głosy zwolenników nowego pokolenia literackiego w literaturze polskiej. Trudno doprawdy je tutaj zreferować czy omówić, już choćby z uwagi na obfitość materiału. Powiedzmy jedynie, iż zdecydowanie przeważało stanowisko krytyczne i oskarżycielskie wobec ewidentnego zwrotu ku prozie, jaki od kilku lat obserwujemy. Zaś protagonistyczne koncepcje w rodzaju rewolucji artystycznej (Henryk Bereza „Bieg rzeczy" — 1982; Krzysztof Rutkowski „Ani było, ani jest" — 1984) czy nowego pokolenia w literaturze polskiej (Leszek Bugajski „Następni" — 1982; Andrzej W. Pawluczuk „Rozbiory" — 1983) zyskały tyluż wyznawców, co i przeciwników.

Najbardziej krytyczne stanowisko zajął Stanisław Burkot w eseju „O «młodej prozie» lat 70-tych. Pytania i konstatacje" („Pismo" 1983 nr 3). Oskarżył on wręcz młodą prozę o zaprzepaszczenie szansy stworzenia „wielkiej panoramy naszych czasów", o nieuchwycenie i nierozpoznanie współczesności w jej gorzkich paradoksach. Na palcach jednej ręki zliczył eseista utwory, które zdołały przebić się przez stylistyczne i tematyczne konwencje ku nigdy nie rozpoznanemu do końca jądru rzeczywistości społecznej". Stan ów tłumaczył z jednej strony uległością wobec zakazów i nakazów administracyjnych, z drugiej zaś tendencją inflacyjną, wyrażającą się tym, że książki słabsze dominują po prostu na czytelniczym rynku. Słabość wynikałaby więc poniekąd z nadmiaru, ze swego rodzaju rozmieniania się młodej prozy na drobne.

Wydaje się jednak, iż zawiedzione nadzieje na wielką literacką panoramę naszych czasów pojawiają się trochę ex post, kiedy już wiadomo, że raczej jej nie będzie. I zbyt są chyba maksymalistyczne, jakby oderwane od wszelkich uwikłań życia literackiego i nie tylko literackiego. Dlatego też tągle jeszcze nie ziszczoną szansę młodej prozy — jako pewnej hipotetycznej czy też faktycznej całości — widziałbym gdzie indziej: w usiłowaniach stworzenia czegoś w rodzaju literackiego systemu wczesnego ostrzegania (zorientowanego zarówno społecznie, jak i szanującego indywiduum), jako wyniku chociaż cząstkowego — lecz w miarę rzetelnego i odpowiedzialnego — rozpoznania rzeczywistości. Jak dotąd udaje się to jedynie w bardzo ograniczonym zakresie. I nie wszystko da się usprawiedliwić administracyjnymi naciskami czy pozoracją życia literackiego. Podobnie jak nie wszystko też można wyjaśnić przy pomocy pojęcia rewolucji artystycznej czy konstrukcji pokolenia literackiego. Po prostu ambicje poznawcze nie są konsekwentnie rozwijane, a demaskowanie umowności literatury nie przyniosło — poza sporadycznymi przypadkami — spodziewanych skutków.

KŁOPOTY Z DOJRZEWANIEM

Niedojrzałość permanentna — *impubertas in continuu*. Ten nurt w literaturze naszej znaczą świetne nazwiska. Dwa może wspomnę: Gombrowicz, Kuśniewicz. Nie chciałbym w ten sposób wyznaczać wysokiej poprzeczki młodej prozie. Raczej uzmysłowić żywotność problemu. Bo w końcu nie literatura o nim decyduje. Ona nam tylko nie pozwala zapomnieć o niedojrzałości, wciąż przeżywanej, na nowo doświadczanej.

U Gombrowicza czy u Kuśniewicza niedojrzałość to cecha kultury. W młodej prozie nosi ona przede wszystkim znamiona konkretu, ogranicza jednostkowego bohatera. Tam — w uproszczeniu — niedojrzałość polegała na „przyprawianiu gęby". Tu gębę przyprawia sobie bohater samoczynnie. Ale przecież wierzy, iż niedojrzałość i zbłąkanie uda się kiedyś przezwyciężyć właśnie przy pomocy literatury. Zwodnicza i naiwna to wiara.

Naiwność bowiem stanowi istotną cechę wielu bohaterów młodej literatury. Oto kilka przykładów. Rzuca się ona w oczy w powieści Jacka Natansona „Mały bilard z grzybkiem" (1976). Powieść Natansona przedstawia dzieje szalonego uczucia szalonego studenta do jeszcze bardziej szalonej pensjonarki. Pensjonarka owa zda się nowocześniejsza niźli Młodziakówna z „Ferdydurke", co tu akurat wyraża się zdecydowanie większą zaborczością. Stylizuje się na mroczny przedmiot pożądania i jest demonem kobiecości w niewinnej, drobnej postaci. Goniący za nią playboy koniecznie chce okazać się prawdziwym mężczyzną: „Po kilkunastu dniach spędzonych wśród Hegla, całek, teorii konwergencji wykwita co jakiś czas przed twoimi oczyma czarny, falujący trójkącik o połyskujących skręconych włosach, wilgotny pulsujący ciepłem. I jesteś pewien bardziej niż kiedykolwiek, że teraz mógłbyś okazać się prawdziwym mężczyzną". Synonimem męskości stają się kolejno: samochód, alkohol, przygoda. W decydującym jednak momencie, gdy trzeba okazać choć cień odpowiedzialności za własne czyny, te powierzchowne atrybuty męskości pozbawione zostają znaczenia, mit silnego człowieka pryska niczym mydlana bańka. Sposób bycia rozkoszniaczków skarykaturowanych w „Małym bilardzie z grzybkiem" budzi co najmniej niesmak.

Bohater powieści Macieja Karpińskiego „Oto przyczyna" (1979) twierdzi, że życie nie ma sensu, bowiem skończyło się jego krótkotrwałe małżeństwo. Płaczliwy młody architekt tak przywykł do nagród, bankietów i służbowych wyjazdów za granicę, iż nie mieści mu się po prostu w głowie, że małżeństwo niekoniecznie musi się okazać kolejnym wspaniałym darem losu. Pryska więc mit konsumpcyjny: whisky już nie smakuje, samochody nie interesują, zagranica nie pociąga, wymyślne przyjęcia nie bawią etc. Czarna rozpacz. I ostatnie zdanie powieści: „Nigdy nie byłem młody". Nie pozostaje nic innego, jak tylko płakać razem z bohaterem nad paskudnym światem, który odmówił mu po raz pierwszy cukiereczka. Zamiast zamierzonego rozrzewnienia powieść ta wywołuje rozbawienie. Kompleksy erotyczne ukazane zostały bardzo naiwnie— bohater jest niepomiernie zdziwiony, że kontakty seksualne nie są w rzeczywistości tak interesujące, jak ich opisy spotykane w literaturze. Rzeczywistość wtedy jest dobra, gdy dostarcza przyjemności. Lecz zawistni i cyniczni bliźni wszystko popsują. Trzeba się więc zdystansować. Bo to obcy świat. Świat bezlitosny dla trzydziestoletniego niedorostka.

Wspomnieniem dzieciństwa jest powieść Krystyny Kofty „Wióry" (1980). Ostatni jej rozdział „Gdzie drwa rąbią, tam wióry lecą" zawiera opis wydarzeń z czerwca 1956 roku w Poznaniu, widzianych z perspektywy dziecięcej. Zabieg to o tyle interesujący, że pozbawiony komentarza. Zarejestrowane zostały zróżnicowane reakcje dorosłych oraz dzieci, przez co opis sytuacji staje się niby-naiwny, w gruncie rzeczy zaś przejmujący. W finale pojawia się obraz spracowanej kobiety modlącej się na przemian o syna, który jest w wojsku oraz o zdrowie drugiego syna, zranionego podczas wydarzeń. Zaletę powieści Krystyny Kofty stanowi pokazanie odmiennych reakcji na same wydarzenia, jak i na ogólną sytuację polityczną. Podwórkowe zabawy, mimowolnie parodiujące świat dorosłych wywołują obok uśmiechu melancholijną zadumę.

Powieść Piotra Bohdziewicza „Absolwent" (1981) mówi o perypetiach wkraczającego w życie zawodowe absolwenta wyższej uczelni. Wbrew chęciom podejmuje on pracę w urzędzie finansowym i doznaje — bo jakże inaczej — rozczarowania. Jest przerażony tym, co się wokół dzieje: jego obserwacje utrzymane w tonie Kafkowskiego absurdu ukazują bezduszną machinę urzędową z jednej strony, a z drugiej zapobiegliwą grupę kombinatorów wszelkiej maści. Bohater „Absolwenta" opętany jest więc jedynym pragnieniem: „Uciec, wreszcie uciec od tego wszystkiego raz na zawsze!" Ale ucieczka nie może się powieść. Rzeczywistość została tu zredukowana do najprostszych odruchów w walce o byt. Naturalistyczne opisy eksponują dwa instynkty: samozachowawczy oraz sadystyczny. Nie ma wspólnoty ludzi — jej miejsce zajęła walka każdego z każdym. Gdy rozstajemy się z bohaterem powieści, jest on na granicy szaleństwa. Jego nerwowy płacz kończący powieść brzmi jak skarga bezradnego dziecka.

Powrotem w krainę dzieciństwa okazuje się zbiór opowiadań Mariana Yopha-Żabińskiego „Palenie kołyski" (1982). Dystans, jaki oddziela dzisiejszego trzydziestolatka od lat młodzieńczych, pozwolił mu zrozumieć sens życia: polega ono na potrzebie obdarowywania innych własną osobowością, co wiązać się może z uprawianiem literatury. Yopha-Żabiński chętnie wprowadza do swych opowiadań początkujących pisarzy. Mają oni dobre chęci i sprecyzowany pogląd na sens słowa drukowanego. Pisarz — twierdzą — powinien w pełni rozumieć „o czym naród śni, co przeklina, na co się gniewa". Rezultatem tego rozpoznania powinna być literatura utwierdzająca czytelnika w przekonaniu, „że mimo braku mięsa w sklepach, mimo drożyzny, warto wstawać rano do pracy i warto żyć". Bohaterowie opowiadań nie wykraczają jednak w tym zakresie poza sferę dyskusji i pobożnych życzeń. Powstanie krzepiących naród dzieł odkładają na później. Tak więc niewdzięczna teraźniejszość ustępuje miejsca sentymentalnym wspomnieniom z okresu dojrzewania.

Zbliżoną problematykę podejmują zbiory opowiadań Andrzeja Łuczeńczyka „Przez puste ulice" (1982) Zdzisława Smektały „Krzywe ryło" (1982) oraz Marka Rymuszki „Miejsce na górze" (1983). Ukazują one żyjących dość tandetnie młodych ludzi, którzy chcą — jak to formułuje Smektała — wcielić się w inną osobowość, „poudawać Greka z przysłowia, zmienić własną wygarbowaną skórę na powłokę szlachetniejszą".

Ezra Pound zanotował w „ABC czytania": „Literatura to wiadomości, które się nie starzeją". W istocie — przypuszczam — nie starzeje się tylko banał. I dlatego od banału rozpocząłem ten konterfekt prozy młodej i najmłodszej: od próby uchwycenia wariantów dojrzewania. W ten sposób podkreślam, iż pierwszym niejako obowiązkiem młodych pisarzy stał się opis warunków, w jakich rozpoczynali start. Opisując je — rozpoczęli swą literacką autobiografię.

Charakterystyczna jest atmosfera niezakorzenienia w rzeczywistości. Gdy na przykład narrator rozgadanego monologu w „Opisie nocy miłosnej" (1976) Wojciecha Roszewskiego zapytuje siebie o sens przeżytych lat — to od razu deklaruje postawę ambiwalentną: z jednej strony sądzi, że jest to zjawisko groźne, kiedy w młodzieńczym wieku nie posiada się jasnej i ugruntowanej wizji własnego życia, z drugiej jednak uznaje te sytuację za pociągającą, bo pozwala ona każdego dnia zaczynać niejako życie na nowo. Inaczej mówiąc: niezakorzenienie w rzeczywistości objawia się odruchami sprzecznymi, poczuciu radości istnienia towarzyszą objawy bezsilności i frustracji.

W każdym razie młodość pozostaje skarbem najwspanialszym. Czyż można się zatem dziwić, że chcieliby ją zachować jak najdłużej?

■

(Fragment większej całości przygotowanej dla Krajowej Agencji Wydawniczej)

Z przyczyn technicznych druga część publikacji ukaże się za dwa tygodnie. Czytelników przepraszamy.

Barbara Gajewska

Dolina majowego zmierzchu

Pani Annie Kamieńskiej

majowymi zmierzchami wchodzę w dolinę złudzeń
w naręczach mokrego bzu odnajduję prawdę zatrzymanego czasu
i słyszę

gdzieś nad głowami przepływa z hukiem historia
wielkie głazy słów spadają pod nogi tych co zdradzili słowa
małe czyny nabrzmiewają wielkością krzyży wybrzeża
i słyszę

na arenie świata dwóch Zeusów toczy walkę w imieniu narodów
zastępy Hefajstosów wykuwają coraz to lepsze pioruny
a Charon z radości klaszcze w dłonie
i oblicza ile by tu za jeden kurs

i schodzę niżej
w ciszy mojej majowej doliny
spotykam uśmiechniętego Hioba

i panią Annę która głaszcze źdźbło trawy
jakby gładziła dłoń ukochanego męża
Bach skryty gdzieś we mgle gra Ave Maria na klawiszach czasu

a zakochani
swoją miłość niosą w dłoniach ostrożnie

na progach otwartych domów
Pokój

lecz to tylko dolina majowego zmierzchu

Andrzej Cezary Sawczenko

Wniosek o nadanie poecie nieznanemu odznaczenia bojowego pośmiertnie

motto:
It fit.
(Kurt Vonegut)

poeci w walce o pokój —
to temat na który zadano mi wiersz
obiecując (być może) nagrodę pieniężną
(tak zostałem poetą zaciężnym)
uzbrojony po zęby (ten brzydki zwyczaj obgryzania długopisu)
w pióro kulkowe dwukolorowe marki POLONIA firmy PAX
przystąpiłem do walki
najpierw z samym sobą (bon soir monsieur Freud)
jak bowiem ja pacyfista z natury i wykształcenia
mam prowadzić boje, a może nawet kolejną wojnę światową
np. z czterema pancernymi i psem
(też zresztą zmobilizowanym w randze pułkownika)
i to właśnie wojnę o pokój W swej naiwności cywila
sądziłem iż POKÓJ należy czynić bezkrwawo Zaś
WALKA kojarzy mi się raczej z gaszeniem pożaru benzyną
(chyba że jest to walka o pokój w nowym budownictwie z wygodami)
zważywszy jednak obowiązek obywatelski Ciążący
na mnie na mocy ustawy zasadniczej Oraz wstyd
co mnie pali, że nie spłodziłem dotychczas ani jednego syna pułku
Ruszyłem do ataku —
odwiedziłem wszystkie miejsca pamięci narodowej składając
biało-czerwone wiązanki z pąków róż i maków
(o mój rozmarynie rozwijaj się)
uroczyście odśpiewałem na placu wolności rotę i marsz pierwszej brygady

(pono nasi biją w tarabany)
Potępiłem Poparłem Przekazałem Na Cele Społeczne Uczciłem
(czołem żołnierze mówi wasz stary wiarus)
oraz wziąłem udział w festiwalu piosenki żołnierskiej
(witaj Zosieńko zamknij okienko na zachodnią stronę)
a także napisałem ten wiersz —

Biała córka śpi spokojnie Jest zima
za oknem wojna i zbrojne zagony Zamieć
szaleje mróz już ostrzy miecze
Chcę jej sen ocalić Mój
wiersz bezsilny umiera z obnażonym sercem
śmiertelnie ranny w bitwie pod grunwaldem
moskwą cecorą kutnem stalingradem verdun
monte cassino tobrukiem I
nieskończenie licznych polach chwały
na których niechaj potomnym miast krzyży zasługi Wyrośnie
KARTOFLA Ten narodowy poemat polaków

30.12.84—3.01.85.

Anna Blumental

Kamienowanie krzyku

Kamienowanie krzyku
ukamienować chcą
twoje oczy
— poeto
żeby nie widziały
jak ustawiają armaty

ukamienować chcą
twoje usta
by nie krzyczały
na cały świat

ukamienować chcą
twoje ręce
żeby nie mogły napisać
— pokój

ukamienować chcą
twoje ciało
by nie poznano cię
w tłumie...

kiedy wyłupią ci oczy
kiedy język ci wyrwą
kiedy palce połamią
— krzycz
kiedy gardło przebiją
krwią gołębie namaluj

ukamienować chcą
twój grób
żeby nie ranił pamięci

■

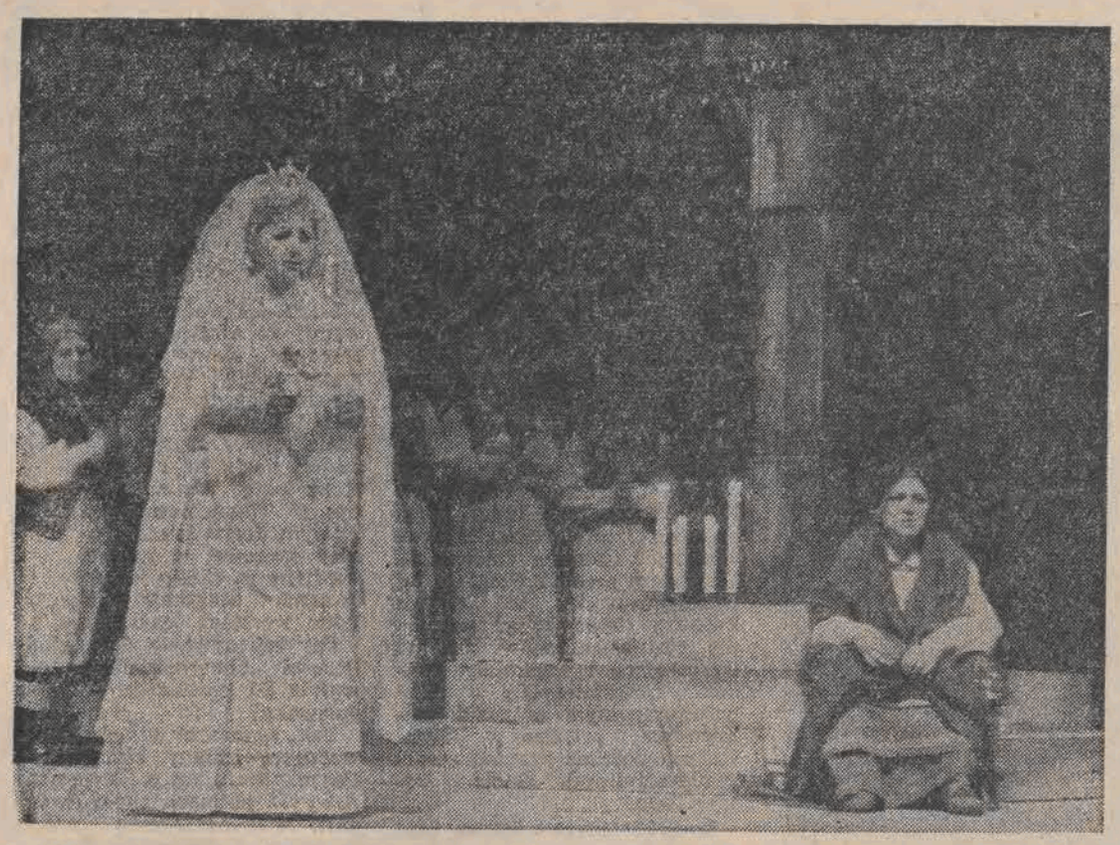

Stanisław Moniuszko „Halka" — na zdjęciu: Maria Szczucka (Zofia) i Barbara Rusin (Halka)
Foto: Chwalisław Zieliński

„Halka" bez szminki

Trudno dziś wyobrazić sobie moniuszkowską „Halkę" bez arii „Gdyby rannym słonkiem" lub „Szumią jodły", bez Mazura i Tańców Góralskich, a tak właśnie przedstawiała się pierwotna, dwuaktowa wersja tego dzieła, gdy w 1848 r. wystawiono je estradowo w Wilnie, nie posiadającym zresztą własnej placówki operowej. Dopiero w dziesięć lat później, na słynnej warszawskiej premierze ujrzano i usłyszano „Halkę" w czteroaktowej znanej nam postaci. Ale okazuje się teraz, że ta narodowa opera, którą wykonuje się zawsze — jakby się zdawało — ze szczególnym pietyzmem, nie jest całkowicie wierna wobec oryginalnego jej zapisu, akceptowanego przez kompozytora.

Instrumentacja tego dzieła i pewne oznaczenia dokonane przez Moniuszkę zostały, bowiem — już w naszym stuleciu — przeinaczone co nieco przez zasłużonych skądinąd, wybitnych muzyków, których nie zadowalało zbyt kameralne brzmienie orkiestry, postanowili więc przydać jej potęgi i blasku, zapewne w zbożnym przekonaniu, że dopiero w tak „ulepszonym" kształcie moniuszkowskie dzieło godne będzie stawać w szranki z najwybitniejszymi operami swojej epoki.

Co do mnie, to — jak niejeden z melomanów — podzielałem wypowiadane nieraz krytyczne opinie niektórych fachowców, zarzucających „Halce" pewną pompatyczność brzmienia orkiestrowych fragmentów, która świadczyć by mogła o kompensowaniu w ten sposób przez kompozytora niedostatków dramatycznych predyspozycji. I z pewnością nie byłem odosobniony w przeświadczeniu, że „Straszny dwór" jest dziełem bardziej harmonijnym artystycznie.

Z ogromnym więc zaciekawieniem przyjąłem wiadomość o tym, że kierownik artystyczny Teatru Wielkiego, **Tadeusz Kozłowski** trafił na ślad bez wątpienia autentycznego tekstu muzycznego „Halki" w materiałach z 1861 r., a więc o trzy lata późniejszych od warszawskiej premiery i postanowił przywrócić dziełu całą nieuszminkowaną urodę pierwowzoru, co niezmiernie interesująco przedstawił w teatralnym programie. W innych tekstach tego świetnie opracowanego programu przypomniano też okoliczności, które sprzysięgły się przeciwko librettu Wolskiego ze względu na zawarte tam treści społeczne i narodowe, polemiczne wobec ckliwie-konserwatywnej tradycji, mocno idealizującej szlacheckie środowisko. To, iż Moniuszko przeciwstawił się rodzimym, wspieranym przez carat konserwatywnym tendencjom, świadczy niezbicie o jego społecznym demokratyzmie.

Ale wróćmy do samego utworu, którego wystawienie w pierwotnej formie stanowi godne uznania, nie obliczone na łatwy efekt, posunięcie repertuarowe dyrekcji Sławomira Pietrasa. Trzeba zarazem stwierdzić, że chlubny zamiar kierownika artystycznego, poparty jego pracą nad materiałem nutowym, przyniósł jednak tylko połowiczny rezultat. Owszem, wiele partii dzieła zabrzmiało bardziej kameralnie, w niektórych jednak innych momentach Kozłowski — dyrygent zdawał się zapominać o tym, do czego chciał nas pierwotnie pozyskać i starał się wydobyć z orkiestry jak najpotężniejsze brzmienia, co przy szczuplejszym niż zazwyczaj instrumentarium nie zawsze mogło zadowolić, ponadto zbyt często „gonił" tempo zamazując artykulację i wprowadzając nastrój pewnej nerwowości.

Nie zawsze też współdziałanie orkiestry z solistami i ensemblami oraz chórem czy baletem były zgrane rytmicznie, a dodajmy od razu, że chóry nie przez cały czas utrzymywały się na należytym poziomie wykonawczym. W sumie więc premierowe przedstawienie (sobotnie, o którym piszę), sprawiało chwilami wrażenie jeszcze „niedotartego", co zapewne z biegiem dalszych przedstawień się wyrówna.

Po dźwiękach uwertury ujrzeliśmy przytulny zakątek pałacowego parku, z fragmentem typowo wielkopańskiej siedziby, określanej przez jej posiadacza Stolnika „domkiem", być może, żeby nie wynosić się wobec sproszonego tłumu „panów braci". Owej szlachcie zresztą, która zjechała na zaręczyny stolnikówny Zofii z Januszem, należałoby przydać miano „szaraczkowej" sądząc po kostiumach, a zakładam, że to przygaszenie strojności i kolorystyki szlacheckiego tłumu służyć miało podkreśleniu kontrastu pomiędzy grupką wyżej postawionych w społecznej i majątkowej hierarchii a pozostałymi.

Tego rodzaju realistyczny akcent pozostaje w zgodzie z ujawnioną dalej intencją uwypuklenia społecznego podłoża konfliktu, a więc jakby uwidocznienia niemożności połączenia się panicza z chłopką. Dopiero w chłopomańskiej atmosferze Młodej Polski stałoby się ono obyczajowo dopuszczalne. Za wspomnianą koncepcją przemawia dodatkowo plebejskie, a ściślej chłopskie ujęcie sylwetki Halki, w przeciwieństwie do tych primadonn, które niechętnie przyoblekają się w zgrzebną postać, i starają się nie uronić żadnego z wdzięków panny z dworku. Swoje uczucia, a zwłaszcza rozpacz wyraża artystka ruchami gwałtownymi i kanciastymi. Czy do tak wyobrażonej prostej dziewczyny może panicz odczuwać coś więcej niż tylko zachciankę? Oto pytanie, na które reżyser i aktor powinni znaleźć odpowiedź. Janusz zaś nie dość jednoznacznie odpowiadał nam na pytanie, czy jest niefrasobliwym lub cynicznym uwodzicielem, czy też człowiekiem przeżywającym miłosne rozterki.

Obserwujemy bowiem, że sporo sytuacji pomiędzy bohaterami rozmywa się w tym przedstawieniu w ruchach i gestach niedookreślonych lub zastyga w pozach nazbyt teatralnych, czasami nawet odnosimy wrażenie ruchowej nieporadności. Wydaje mi się, że znakomity choreograf, jakim jest Teresa Kujawa, wyczulona zresztą na formę „teatru tańca" nie znalazła jeszcze własnego sposobu na to, by emocje bohaterów, podbudowane muzycznie, przełożyć na „język" operowej konwencji. Myślę, że realistyczny zamysł mógł tu stanowić dodatkowe utrudnienie. A szkoda, gdyż niejedna sytuacja świadczyła o świeżości reżyserskiej wyobraźni i to nawet wtedy, gdy gwoli „realizmowi" dopuszczano do tego, że scena bywała zatłoczona ponad miarę.

Na ogół podobały mi się tańce. Wprawdzie można by się spierać, czy Polonez nie był „chodzony" zbyt pośpiesznie (czy w uzgodnieniu z kierownikiem muzycznym?), wprawdzie Mazur tracił sporo na dynamice ruchu z powodu zbytniego, jak na mój gust, skrócenia wybiegu... Wyjaśnię, że w moim absolutnie subiektywnym odczuciu niezbędnym, choć nie jedynym warunkiem ukazania tego przepięknego, pełnego wyrazu tańca w całej jego krasie, jest dostatecznie długa oś sceny. Podobały mi się w życiu tylko te układy Mazura, w których eksponuje się ten jakże płynny i zarazem rytmiczny ni to bieg, ni to lot gdzieś z głębi sceny prosto na widownię. Samo takie wpłynięcie zamaszystego korowodu potrafi człowieka poderwać wraz z fotelem. Niechby nawet najwytrawniejsi specjaliści powiedzieli, że nie o to chodzi, nie potrafię reagować inaczej i zawsze stygnę w zapale, gdy ruch wirowy par zaczyna dominować nad ich biegiem przed siebie. Tak to zostało skodyfikowane? Jeśli nie, to będę do śmierci obstawał przy swoim upodobaniu... A tu właśnie było z taneczną przestrzenią zbyt kuso.

Najbardziej mnie zadowoliły, a nawet zachwyciły Tańce Góralskie, świeże w pomyśle i pełne wyrazu, mimo niezupełnej chyba sprawności grupy żeńskiej. Piękny układ całości i „rozpracowanie" jego elementów!

Tytułowa partia znalazła w **BARBARZE RUSIN** wykonawczynię o interesującej barwie soczystego głosu, nasyconego zarówno liryzmem, jak i dramatyzmem, co szczególnie silnie uwidoczniło się w wymagającej takiego traktowania arii rondowej „Gdyby rannym słonkiem". Szczęśliwie skontrastowano z Halką postać **Zofii** w kulturalnej interpretacji **MARII SZCZUCKIEJ.** Godnym, szlachetnym w geście **Stolnikiem** był **ZDZISŁAW KRZYWICKI** z niezawodną pewnością i maestrią śpiewający swoją partię. W roli **Janusza ANDRZEJ NIEMIEROWICZ** posługiwał się swoim stosunkowo niewielkim głosem umiejętnie, choć dykcja nie była wzorowa. Sylwetkę odtrąconego przez Halkę, lecz nadal zakochanego gorzką miłością **Jontka** trafnie zarysował **ZYGMUNT ZAJĄC,** akcentując też góralską zadziorność wobec panicza. Artysta dał nam się słyszeć znów w jak najlepszej formie, choć nie jestem pewien, czy nie przedobrzył w końcowej partii „Szumią jodły" w demonstrowaniu potęgi brzmienia swojego bohaterskiego tenora. Wolę doznawać wrażenia, że artyście jeszcze nieco głosu pozostaje w zapasie, niż odczuwać, że dał już z siebie wszystko. Bez zarzutu wywiązał się ze swoich zadań jako **Dziemba RYSZARD CZOGAŁA.** Znakomicie wykonywał swój niewielki zaśpiew „Po nieszporach" **RYSZARD WRÓBLEWSKI. Dudarzem** był **LEONARD KATARZYŃSKI.**

Mamy więc oto „Halkę" w słusznym zamyśle odpatetycznioną muzycznie, bardziej chyba zgodną niż rozpowszechniona wersja z osobowością twórczą Stanisława Moniuszki — liryka i „pieśniarza", osadzoną też silniej niż zwykle w społeczno-obyczajowych realiach, choć nie dość spójną w realizacji i nie dość jeszcze sprawną wykonawczo, ale taką jednak „Halkę", która po pewnych korekturach i zabiegach kosmetycznych może ukazać dzieło Moniuszki jako jeszcze bliższe i bardziej swojskie. Ale czy częsty jest u nas przypadek, żeby kolejne wykonania nie tylko nie rozsypywały się, lecz stopniowo udoskonalały, jak to bywało w łódzkich inscenizacjach Kazimierza Dejmka?

Może warto będzie obejrzeć naszą obecną „Halkę" za jakiś czas...

JERZY KWIECIŃSKI

P.S. Wart polemiki, a przynajmniej dyskusji jest pogląd, wyrażony w programie teatralnym przez dyrektora Pietrasa, iż wybitna pozycja „Halki" Moniuszki w polskiej sztuce sprawia, że są „trudności z odrywaniem od rodzimej gleby i przenoszeniem na sceny świata". Są liczne przykłady na to, że sztuka czerpiąca natchnienie z rodzimej inspiracji wzbudza swą oryginalnością większe zainteresowanie i silniejszy oddźwięk w świecie niż sztuka naśladująca cudze wzory; pod warunkiem, że jej treści nie są zbyt „hermetyczne", lecz dostatecznie uniwersalne. To chyba przede wszystkim sprawa talentu twórcy, a w tym jego formalnej odkrywczości. ■

J. K.

Stanisław Moniuszko: „Halka". Opera w czterech aktach. Libretto — **Włodzimierz Wolski.** Kierownictwo muzyczne — **Tadeusz Kozłowski.** Inscenizacja, reżyseria i choreografia — **Teresa Kujawa.** Scenografia — **Krzysztof Pankiewicz.** Kierownictwo chóru — **Henryk Karpiński.** Premiera 19 stycznia 1985 r. w Teatrze Wielkim w Łodzi.

Rys. Janusz Szymański-Glanc

Bigos hultajski

Mieszanka firmowa literacko-obyczajowa

NAWET TURCZYN AKSAKÓWNY NIE IMA

Po zdobyciu Kamieńca przez Turków (1672), gdy wojsko rzuciło się na kobiety — jak pisze Dr Antoni J. (Antoni Józef Rolle) w „Opowiadaniach historycznych" (Lwów 1875) — „Gertruda, panna, córka Aksaka, leciwa, ale płocha niewiasta, chcąc uchodzić za młodszą, szaty szkarłatne z wdziękiem układała niemałym i szpetną twarz okrywała zasłoną, sromając się niby oka ludzkiego, choć zaprawdę ukrywać ją była powinna, by nie obrażać bliźnich brzydotą.

Rabusie muzułmańscy, nieświadomi zwyczajów panny, w liczbie innych niewiast porwali i Gertrudę. Bez rozpaczy i molestacji szła zalotnica w jasyr, aliści na drugi dzień jak niepyszna powraca do miasta, wymyślając na bisurmanów, którzy poszturkali ją nawet za to, że ich ubiorem okłamywała. A jakiś wesoły mieszczanin, bo na takich i w smutnych godzinach nie zbywa, puścił między ludzi dowcip, który długo z wielkim umartwieniem panny powtarzano: „Nawet Turczyn Aksakówny nie ima..."

MYŚL DRUKARZA

Życie człowieka to księga,
Co się drukuje przez lata,
A gdy skończone — widzimy,
Jaka w niej wielka „errata"!

Co strona błędy fatalne
I sens miejscami zgubiony,
Rad by to autor poprawić,
Lecz już tom... życia skończony.

„Komar", 1902, nr 12

SKĄPIRADŁO

Szymon Malewski, doktor filozofii i obojga praw (1759—1832), był profesorem i rektorem uniwersytetu wileńskiego, członkiem praskiej Akademii Nauk i Towarzystwa Naukowego Krakowskiego. Słynął też z nadmiernej oszczędności graniczącej ze skąpstwem, co dawało współczesnym powód do prawdziwych i zmyślonych opowiastek o tej przywarze uczonego, z których kilka zapamiętał Adam Stanisław Krasiński, utrwalając je z czasem we wspomnieniach z młodości (Wspomnienia biskupa Adama Stanisława Krasińskiego. Kraków 1900).

Szymon Malewski, rektor Uniwersytetu Wileńskiego, był to człowiek bardzo oszczędny. Mówiono o nim, że raz u kogoś z bliskich znajomych, gdy zapalono dwie świece, zgasił jedną, mówiąc: „Moci bobodzieju, możemy i przy jednej świecy rozmawiać, a zbytek nigdy niepotrzebny". Pytano go raz; jakie wina najlepsze. „Cudze, cudze, moci bobodzieju". Opowiadano o nim, że raz pożyczył Żydom pieniądze, wziąwszy w zastaw dla pewności srebro. Kiedy termin oddania przyszedł, a Żydzi się nie zjawiali, wziął się do pilniejszego obejrzenia zastawionego srebra i przekonał się, że było fałszywe. Cóż więc robi? Ogłasza w gazetach, że srebro skradziono u niego. Żydzi uradowani, że z tego mogą skorzystać, zgłaszają się po swoje srebro. On udaje zakłopotanego i mówi, że nie ma nic pilnego, że mogą dłużej czekać. Żydzi nalegają, mówiąc, że im srebro zaraz potrzebne. Rektor skrobiąc się w głowę, odpowiada: „Cóż robić, przynieście pieniądze". Przynieśli, odliczyli, ale jakież było ich zdziwienie, gdy ujrzeli swe fałszywe srebro.

PRZYSŁOWIA NA MARZEC

3 III *I na świętą Kunegundę*
Można sobie zrobić fundę.
4 III *Każdy Kazieczek od Mani i Józi*
W dniu 4 marca doczeka się buzi.
17 III *Kto jest z urodzenia duda,*
Nie wybawi go Gertruda.
19 III *Na świętego Józefa Oblubieńca*
Niejedna panna pozbywa się wieńca
I cieszy się nic dobrego,
Chociaż czasem nie ma z czego.

PRZYSŁOWIA NA LUTY

3 II *Na świętego Błażeja*
Mała na upał nadzieja.
28 II *Kto na Romana w czubek naleje,*
Stanowczo w lutym nie
wytrzeźwieje.

„Diabeł", 1901

Opracował:
ANDRZEJ KEMPA

■

Dokończenie ze strony 1

i indywidualnej barwy. W latach następnych konsultowałam się w sprawach wokalnych z wieloma pedagogami w kraju i za granicą, wiele wynosząc z ich doświadczeń i cennnych wskazówek. Uważam, że każdemu śpiewakowi potrzebna jest kontrola wokalna. Dlatego tak ważnym jest w teatrze operowym istnienie opiekuna wokalnego, który by w sposób wnikliwy omawiał z artystą realizację partii po każdym przedstawieniu. Śpiewak (szczególnie młody) oczekuje od dyrygenta uwag i wskazówek po spektaklu. Jest to potrzebne dla bieżącej oceny własnych umiejętności wykonawczych i interpretacyjnych. Podobno — jak wspominają starsi koledzy — z dużym znawstwem i efektami czynił to kiedyś Walerian Bierdiajew. Były to ponoć niezapomniane przeżycia, zwłaszcza dla tych artystów, którym nie bardzo powiodło się na scenie i których po spektaklu ukrywano w szafach garderobianych przed konfrontacją z mistrzem.

Kiedy śpiewałam w Operze Poznańskiej funkcję opiekuna wokalnego pełniła Halina Dudicz-Latoszewska, natomiast w Teatrze Wielkim w Warszawie Janina Stano, a obecnie Alina Bolechowska. Swoim pedagogom i opiekunom wiele zawdzięczam.

Jakie wspomnienia kojarzą się pani z La Scalą?

Każdy pierwszy występ w słynnym teatrze operowym jest silnym przeżyciem. Jest zatem zrozumiałe, że w przypadku teatru o najwspanialszych tradycjach operowych przeżycia są szczególne. Rodzą się wówczas dodatkowe napięcia psychiczne, zwiększa się poczucie odpowiedzialności. W La Scali panuje atmosfera... powiedzmy, nieco pompatyczna, napuszona. Mnie bardziej odpowiada atmosfera swobody i luzu psychicznego, co właściwe jest londyńskiej Covent Garden. La Scala, obciążona tradycją wielkich gwiazd, ma specyficzny nastrój i każdy, kto występuje po raz pierwszy na jej scenie musi się z tym liczyć.

W La Scali śpiewała pani...

Śpiewałam wówczas trzy partie koloraturowe w operze Maurice'a Ravela „L'enfant et les sortilèges" (Dziecko i czary) tzn. księżniczkę, ogień i słowika. Kierownictwo muzyczne tego przedstawienia spoczywało w rękach Georga Pretre'a.

Partia słowika sięga wysokiego „f".

Tak. Króciutka to partia, ale trudna wokalnie.

Występowała pani także w Metropolitan Opera w Nowym Jorku, uważanej obecnie przez wielu za pierwszą scenę operową świata.

Miałam szczęście brać udział w jednym z najpiękniejszych i najoryginalniejszych przedstawień tej sławnej sceny — w „Czarodziejskim flecie" Mozarta, w reżyserii G. Rennerta i w scenografii Marca Chagalla. Była to istna rewia pastelowych barw i fantazyjnych pomysłów.

Warto wspomnieć i o tym jeszcze, że Met-opera ma najlepszych na świecie korepetytorów-pianistów, którzy wprost fenomenalnie opracowują ze śpiewakami partie operowe.

Co pani, jako śpiewaczce, daje największą satysfakcję artystyczną?

Oczywiście — uznanie publiczności. Natomiast przyjemnością jest współpraca artystyczna ze znakomitymi dyrygentami jak m.in. np, z C. Davisem, niemal oddychającym razem ze śpiewakiem w czasie spektaklu.

Czym dla pani są kontakty z tak wieloma scenami operowymi?

Każda nowa scena to nowi dyrygenci, nowi koledzy-śpiewacy. Próby muzyczne, zapoznawanie się z koncepcjami reżyserów, dyskusje po próbach — to wszystko wzbogaca artystę, daje mu możliwość głębszego zrozumienia dzieła muzycznego. Uważam, że tego typu kontakty są niezbędne dla dalszego rozwoju artystycznego śpiewaka.

Jak długo przygotowuje pani określoną partię?

Kilka miesięcy, a w przypadku partii pierwszoplanowej — przynajmniej pół roku. Mówiąc o przygotowaniu partii mam na myśli nie tylko pamięciowe opanowanie własnego tekstu muzycznego, ale również i partnerów, zwłaszcza w scenach zespołowych. Opracowanie interpretacji pochłania także wiele czasu i wykracza już poza sferę zapisu muzycznego; chodzi tu bowiem o podporządkowanie się koncepcji sceniczno-muzycznej realizatorów (dyrygenta, reżysera, scenografa).

Czy często zdarza się, że koncepcja reżysera odbiega od wizji jaką wypracowaj i chciałby realizować na scenie artysta?

Często zastanawiałam się do jakiego stopnia artysta winien podporządkować się — nieraz diametralnie różnej — wizji reżysera, której bezkompromisowe narzucanie śpiewak odczuwa niekiedy jako brutalną ingerencję w świat jego własnych przeżyć, wyobrażeń i możliwości wykonawczych. Opracowując muzycznie daną partię, wykonawca po jakimś

Foto: Zofia Nasierowska

Primadonna z wysokim „f"

czasie stwarza w swej wyobraźni określoną postać, którą żyje do momentu konfrontacji z koncepcją reżysera. Tymczasem w poszukiwaniu nowych rozwiązań scenicznych, mających nieraz w swym założeniu bulwersowanie publiczności, reżyserzy coraz częściej odstępują od tradycyjnych inscenizacji. Dotyczy to przede wszystkim zjawiska uwspółcześniania znanych dzieł operowych, których nowe opracowania z reguły wywołują na początku negatywną reakcję publiczności. Z ewenementem tym zetknęłam się w lutym ubiegłego roku w Monachium, gdzie w wystawianej tam „Marcie" F. Flotowa śpiewałam partię tytułową. Otóż tę prostą, w zasadzie romantyczno-komiczną operę, osnutą na perypetiach miłosnych bogatej, znudzonej panny, przebranej za wieśniaczkę, reżyser przeobraził w spektakl utrzymany w charakterze francuskiej, żartobliwej opery buffo, pozbawionej owej tradycyjnie romantycznej aury i spodziewanego happy endu. Premierowa publiczność jawnie wyrażała swoją dezaprobatę dla samej inscenizacji dzieła. Stosunek widzów uległ zmianie dopiero po przeczytaniu recenzji i zaznajomieniu się z przesłankami i motywacją koncepcji inscenizacyjnej dzieła. Początkowo również i mnie samej bardzo trudno było nagiąć się do całkowicie odmiennej wizji przedstawienia, które obecnie cieszy się ogromnym powodzeniem i nikogo już nie szokuje.

Uważa więc pani, że krytyka spełnia pozytywną rolę.

Tak, bowiem recenzje są analizowane nie tylko przez samych artystów, lecz i publiczność.

Pani ideał wśród sopranów koloraturowych?

Wśród kilku — Joan Sutherland, ponieważ posiada ona niezwykłą osobowość, promieniującą wręcz na otoczenie. Nie jest to zresztą tylko moje odczucie. Istnieje przecież klub wielbicieli talentu śpiewaczki. Widziałam przedstawienia z jej udziałem, kiedy to tysiące kwiatów (białe frysy) rzucano dla niej z balkonów. Jest to wzruczający i wspaniały widok. Uczestniczyłam w takim entuzjastycznym aplauzie zgotowanym artystce w Covent Garden podczas przedstawienia „Lukrecji Borgii" Gaetano Donizettiego.

Spośród tenorów śpiewa pani najchętniej z...

Bardzo lubię śpiewać z Peterem Schreierem. Szalenie odpowiada mi jego wewnętrzne zaangażowanie i znakomite partnerstwo. To samo właściwie mogę powiedzieć o takich śpiewakach jak Carreras, Arraiza. Wszyscy oni śpiewają niezwykle żarliwie i z pasją.

Która z dotychczas kreowanych ról najbardziej pani odpowiada?

Jest ich wiele: Rozyna w „Cyruliku Sewilskim", Violetta w „Trawiacie", Amina w „Lunatyczce", Gilda w „Rigoletcie", a nawet Oskar w „Balu Maskowym".

Czy pani osiągnięcia artystyczne zostały utrwalone?

Tak. W archiwalnych nagraniach radiowych (m.in. w Berlinie Zachodnim i Krakowie), a także na płytach m.in. firmy RCA, gdzie wzięłam udział w nagraniu „Czarodziejskiego fletu" Mozarta pod kierownictwem muzycznym obecnego dyrektora Metropolitan Opera Jamesa Levina.

Wystąpiłam też jako śpiewaczka w kilku muzycznych filmach telewizyjnych: w Polsce w „Prostaczku" Grétry'ego, w Genewie, Salzburgu i Buenos Aires — w realizacjach „Czarodziejskiego fletu", w Berlinie Zachodnim w „Uprowadzeniu z Seraju" i Wiedniu w „Dyrektorze teatru".

Czy uprawia pani również działalność koncertową?

Bardzo lubię muzykę oratoryjną. Jednakże rzadziej śpiewam na koncertach niż w operze. Terminarz występów operowych ustala się z trzyletnim wyprzedzeniem, natomiast koncertów w krótszym czasie. Toteż na koncertach mogę śpiewać jedynie między zaplanowanymi uprzednio występami w operze. Czynię to jednak z prawdziwą przyjemnością.

Jest pani za śpiewaniem w oryginalnej wersji językowej czy też w języku publiczności?

Lubię śpiewać w oryginalnej wersji ze względu na idealne zespolenie słowa z muzyką. Są teatry, gdzie opery wystawia się wyłącznie w oryginalnej wersji językowej, ale są i takie gdzie śpiewa się tylko w języku tej nacji, na której terytorium teatr się znajduje. Ale np. w Monachium, Londynie, Nowym Jorku istnieją dwa teatry operowe, w których wystawiane są często jednocześnie te same spektakle w różnych tylko wersjach językowych.

Czy pokonywanie dużych odległości kontynentalnych ma wpływ na możliwości wokalne śpiewaka?

Tak, zwłaszcza odległości powodujące zmiany klimatyczne. Po przybyciu np. z Europy do Ameryki potrzeba około dwóch dni dla odzyskania pełnej sprawności strun głosowych.

Czym różni się polska publiczność od publiczności innych krajów?

Tak bardzo rozentuzjazmowanych i rozmiłowanych w operze melomanów, jakich ma np. Wiedeń, Monachium czy Ameryka Południowa i Włochy — u nas w ogóle nie widać. Tam melomani zrzeszają się w kluby, wymieniają między sobą zdjęcia artystów, nagrania itp. Częstokroć po przedstawieniach całe grupy melomanów czekają na swoich ulubionych artystów, prosząc ich o zdjęcia i autografy. Kilka lat temu pewien meloman oddał do Muzeum Teatralnego przy Operze Wiedeńskiej zbiór liczący dziesięć tysięcy zdjęć znanych śpiewaków z ich autografami zdobytymi po przedstawieniach. Musiał zatem bywać niemal codziennie w operze.

Nasza publiczność jest bardzo wrażliwa, lecz powściągliwsza w wyrażaniu swych odczuć estetycznych.

Dziękując za rozmowę, przypomnijmy, że aktualnie na scenie Teatru Wielkiego w Warszawie kreuje pani pierwszoplanowe role w przedstawieniach: „Rigoletta" G. Verdiego, „Lucji z Lammermooru" G. Donizettiego, „Opowieści Hoffmanna" J. Offenbacha i „Hrabiny" S. Moniuszki.

Rozmawiali:
MARIAN STRZELECKI
i JACEK WOLAŃSKI

Michael Jackson i inni

W styczniu ukazało się specjalne wydanie tygodnika „Newsweek" poświęcone omówieniu najważniejszych wydarzeń 1984 roku. Zaliczono do nich m. in. wybory w USA, klęskę suszy w Afryce, strajk brytyjskich górników i.. koncerty Michaela Jacksona, które obejrzało 2,5 miliona osób. Dzięki znakomitym nagraniom z wydanej w 1982 roku płyty „Thriller" ten ciemnoskóry piosenkarz stał się gwiazdą nr 1 światowej muzyki rozrywkowej. Gdy w lipcu na stadionie w Kansas City, gdzie rozpoczęło się tournée grupy The Jacksons, zapalono kolorowe światła i zabrzmiały pierwsze takty piosenki „Wanna Be Startin' Somethin' ", dla prasy, radia i telewizji inni wykonawcy jakby przestali istnieć. Jednak w grudniu, kiedy to w Los Angeles odbył się ostatni z serii występów, zainteresowanie autorem „Billie Jean" było już mniejsze. Starannie przygotowana i doskonale nagrana nowa płyta grupy The Jacksons zatytułowana „Victory" nie zawierała przebojów na miarę „The Girl Is Mine" i „Beat It". Za Oceanem na listach bestsellerów coraz częściej pojawiały się utwory Lionela Richie, Tiny Turner i Stevie Wondera. W Wielkiej Brytanii królował kwintet Frankie Goes To Hollywood, który w lipcu umieścił na czele listy przebojów dwa swoje single, a jesienią z longplayem „Welcome To The Pleasure Dome" wyruszył na podbój Ameryki. A kto okaże się najpopularniejszy w 1985 roku? Jakiej muzyki będziemy słuchać? Który album będzie najlepszy? Te pytania zadają sobie coraz częściej melomani i krytycy. Styczeń nie przyniósł na nie odpowiedzi. Nadal na listach przebojów wysokie pozycje zajmowały piosenki z płyt wydanych przed nowym rokiem. Chętnie słuchano duetu Wham! oraz jednej z rewelacji minionego roku — grupy Bronski Beat. Popularnością cieszyła się Chaka Khan i jej album „I Feel For You". Wysoko notowany był longplay „Purple Rain", z którego pochodzi jeden z największych przebojów ostatnich miesięcy — piosenka „When Doves Cry". Jego autorem jest Roger Nelson, występujący i nagrywający pod pseudonimem Prince. To on pod koniec ubiegłego roku był w USA najgroźniejszym konkurentem Michaela Jacksona. Również w Europie jego płyty rozchodziły się w zawrotnym tempie, a film „Purple Rain" gromadził w kinach komplety widzów. Ostatnio powodzenie ma płyta Prince'a z kompozycją „1999".

Niewiele zmniejszył się popyt na wydany latem singel Raya Parkera Juniora z piosenką „Ghostbusters", która, podobnie jak „When Doves Cry", pochodzi ze ścieżki dźwiękowej filmu fabularnego. O ile jednak kinowa wersja „Purple Rain" popularność zawdzięczała wyłącznie znakomitej muzyce, o tyle obraz „Ghostbusters" mógł zainteresować oryginalnym tematem. W Nowym Jorku zaczynają pojawiać się duchy. Trzej badacze zjawisk nadprzyrodzonych zakładają biuro do walki z dziwnymi mieszkańcami amerykańskiego miasta. To oni są tytułowymi poskramiaczami duchów. „Czy słyszysz dziwne dźwięki w środku nocy? Czy odczuwasz lęk, gdy wchodzisz do piwnicy? Czy widziałeś ducha? Jeżeli tak, to nie zwlekaj. Podnieś słuchawkę i zadzwoń do fachowców!". Tak reklamują się w telewizji bohaterowie filmu „Ghostbusters".

Ale wracajmy do muzyki. Jesienią nową płytę wydał David Bowie. Na listach przebojów pojawiły się już dwie pochodzące z niej piosenki. Autor takich znakomitych krążków, jak „Ziggy Stardust", „Young Americans" czy „Scary Monsters" ponownie udowodnił, że zalicza się do najwybitniejszych wykonawców muzyki rozrywkowej. „Tonight" jest albumem ciekawszym od głośnego „Let's Dance" z 1983 roku. Większość piosenek napisali David Bowie oraz Iggy Pop. Na płycie znajdujemy też kompozycję spółki Leiber-Stoller „I Keep Forgetting" oraz utwór Wilsona i Ashera „God Only Knows". W starym przeboju grupy The Beach Boys Bowie przypomniał się jako doskonały interpretator piosenek nastrojowych, w których ujawnia się w pełni jego talent wokalny. Takiego Davida Bowie nie słyszałem od czasu mistrzowskiego wykonania utworu „Wild Is The Wind". Również pozostałych nagrań z „Tonight" słucha się z przyjemnością. Na uwagę zasługuje interesująca aranżacja z bardzo rozbudowną sekcją dętą. Klarnet, trąbka, flugal horn to instrumenty dość nietypowe dla współczesnego rocka. Bowie zawsze starał się grać inaczej niż inni. Należy do twórców, którzy wytyczają nowe kierunki w muzyce. Czyżby więc zapowiadał się powrót do instrumentów akustycznych? Niedawno z sekcją dętą wystąpiła po raz pierwszy grupa The Stranglers. W styczniu w kilku miastach Wielkiej Brytanii odbyły się koncerty Alison Moyet. Towarzyszył jej m. in. muzyk grający na puzonie. Także słuchacze wydają się być ostatnio znużeni syntezatorowym brzmieniem, o czym świadczy popularność płyty Sade Adu zatytułowanej „Diamond Life", gdzie przeważają wyciszone ballady, w których odnaleźć można elementy muzyki jazzowej. Latem ubiegłego roku longplay dotarł do pierwszego miejsca listy bestsellerów w Wielkiej Brytanii. W tym samym czasie wysoko notowany był utwór „Careless Whisper" George'a Michaela, zbliżony klimatem do nagrań Sade Adu.

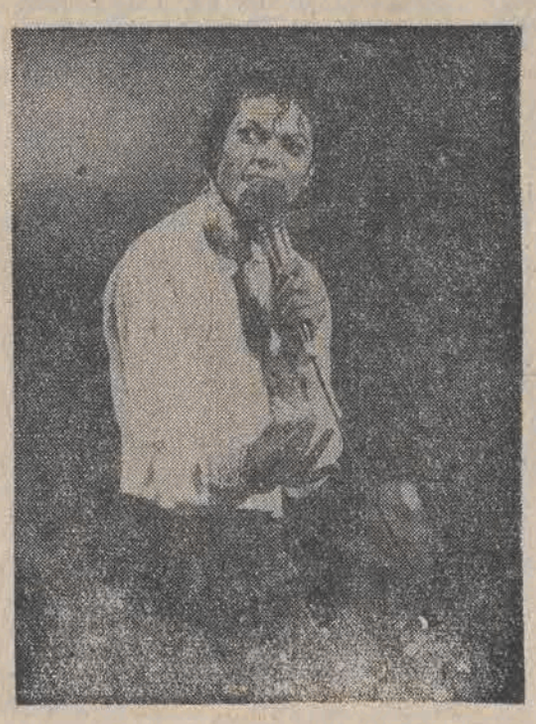

Grupy Culture Club chyba nie muszę przedstawiać. Boy George jest dziś prawie tak samo popularny jak Michael Jackson. Przyzwyczailiśmy się już do jego damskich strojów i makijażu. Po tym jak wokalista sklasyfikowany został przez projektanta mody Richarda Blackwella na dziesiątym miejscu listy „najgorzej ubranych kobiet w 1983 roku" nic nie zdoła nas zdziwić. Wydany pod koniec ubiegłego roku trzeci album Culture Club nosi tytuł „Waking Up With The House On Fire". Longplay nie wszystkim krytykom przypadł do gustu. Adam Sweeting z tygodnika „Melody Maker" pisał m. in. „Jeżeli tytuł płyty („Budząc się w płonącym budynku") sugeruje panikę, to chyba znam jej przyczynę. Album jest nieporozumieniem. Nagranie otwierające longplay świadczy przeważnie o poziomie całości, a piosenka „Dangerous Man" jest nieciekawa... Nie mogłem usiedzieć spokojnie nawet przez jedną stronę. Co minutę wstawałem, aby zaparzyć herbatę, nakarmić kota... Głos George'a, dawniej porywający, stracił magiczne brzmienie". Tyle brytyjski recenzent. Wydaje mi się, że nie jest aż tak źle. Nowy album Culture Club zawiera kilka piosenek, które mogą się podobać. Popularność utworów „The War Song" i „The Medal Song" jest dowodem na to, że opinie słuchaczy i krytyków nie zawsze muszą się pokrywać.

W połowie stycznia w notowaniu Radia Luksemburg zwyciężył singel „I Want To Know What Love Is" grupy Foreigner. Okazuje się, że nastrojowe piosenki o miłości, tak często goszczące na listach przebojów w 1984 roku, są nadal modne. Jednocześnie w ścisłej czołówce znalazła się Madonna śpiewająca tytułową kompozycję ze swojej płyty „Like A Virgin", różniącą się stylem od utworu zespołu Foreigner. Trzecie miejsce zajęło nagranie „Shout" w wykonaniu Tears For Fears. Zanim powyższy tekst dotrze do rąk Czytelników, układ ten na pewno ulegnie zmianie. Muzyczna karuzela nie przestaje się kręcić. Co tydzień pojawiają się w sprzedaży nowe płyty. Ich autorami są znani wykonawcy i debiutanci. Każdy tworzy inną muzykę. Każdy liczy na sukces, jaki w 1984 roku osiągnął Michael Jackson.

GRZEGORZ WALENDA

Polemiki • Listy • Opinie

TO NIE BYŁA ANKIETA PERSONALNA...

Przeczytawszy wypowiedź dyrektora Teatru Muzycznego w Łodzi na temat wywiadu ze mną („Po drugiej stronie życia") opublikowanego na łamach „Odgłosów" 5.01.1985 roku, a właściwie bardzo urzędowego ustosunkowania się do sprawy rozwiązania ze mną umowy o pracę — zawiadamiam, że:

— wywiadu o moim życiu i śmierci nie traktowałam wraz z jego autorem Bohdanem Gadomskim jako ankiety personalnej, cieszyłam się tylko, że znalazł się ktoś kogo szczerze zainteresował mój życiowy dramat, a nie to, czy miałam zasiłek chorobowy i czy wypłacono mi ekwiwalent za nie wykorzystany urlop wypoczynkowy;

— nie wiedziałam w czasie choroby, że dyrekcja teatru wystąpiła z wnioskiem o przedłużenie zasiłku chorobowego i nadal nie bardzo mogę w to uwierzyć;

— nie bardzo wiem, jaka komisja lekarska nie wyraziła zgody na przedłużenie zasiłku, uznając mnie za niezdolną do pracy, wiem natomiast od opiekujących się mną lekarzy, że w ramach terapii psychicznej powinnam być w zawodzie, a jeden z najwybitniejszych specjalistów w tej dziedzinie żegnając mnie przy wyjściu ze szpitala powiedział: „Chcę znowu widzieć panią na scenie";

— to nie ja, inwalidka I grupy, powinnam informować się w macierzystym zakładzie pracy, czy będę na zasiłku chorobowym lub czy moją przydatność do pracy określi zakładowa komisja lekarska (o istnieniu takowej nie słyszałam jak do tej pory?);

— po przeczytaniu wypowiedzi Rajmunda Ambroziaka na łamach „Odgłosów", utwierdziłam się teraz w przekonaniu, że nie zrozumiał niczego z dramatu wieloletniej artystyki swego teatru, o którym mógł się dowiedzieć dopiero po przeczytaniu publikacji, a może wystarczyłby jeden, prywatny telefon do domu, życzliwe, ciepłe słowo?

ANNA GĘBICKA

„WÓDA JEST ZDROWA", A PRZEŚMIEWKI ZDROWSZE!

Aczkolwiek „wszyscy" Polacy w teorii alkohol uznają za truciznę, a jego picie za grzeszenie, to w praktyce ich stosunek do pijaństwa i opilstwa jest różny. Jedni potępiają i wyklinają, chcieliby żywcem zbawić każdego z osobna i wszystkich razem od kuszeń szatańskich i pokus — najlepiej przez wprowadzenie prohibicji i co najmniej zakuwanie w dyby, jeżeli już nie łamanie kołem i wbijanie na pal. Co czyniąc jawnie — popijają, zapewne, ukradkiem dla kurażu; jak długo bowiem można wytrzymać na pozycji fanatycznej ekstremy bez stargania sobie nerwów? Wiadomo wszak i to od wiek wieków, że nie masz nic bardziej kojącego na stargane nerwy, jak właśnie „golnięcie sobie" — byle skuteczne, tj. do kaca piramidalnego.

Drudzy piją jawnie, oficjalnie i niejako programowo — byle za każdym razem na umór. A że tych drugich jest znakomicie najznakomitsza większość, przeto z picia uczynili byli powszechnie obowiązujący obyczaj, rytuał, rozrywkę najlepszą z najlepszych, nigdy nie powszedniejący temat do rozmów, opowieści i facecji. Z pijanych zaś uczynili, i czynią — bohaterów, a co najmniej święte krowy. Najwyższym uznaniem cieszy się tzw. mocna głowa, zdolna wydudlić całe pół litra za jednym przechyleniem butelki prosto w dziób. Gdy wydudli — to dopiero jest bohater! Zwłaszcza gdy po wydudleniu wzniesie okrzyk „do ataku", i zwali się do rynsztoka, gdzie sobie spokojnie porzyga, i się uczciwie zarzyga.

Temat alkoholu i opojów jest w Polsce tematem niebezpiecznym. Kto go tknie na trzeźwo, zostanie srogo pokarany anatemą towarzyską i ośmieszeniem publicznym, „spaleniem" przenośnym i dosłownym. Nie ma zaś w Polsce nic bardziej zabójczego, jak „spalenie" poprzez ośmieszenie publiczne, a zwłaszcza ośmieszenie się. Kandydatami do pewnej (jak amen w pacierzu!) śmierci publicznej są nieliczni racjonaliści, którzy alkoholu nie potępiają w czambuł i o pręgierz dla podchmielonych nie wołają; którzy — rozumiejąc potrzebę picia i niemożność wykorzenienia tego nawyku, a także dostrzegając pewne zalety picia okazjonalnego i umiarkowanego — apelują o nic więcej, jak tylko o zmianę sposobu picia. Są najpewniejszymi kandydatami na śmieszność publiczną i ośmieszenie, ponieważ racjonalistami będąc — narażają się tak zwolennikom abstynencji absolutnej, jak i moczymordom oraz wesołkom trąbiącym od rana do nocy, tj. narażają się absolutnie absolutnej większości. Racjonalizm nigdy w Polsce nie był popularny; racjonaliści nigdy nie dzierżyli rządu dusz polskich. I dzierżyć nie będą! Chociaż albowiem pępkiem jesteśmy świata i narodów, to nigdy nie byliśmy i nie będziemy „państwem środka".

O słuszności wszystkiego powyższego świadczy chociażby fakt obśmiania przez Tomasza Sasa idei Komitetu Kultury Picia, powołanego przez TKK „Veto" (patrz „Odgłosy" nr 4/85, szpalta druga „Przegląd prasy"). Ponieważ przy obśmiewaniu i wyśmiewaniu liczy się właśnie śmiech, każda droga do jego wywołania jest dobra. Najlepsze zaś jest wyrywanie fragmentów zdań i takie ich ponowne połączenie, aby wyszła fura śmiechu, tj. surrealizm z realizmu. Mistrzowsko czyni to Tomasz Sas, budując następującą konstrukcję z cegiełek cytatów (cytuję in extenso):

„W „Veto" zainstalował się Komitet Kultury Picia (KKP w skrócie, żeby było łatwiej zgadnąć") i namawia on nas do „rozsądnego i umiarkowanego picia napojów alkoholowych", albowiem to „poprawia nastrój i łaknienie, a tym samym może pozytywnie wpłynąć na przyswajanie pokarmów". Zawsze twierdziłem, że najważniejszy jest uśmiech i przyzwoite zakąski. Chlanie na ponuro i głodno to prosta droga do nałogu, drodzy rodacy... Hej".

Na tym kończy się notatka zatytułowana *„Wóda jest zdrowa!"* — a przytoczona tutaj z całą wiernością oryginałowi.

Beczka śmiechu, a także antał ubawu! Humor bowiem tym celniejszy jest, im bardziej realistyczne są elementy, a także wiarygodne bo ponure — których zestawienie prowadzi do surrealizmu i śmiechu, wręcz nie do wiary. Zwłaszcza przy typie humoru najwyżej cenionego wśród koneserów a braci pijusów, tj. humoru czarnego (najczarniejszego z czarnych!). Przyznając rację każdemu elementowi z osobna, i uznając jego powagę i wagę, a nawet wspierając tę wagę własnym przekonaniem (mrug-mrug: to do Ciebie, Czytelniku, rozumiemy się, ha-ha?) — w rezultacie boki zrywamy ze śmiechu, tarzamy się z uciechy, co najmniej tak — jak byśmy wytrąbili bół basa. Efekt taki, komiczny z najkomiczniejszych, uzyskuje się m.in. przez drobniuteńkie poprawki, zwane także manipulacjami. Można (i należy!) otóż fragment zdania, potępiającego chlanie wódki, połączyć z fragmentem zdania dotyczącego wychylania kieliszka wina do obiadu lub butelki piwa pod golonkę — ale bez zaznaczenia, że cytowany korzystny wpływ lampki wina lub halby piwa na humor i trawienie oraz przyswajanie, dotyczy właśnie wina i piwa. Lepiej sprawić wrażenie, że te korzystne wpływy dotyczą półlitrówki na łba, wydudlanej w bramie! W rezultacie beczka śmiechu wielka jak dawny antał piwa — pewna jak amen w pacierzu. A o to właśnie idzie, o tę beczkę śmiechu, gdy ktoś ośmiela się porywać na uświęcone tradycją i wzmocnione bieżącymi poglądami obyczaje Polaków, które to obyczaje stanowią tabu. I świętość narodową, przenajświętszą. Na nic lepszego, jak na okrutne wyśmianie nie zasługuje każdy, kto śmie z racjami i racjonalizmem zwracać się do „rodaków" — Hej!

Rodaków albowiem trzeba albo potępiać i straszyć piekłem (abstynencji i prohibicji) — a oni lubią być potępiani i udręczani, oj jak lubią, zwłaszcza gdy są na kacu; albo trzeba im schlebiać i kadzić — co oni też lubią najbardziej ze wszystkiego, zwłaszcza gdy akurat sięgają po pół litra lub zabierają się z całym nabożeństwem za pędzenie „księżycówki", zwanej także „krzakówką", a ostatnio nawet „betonówką", bo w betonach wielkomiejskich wieżowców pędzoną; która to nazwa ostatnia odbija też sens głębszy: że jak beton stać będziem, całym narodem jak jeden mąż, contra (tj. przeciw) ustawom „o wychowaniu w trzeźwości" i zabiegom „góry" o trzeźwość w pracy i po pracy. Furda sejmy i ministry, my chcemy wódy — kanistry! Co zaś chcemy, to zrealizujemy. A po drodze obśmiejemy każdego, kto ośmieli się stawać na przekór lub chociażby mitygować.

Co nie zmienia sprawy, że picie „bohaterskie", tak ulubione i uwielbiane a także praktykowane w Polsce — jest zbrodnią na sobie samym, i na reszcie współobywateli (zwłaszcza tych najbliższych, związanych węzłem małżeńskim i z małżeństwa tegoż zrodzonym). Co nie zmienia też sprawy, że lampka wina rzeczywiście poprawia nastrój, a halba piwa przeczyszcza nerki i rozpuszcza kamienie żółciowe. I co nie zmienia sprawy, że niektórzy a światlejsi lekarze rzeczywiście zalecają picie wina i piwa gwoli poprawienia zdrowia poprzez dostarczenie organizmowi zawartych w tych napojach witamin, mikroelementów, białek i garbników, a nie dla towarzyszącego tym napojom alkoholu. A może także właśnie dla tej kropli alkoholu: skoro wiadomo, że on, alkohol pod postacią kropli, tj. w małych dawkach jest zupełnie dobry, wręcz znakomity, jako m.in. zapobiegający sklerozie? Choć prawda: nadużywany alkohol powoduje marskość wątroby po zbydlęceniu, a następnie delirium tremens i „trzęsionkę". Śmieszną; ach jak śmieszącą.

KKP, niepomny na porażki wszystkich poprzedników z proboszczami na czele, ma na celu zaszczepienie odrobiny rozsądku w odniesieniu do zwyczaju nierozsądnego, a patologicznego, tj. do picia na umór i w trupa. Nie chodzi ani o anatemy, ani o basowanie. Chodzi tylko i wyłącznie o to, aby pić w dawkach pobudzających, a jeszcze nie upijających, „drodzy rodacy... Haj!".

Do kogo ta mowa — zapytacie, Rodacy? Nie do Was, otóż. A do tych resztek rozumu, które jeszcze nie utopiły się w wódce, rozlewanej i rozlewającej się jak morze i jak ocean. I które to resztki rozumu nie widzą niczego śmiesznego w czymś, od czego „wszyscy" wokół zrywają boki. Hej... no to cyk? — aby więcej śmiechu było: iż ostatnich ponurych bo trzeźwych, a zgrupowanych wokół KKP, też już ze śmiechu poskręcało, a z opilstwa zwymiotowało. Rację, zaiste, mieli ojcowie, odkrywający prawdę „dobry trunek na frasunek". Do dna więc, a na pochybel KKP! Ha-ha-ha-hi-hi-hi-hu-hu-hu... dopóki starczy tchu.

JAMNIK

PS.: Nawiasem zaś mówiąc „Haj" pisze się „Hy". Ha-ha-ha, hi-hi-hi, czka-czka-czka! Warto się uczyć nie tylko angielskiego języka, a zwłaszcza jego przedziwnej pisowni; warto też uczyć się angielskich zwyczajów picia „szkockiej" — rozcieńczonej wiadrem wody. Dla zachowania dobrego o sobie mniemania; dla utrwalenia dobrego o sobie imienia wśród przyjaciół; a także dla zdrowia portfela: picie albowiem nieumiarkowane kosztuje, oj kosztuje, i to wszędzie pod słońcem. Szczególnie zaś słono przychodzi płacić za obśmiewanie zwyczajów picia umiarkowanego. Właśnie płacimy: na klęczki padając za cukier „z zachodu", który to cukier w „try migą" potrafimy przerobić na bimber. By tarzać się ze śmiechu i w upojeniu: jak za Króla Sasa.

J.

• • •

Jamniczku kochany,

Tkwisz po uszy (ach, te twoje cudne uszy...) w błędzie mniemając, jakobym był przeciwnikiem tzw. kultury picia, zdolnym do obśmiewania takowej. Naprawdę uważam, że rozsądne i umiarkowane picie napojów alkoholowych służy zdrowiu, poprawia nastrój i łaknienie. Jakże często wypijam właśnie (i tylko) halbę piwa, albo dwie, pod coś smakowitego, że o lampce, albo dwóch (lepiej dwóch) czerwonego wytrawnego nie wspomnę. A jakimże jestem miłośnikiem koktaili! Jeśli zechcesz, służę paroma wypróbowanymi prywatnymi receptami...

Zapytaj, kogo zechcesz, spomiędzy moich znajomych — czy widział mnie pijanego do spodu, zarzyganego w rynsztoku — jak byłeś uprzejmy sugestywnie odmalować w swym liście. Otóż nie znajdziesz takiego, co potwierdziłby, iżbym kiedykolwiek zalał się w trupa. Odrzucam także pomówienie o irracjonalizm, objawiający się poprzez niechęć do idei kulturalnego popijania.

Oświadczam ci, Jamniczku, kochany, że nie było moją intencją obśmianie idei KKP przy „Veto", aczkolwiek przyznaję, że wydaje mi się ona nieco irracjonalna właśnie — i to z dwóch powodów. Pierwszy — jest to przekonywanie i umacnianie w wierze już przekonanych (takie bowiem mam mniemanie o czytelnikach tego pisma). Drugi — czysta wóda i obrzydliwe piwska na rynku naszym dominujące, to nie jest to, z czym należałoby zaczynać propagowanie kultury picia. Dopóki nie będzie lepszych i różnorodniejszych „surowców", dopóty cała idea będzie śmieszna — nic na to nie poradzę.

Drogi Jamniczku, jeżeli znajdziesz chwilkę czasu, a twój pan pozwoli, wpadnij do mnie na dżin z tonikiem, albo — jeżeli nie lubisz gorzkiego jałowca — na whisky on the rocks. Zostało mi jeszcze nieco ze starych zapasów (gdy były dostępne za złotówki) „Beefeatera" i „Balmoralu".

Przy okazji — angielszczyzna moja wprawdzie nie jest bez zarzutu, ale tym razem nie trafiłeś. Owo „haj" wcale nie jest fonetycznym zapisem jakiegoś słówka angielskiego, tylko w całości pochodzi z japońszczyzny.

Ściskam łapę

TOMASZ SAS

OD REDAKCJI DO CZYTELNIKÓW

Ponieważ nie wszystkie listy, jakie otrzymujemy jesteśmy w stanie drukować, a chcielibyśmy utrzymywać kontakt z Czytelnikami, publikujemy dziś kilka odpowiedzi na nadesłane listy.

BARTŁOMIEJ LEWICKI — Z propozycji skorzystamy, ale w terminie późniejszym. Takie „Odgłosowe kto jest kto" może być utrzymane tylko w tonie żartobliwym, a więc będzie nadawało się na 1 kwietnia.

JANUSZ RUDNICKI — List przeczytaliśmy. Zbyt chaotyczny, aby nadawał się do druku. Za uwagi i spostrzeżenia dziękujemy.

Mgr inż. B. B. — Problemy Retikini bardzo nas interesują. Będziemy o tym wkrótce pisali. Listu opublikować nie możemy. Nie możemy bowiem naruszyć zasady, że nie drukujemy listów podpisanych tylko imieniem i nazwiskiem, bez podania adresu choćby jedynie do wiadomości redakcji, a także listów anonimowych.

JERZY GORANOWSKI, Warszawa — Ponieważ zamknęliśmy dyskusję nad szerszym odgłosem braku „Odgłosów" interesujący list Pana przekazaliśmy wszystkim zainteresowanym. Dziękujemy.

„BAŚNIOWY SEN „JUVENTUSU"

Z przykrością informuję Obywatela Naczelnego Redaktora, że artykuł, który ukazał się w tygodniku „ODGŁOSY" z 26.I. br. pt .Baśniowy sen „Juventusu" w wielu przypadkach nie odpowiada prawdzie.

Stwierdzam, że Redaktor J. Wrońska była u mnie w ubiegłym roku i pytała wówczas o różne sprawy związane z produkcją kolekcji własnych DH „JUVENTUS". Była to rozmowa „luźna" pomiędzy p. Redaktor, mną i naszą projektantką. Byłam wówczas bardzo zajęta i rozmowy tej nie traktowałam jako wywiadu, ale raczej jako towarzyską „pogawędkę". Niektóre informacje podane w artykule są absolutnie błędne, jak np. dotyczące Państwowej Inspekcji Handlowej w zakresie oceny trybu pracy naszej projektantki. Informacja ta została mnie przypisana, czego nie mogłam nigdy powiedzieć, gdyż PIH nigdy nas nie kontrolował po linii personalnej. Również szereg innych informacji przypisanych mnie nie jest zgodne z prawdą.

O ile to miał być „wywiad" należało przedłożyć mi do autoryzowania i wszelkie zmiany wprowadzone winny być honorowane. Skoro tego nie uczyniono, to zgodnie z PRAWEM PRASY — art. 6 ustęp 1 pkt. 2 179 — paragraf 2, bardzo proszę Obywatela Naczelnego Redaktora o spowodowanie opublikowania sprostowania.

Do wiadomości: Dyrektor PHU „Otex", mgr Bohdan RYCIAK w miejscu.

ANNA MOSPINEK
(Kierownik DH „JUVENTUS")

• • •

W numerze 4 Tygodnika „ODGŁOSY" z 26 stycznia 1985 r. w artykule Jolanty Wrońskiej pt. „Baśniowy sen „JUVENTUSU" znalazło się kilka poważnych nieścisłości i błędów merytorycznych.

Wszystkich zainteresowanych informuję, iż zbierając materiał do tekstu, nie dokonałam autoryzacji tekstu ze swą rozmówczynią panią Anną Mospinek, za co niniejszym pragnę Ją gorąco przeprosić. Z poważaniem

JOLANTA WROŃSKA

WANDA JEZIERSKA-GOEDEL — ZAPOMNIANA ARTYSTKA

W związku z zamieszczoną w „Odgłosach" informacją o planowanym zorganizowaniu przez Muzeum Sztuki wystawy obrazów łódzkich malarzy okresu II Rzeczypospolitej, przypominam postać Wandy JEZIERSKIEJ-GOEDEL.

Urodziła się 24.I.1890 r. w zasiedziałej w Łodzi rodzinie kupieckiej z ojca Edwarda Jezierskiego i matki Wilhelminy Jezierskiej z domu Ast, którzy byli właścicielami posesji i sklepu galanteryjnego przy ul. Konstantynowskiej 24 (11 Listopada, Obr. Stalingradu). Była najstarszą, spokojną i bardzo wrażliwą z 6-osobowego rodzeństwa. Do szkół uczęszczała w Łodzi i Krakowie (szkoła SS Franciszkanek przy kościele św. Andrzeja). W 1911 r. wyjechała do Monachium, gdzie studiowała w tamtejszej Akademii Sztuk Pięknych i uczestniczyła w życiu kulturalnym kolonii polskiej w tym mieście.

W czasie I wojny światowej wyszła za mąż za kolegę szkolnego Karola Goedla, który tym małżeństwem uratował ją przed internowaniem. Po wkroczeniu wojsk niemieckich do Łodzi i rozwodzie, powróciła do domu rodzinnego, gdzie poza pracą malarską, włączyła się w nurt działalności niepodległościowej, pracując wraz z siostrami w Lidze Kobiet.

Po odzyskaniu niepodległości pracowała jako maszynistka w Ministerstwie Spraw Wojskowych w Gdańsku i Warszawie. W 1925 r. powróciła do Łodzi, gdzie zajęła się malarstwem i udzielała się w Samopomocy Społecznej Kobiet. Należała do Związku Plastyków w Łodzi, wybrana również do Zarządu tego Związku.

Do grona jej przyjaciół, malarzy łódzkich, należeli m. in.: Grażyna Mackiewicz, Elza Mazurkiewicz, Brzozowski, Radwański, Chwalisław Zieliński i in. Wystawiała swoje obrazy na corocznych wystawach w galerii mieszczącej się w Parku Sienkiewicza oraz jeden z obrazów w „Zachęcie" w Warszawie.

Specjalnością jej były portrety zwykłych osób potraktowane z dużą sympatią do nich, ujawniające indywidualne cechy fizyczne i psychiczne postaci portretowanych oraz martwa natura (kwiaty), malowane farbą olejną i pastelą; poza tym malowanie kwiatów na ceramice (wazony, talerze).

Z chwilą wybuchu II wojny światowej i wkroczenia Niemców do Łodzi wraz z siostrami i najbliższą rodziną rozpoczęła pracę konspiracyjną w podziemnej organizacji wojskowej: Służba Zwycięstwu Polski, Związek Walki Zbrojnej, Armia Krajowa. Zajmowała się wynajmowaniem kwater dla ludzi ukrywających się, przenosiła pocztę. Znając biegle język niemiecki, wykorzystywana była do zbierania informacji o nastrojach wśród Niemców oraz tłumaczenia prasy i książek o tematyce wojskowej i politycznej. Pracą malarską zajmowała się sporadycznie, malując głównie portrety najbliższych członków rodziny i przyjaciół. W dniu 7.III.1941 r. została wraz z całą rodziną aresztowana i przebywała do dnia 19.III.1941 r. w więzieniu (Polizei Gefängniss) na rogu ul. Gdańskiej i Obr. Stalingradu.

Płk dr Zygmunt Walter-Janke w książce pt. „W Armii Krajowej w Łodzi i na Śląsku" tak pisze o tym aresztowaniu: „Wreszcie wpadł jeden z najcenniejszych lokali kontaktowych przy ul. 11 Listopada 24. Na rogu Gdańskiej czekał na mnie szef saperów — kapitan, który niedawno przybył do nas z Generalnej Guberni. Na mój widok wyraźnie się ucieszył. Idziecie pod 247 Tak. No to nie pójdziecie. Dziś w nocy zabrano wszystkich do więzienia na Gdańską. Została tylko babcia z maleńką Danusią. W domu kocioł. Wszystkie wyloty ulic są obstawione przez naszych żebyście nie wpadli".

Po wyjściu z więzienia powróciła do swych prac i obowiązków. Jesienią 1942 r. Wanda została przeniesiona przez organizację do Warszawy, gdzie przy ul. Mochnackiego prowadziła jeden z punktów kontaktowych Komendy Głównej Armii Krajowej. Na skutek zaistniałej sytuacji w domu rodzinnym w Łodzi, po ponownym aresztowaniu i wywiezieniu do Oświęcimia jej siostry Janiny Żyźniewskiej, wiosną 1943 r. powróciła do Łodzi.

Jeszcze wiosną 1940 r. udzieliła m. in. pomocy trzyosobowej rodzinie Rappaportów, którym dała polskie „lewe" dokumenty i wystarała się o locum w mieszkaniu domu przy ul. Mielczarskiego. W połowie 1942 r. rodzina Rappaportów została aresztowana przez gestapo. W więzieniu Janina Żyźniewska, siostra Wandy, spotkała dwie panie Rappaport oraz właścicielki mieszkania i prosiła, aby ją obciążyły a nie Wandę, gdyż i tak ma skierowanie do obozu koncentracyjnego. Sprawa wydawała się już ostatecznie załatwiona, gdy we wrześniu 1943 r. przybył do mieszkania Wandy Rappaport informując, że nie był aresztowany, uciekł i ukrywa się. Wanda uwierzyła i zamiast opuścić mieszkanie, nie zmieniła adresu i w dwa dni później została aresztowana przez dwóch gestapowców. W czasie śledztwa, pomimo bicia, zapierała się wszystkiego. Po przeprowadzonej konfrontacji z Rappaportem została skierowana w listopadzie 1943 r. do obozu koncentracyjnego Oświęcim (Frauenlager, blok 24 nr obozowy 67202). Chora, pobita i załamana psychicznie, gdyż jej subtelna natura nie wytrzymywała obozowych przeżyć, zmarła 2.I.1944 r.

Pozostały po niej listy z więzienia i obozu, zdjęcia fotograficzne oraz liczne prace znajdujące się u pozostałych przy życiu członków najbliższej rodziny.

W dniu 11.XI.1943 r. odznaczona została Srebrnym Krzyżem Zasługi z Mieczami, a w dniu 3.V.1944 r. Krzyżem Walecznych. Symboliczny grób Wandy Jezierskiej-Goedel znajduje się na Starym Cmentarzu w Łodzi, prochy natomiast pośród 4 milionów zamordowanych w Oświęcimiu obok prochów jej siostry Janiny Żyźniewskiej i siostrzeńca Edwarda Żyźniewskiego.

JERZY JĘDRZEJEWSKI

Autostopem przez Europę (6)

Droga wiodła przez Danię

WYPRAWA NA KRABY

Einar przywiózł 80 kg ryb. Wrócił zmarznięty, ale co za radość w rodzinie. Oprawiamy ryby razem z Inge. Uczy nas jak jednym cięciem noża rozpłatać brzuch ryby, a drugim odciąć jej łeb. Krew pryska na około. Barwi na czerwono nasze kombinezony. Rośnie sterta odciętych łbów. Umęczeni ładujemy oprawione dorsze do skrzynki. Część łbów pakujemy do torby. Koty będą miały uczte.

Inge wkłada do kosza w kształcie dużej kuli wielki łeb dorsza. Dokłada do niego kawałek surowego mięsa.

— *Po co mięso?* — pyta Einar.

— *Jak byś był krabem, to byś się złapał na sam łeb?* — śmieje się Inge.

— *Masz racje* — zgadza się Einar.

Z nastaniem zmroku wywozimy kule na morze. Rzucamy ją do wody przy brzegu wyspy odległej od Bud o pięćdziesiąt metrów. Czerwona bojka wskazuje miejsce, gdzie znajdzie się kula.

— *Są!* — krzyczy następnego dnia rano Anna.

Sześć dorodnych sztuk wyjęte z kosza kraby łapczywie i groźnie przecinają powietrze rozwartymi szczypcami.

— *Jeżeli nie wie się jak je chwycić, mogą być niebezpieczne* — mówi Inge. — *Te szczypce są w stanie odciąć palec dorosłego człowieka.*

Patrzymy z szacunkiem na ogromne szczypce.

— *Są takie gatunki krabów* — ciągnie Inge — *które same regulują swój rozwój. Najpierw samce są przez pewien czas niepłodne. Jeżeli to nie pomaga, to część samców zrzuca pancerze i staje się bezbronnym pożywieniem dla uzbrojonych przedstawicieli swojego gatunku. W ten sposób liczba krabów na danym obszarze jest zawsze mniej więcej taka sama.*

— Czy kraby łowi się tylko w taki sposób, jak to robiliśmy?

— *Nie* — odpowiada Inge. — *Jeżeli chcecie, to możemy w nocy wybrać się na łapanie krabów przy świetle latarki.*

Morze wydaje się groźniejsze niż w świetle dnia. Maleńka łódka, która zwykle pływamy pomiędzy pomostem a kutrem ma być jedyną gwarancją naszego bezpieczeństwa. Co jakiś czas fala z sykiem przelatuje przez burtę. Anna pracowicie wybiera wodę drewnianym czerpakiem. Dopływamy do wyspy. Stroma skała opada gwałtownie wprost do morza. Teraz ja będę wiosłował, a Inge z latarką i podbierakiem staje na dziobie.

— *Trzymaj bliżej wyspy! Bliżej skały!* — krzyczy Inge. Jest zdenerwowany i podniecony. Muszę cały czas pilnie uważać, żeby dziób łódki nie rozbił się o skałę.

— *W lewo, bardziej w lewo!* — krzyczy Inge.

Nie udało się. Inge wściekły opada na dno łódki. Słyszę stek norweskich przekleństw.

Próbujemy jeszcze raz. Inge oświetla dno przy brzegu wyspy. Kraby oszołomione światłem latarki pędzą jak oszalałe w głąb morza. Trzeba być naprawdę zręcznym, żeby złapać w podbierak szybko umykające skorupiaki.

— *Wreszcie go mam* — tryumfuje Inge.

Cieszy się zapominając, że morze nie próżnuje. Mocne uderzenie dziobem o skałę. Lądujemy na dnie łódki. Brrr. Dziesięć stopni nie zachęca do kąpieli.

Wkrótce mamy już dwanaście krabów.

— *Wystarczy* — kończy wyprawę Inge. Teraz płyniemy na wyspę. Trzeba poszukać drzewa na ognisko. Znajdujemy skrzynki, które fale porwały z pokładów statków rybackich. Szybko rośnie sterta drzewa na ognisko.

Wyspa jest w całości porośnięta gęstą, niewysoką trawą. Tylko od południowej strony schodzi do morza brunatnożółta skała. W rozpadlinach rosną dwa-trzy świerczki. Nigdy nie wyjdą poza stadium kosówki.

Jesienne i zimowe sztormy gną je do ziemi.

— *Na wyspach nie ma drzewek* — mówi Inge. — *Te posadził dwudziestokilkuletni chłopak. Był nieuleczalnie chory na raka. Nie miał dzieci, a chciał żeby coś po nim zostało i posadził te drzewka. Od czterech lat już nie żyje.*

W wąskiej zatoczce rozpalamy ognisko. Dziwimy się dlaczego Inge nie pozwala umieścić ognia nad samym morzem. Przecież brzeg jest stromy. Ale wkrótce przestajemy się dziwić. Przypływ. I morze przyszło do nas.

Nad ogniem zawieszamy kociołek z gotującą się wodą.

— *Przecież je to boli* — mówi Anna gdy wrzucamy z Inge kraby do wrzątku.

— *Woda jest tak gorąca, że to trwa dosłownie sekundę* — odpowiada Inge.

Po kilkunastu minutach wyciągamy kraby z wody. Inge pokazuje nam jak rozbić pancerz.

— *Tego nie wolno jeść, bo można się ciężko pochorować* — wyjaśnia pokazując na żołądek kraba. Pozostaje sporo mięsa w dolnej części skorupy. Wydłubujemy rosół i zabieramy się do szczypiec. Delikatne, różowe mięso, skropione cytryną, doprawione pieprzem i doskonałym majonezem jest wyśmienite. Do tego niezłe norweskie piwo z browaru Trontheim.

FOKA, ŚLEDZIE I POŻEGNALNA KOLACJA

— *Foka! Patrzcie foka* — krzyczy po polsku Anna pokazując na wąsaty pysk wynurzający się o dwadzieścia metrów od naszego kutra. Płyniemy w głąb Rodsdasfiord i Anna jest wyraźnie podekscytowana nieoczekiwanym spotkaniem. Wykrzykuje po polsku, wciąż powtarzając — *foka, foka".*

Zwierzątko podpłynęło blisko kutra, przyjrzało nam się przenikliwymi świdrującymi oczkami, prychnęło dwa razy i zanurkowało.

— *It's a seal, isn't it?* — pyta już spokojnie Anna.

— *Tak. To foka* — potwierdzają po angielsku Inge i Einar. Nie mogę się oprzeć wrażeniu, że są jacyś zmieszani. Przyglądają się Annie spod oka.

— O co chodzi? — nie wytrzymuję.

— *Co Anna krzyczała?* — pyta Inge.

— Foka to po polsku, a seal — po angielsku.

— *A czy wiesz co to znaczy foka po norwesku?* — pyta Einar.

— Nie.

— *Spieprzaj stąd, ale to już* — odpowiada Einar.

Nadszedł czas pożegnalnej kolacji. Inge kupił rękke-krewetki, kraby, ślimaki i całą masę smakołyków, a do tego w tajemnicy przed swoim najlepszym przyjacielem Sverre kilkanaście piw.

Nie jest tak łatwo kupić piwo w Norwegii. Bezalkoholowe — tak. Natomiast prawdziwe, zresztą dobre, można kupić tylko w składach. Podjeżdża się do takiego budynku samochodem i wymienia kilka skrzynek pustych butelek na pełne. Po miesiącu znów wizyta w składzie.

Presja otoczenia, szalenie religijnego, uznającego alkohol za coś złego coś co powoduje, że człowiek staje się zwierzęciem, jest tak duża, że Inge kryje się przed Sverre z kilkoma butelkami piwa, a Sverre uśmiecha się z zażenowaniem, gdy spotykając go przed domem słyszymy dźwięk butelek w niesionej przez niego siatce.

Najpierw idziemy na pierwsze piętro domu Inge, tam gdzie mieszka Sverre ze swoją żoną, Dunką, Bodil. Sverre wrócił z żeglugi po fiordzie. Ma niewielki, ale znakomicie wyposażony jacht.

— *Zarzuciłem kilka haczyków i zobaczcie co złowiłem* — pokazuje.

W siatce lśnią ogromne śledzie. Bodil usmażyła je według duńskiego przepisu. Są znakomite.

Przy kawie oczywiście żelazny punkt programu — oglądanie zdjęć w rodzinnym albumie. Najciekawsze są zdjęcia Molde sprzed pół wieku.

— *To jest drzewo, pod którym schronił się król Haokon w czasie bombardowania Molde przez Niemców* — opowiada Bodil. — *Cała rodzina królewska zdołała uciec z Oslo przed hitlerowcami i quislingowcami. Pod Molde rozegrał się jeden z najbardziej dramatycznych epizodów tej ucieczki. Odkryto, że dziewczyna z otoczenia króla informuje Niemców o miejscach, w których orszak się zatrzymuje. Król własnoręcznie ją zastrzelił, chcąc w ten sposób dać przykład jaki koniec spotka wszystkich zdrajców. W końcu udało mu się zbiec do Anglii.*

— *A czy wiecie, że my tutaj myślimy o Polsce bardzo ciepło i że właśnie polska piosenka była jednym z naszych przebojów?* — mówi Sverre.

— Tak? Kiedy?

— *Tuż po wojnie. Cała Norwegia śpiewała „Warszawo po twoich ulicach"* — Bodil zanuciła cichutko.

— *Tak* — dodaje Sverre. — *W dzień i w noc nadawano w radio tę piosenkę.*

WIELKA WIEŚ

Jedziemy pociągiem z Andalsness do Oslo. Tory biegną po dnie doliny. W słońcu błyszczą spadające ze stromych ścian wodospady. Gdzieniegdzie bieleje śnieg. Jesień pozłociła liście drzew. Nie potrafimy się cieszyć widokami, bo myślami jesteśmy wśród naszych przyjaciół w Molde i w Bud.

Oslo jest nazwane „wielką wsią". Mieszkańców ma niewiele ponad czterysta tysięcy, ale za to powierzchnia przewyższa niejedną europejską metropolię. Położone po kilku stronach zatoki oferuje turyście niezapomniane i różnorodne wrażenia. Można oglądać konkurs skoków narciarskich na słynnej skoczni w Hollmenkollen. Na zielonym półwyspie Bygdoy znajduja się dwa godne zwiedzenia muzea. Jedno z nich to muzeum Kon-Tiki, tratwy słynnego Thora Heyerdahl'a, w drugim zacumowano na wieki, w betonowym doku, statek Fridtjofa Nansena — Fram. To właśnie na nim ten największy spośród badaczy polarnych dryfował uwięziony w czasie zimy polarnej przez lody Arktyki. To na nim Roland Amundsen popłynął w kierunku szóstego kontynentu, by na Antarktydzie założyć bazę, z której wyruszył na podbój bieguna południowego. Na Bygdoy można obejrzeć stare łodzie wikingów i drewniane kościółki z okresu panowania morskich rozbójników.

Idziemy Carl Johansgate — główną ulicą miasta. Po środku deptak, drzewa, a wśród nich kawiarenki i fontanny z ławkami, zapełnionymi ludźmi do późnych godzin wieczornych. Po lewej stronie półokrągły budynek Stortingu — norweskiego parlamentu. Niewielki, nie rzuca się w oczy. Po prawej stronie klasycystyczny gmach Uniwersytetu, a przed nim na cokołach postacie dwóch wielkich literatury norweskiej — Bjornstjerne Bjornsona i Henryka Ibsena.

Stromym przejściem dochodzimy wreszcie do pałacu królewskiego. Szeroka arteria. To tutaj w dniu święta narodowego odbywają się uroczystości. Nie wojskowymi paradami, a pochodami dzieci Norwegowie obchodzą najbardziej uroczysty dzień ich historii — proklamowanie konstytucji 1914 roku.

Pałac królewski. Można tu spokojnie przespacerować się pod oknami monarchy.

Trafiamy do słynnego parku Vigelanda. Rzeźby pojedynczych osób i grupy ludzi. Dzieci i dorosłych. Jest ich tyle, że w ciągu kilkunastominutowego spaceru czujemy się przytłoczeni formami i treścią dzieł, mających zarówno zagorzałych zwolenników jak i przeciwników. Zaczęło się od fontanny, która miała stać przed stortingiem, a skończyło się na jedynej w swoim rodzaju postaci, autorstwa Gustawa Thorsena znanego jako Gustav Vigeland.

Z OSLO DO KOPENHAGI

— *Skąd jesteście?* — jedna z dwóch siedzących przed nami w wagonie dziewcząt w końcu nie wytrzymała. — *Słuchamy was już od dłuższego czasu i nie możemy rozszyfrować waszego języka. Znamy kilka języków, ale nie ten, którym wy mówicie.*

— To polski.

— *Polski?* — i popłynęła lawina polskich nazwisk od Wajdy i Żuławskiego po Pendereckiego i Urbaniaka.

Ingrid śpiewa i gra w zespole jazzowym i zna się doskonale na muzyce. Karen jest zafascynowana teatrem. Ma zamiar studiować reżyserię w Amsterdamie i nieobce są jej nazwiska Grotowskiego i Mrożka.

— Fantastycznie znacie angielski — chwalimy dziewczyny. — Macie trochę amerykański akcent.

— *Bo byłyśmy w Stanach* — odpowiadają, a Karen dodaje. — *U nas w Norwegii jest w zwyczaju, że w trakcie nauki w szkole średniej jeździmy na roczną wymianę do USA. Ja byłam w Kalifornii. Akurat w czasie olimpiady w Los Angeles. Ach co to było za sportowe święto! Niepowtarzalna atmosfera. Nie możecie sobie tego wyobrazić! Mieszkałam w amerykańskiej rodzinie. Ich córka była w tym czasie w Norwegii. Na studiach także musimy mieć praktyki zagraniczne.*

— *Moja przyjaciółka studiuje w Szwecji medycynę* — mówi Ingrid — *wszystkie wykłady są nagrywane na kasety i przesyłane do niej do domu.*

— *Wykaz książek, najnowszych pozycji z medycyny też* — dodaje Karen. — *I każdy musi wybrać jeden ze stu dwudziestu krajów Europy Zachodniej, obu Ameryk, albo Australii, gdzie chce przez pół roku odbywać praktykę. Bez zagranicznego stażu w ogóle nie wolno wykonywać zawodu lekarza. Oprócz tego trzeba przez pół roku popracować na prowincji, daleko od Oslo, najlepiej na północy.*

Nie wiadomo kiedy przekroczyliśmy granice ze Szwecją. Także pomiędzy Szwecją i Danią nie było kontroli granicznej.

KOPENHAGA

Po dłuższym pobycie na odludziu Kopenhaga wydaje się ogromnym skupiskiem ludzi. Czysto. Porządnie. Dużo kwiatów. Gdy na promie do Polski spytałem Annę, jakie są jej wrażenia z Kopenhagi, odpowiedziała.

— *Pełno starych budynków, starych kościołów i starych wież. I... śliczne Dunki.*

— *Dunki są wyzwolone, ale mają jednocześnie silnie rozwinięte poczucie własnej wartości* — mówi Tomek, u którego przez dwa dni mieszkaliśmy. — *Spróbuj Dunce powiedzieć, że kobieta to coś gorszego niż mężczyzna. Poda cię do sądu. Biorąc ślub z Dunką, musisz złożyć pisemne oświadczenie, że zapewnisz jej po ślubie nie niższy standard niż miała przed.*

— *Przeciętna Dunka pracuje zawodowo, czy raczej wychowuje dzieci?* — pyta Anna.

— *Taki podział nie istnieje. Pracują zawodowo, a mężczyźni często zajmują się domem i wychowaniem dzieci. Zresztą młodzież usamodzielnia się bardzo szybko. Koło szesnastu lat są już dorosłymi, samodzielnymi ludźmi.*

— Wydaje mi się, że one są takie bez kompleksów — mówię — bardzo swobodne.

— *Są. Rzeczywiście. Jeżeli Dunka ma ochotę na nawiązanie intymnej znajomości z chłopakiem, który jej się podoba, to podchodzi do niego pierwsza, a następnego dnia, żegnaj Romeo. Tylko ze wokół ich wyzwolenia narasta dużo mitów i nieporozumień. Wyzwolenie Dunek oparte jest na prawdziwym, a nie deklarowanym, wzajemnym szacunku i ma swoje uzasadnienie w konkretnej sytuacji społecznej. Przeniesione do innych warunków kończy się smutnie. Źle pojęta swoboda doprowadza do braku poszanowania jakichkolwiek wartości i do demoralizacji.*

Z Kopenhagi jedziemy już prosto do Polski. Koniec podróży autostopem po Europie.

Samotni we dwoje

KORESPONDENCJA WŁASNA Z NRD

Inga ma lat 5. Chodzi do przedszkola, w którym spędza czas od wczesnego ranka do późnego popołudnia. Około godziny 17 odbiera ją właśnie mama, potem pół godziny jazdy tramwajem i już jest w domu. 2—3 godziny zabawy i do łóżka.

Tak jest przez 5 dni w tygodniu. Przychodzi jednak sobota i niedziela, które Inga musi spędzać wyłącznie w towarzystwie mamy.

Inga z mamą — Moniką mieszkają od niedawna w nowym osiedlu, więc znają bardzo mało ludzi. Po 5 dniach długotrwałych przejazdów tramwajem nie chce im się po prostu jechać do znajomych i przyjaciół, z którymi spędzały dotychczasowy wolny czas. W bloku są istotnie „niemieckie" zasady sąsiedztwa. Dobrym sąsiadem jest się wtedy, jeżeli się w ogóle wzajemnie nie odwiedza, a nie tylko nie zakłócając spokoju głośno grającym telewizorem i radiem, nie pożyczając kawałka chleba lub cukru, co już często określa się zawracaniem głowy.

Inga ma ojca, który 2 lata temu najpierw wyprowadził się z domu, a kilka miesięcy potem rozwiódł się z mamą. Monika przeciw rozwodowi nic nie miała. Jurgen wprawdzie prawie w ogóle nie pił i nie kłócił się, ale też już w rok od zawarcia związku małżeńskiego nie troszczył się zbytnio o rodzinę.

— *Wiedziałam, że mnie zdradza* — mówi dzisiaj Monika. — *Wydało się wszystko na przyjęciu u kolegi z uczelni, z którym razem pracuję. Od „wpadki" w ogóle przestał się kryć ze swoimi znajomościami z innymi kobietami. W końcu zaczął je sprowadzać do domu.*

Wyprowadzka męża z domu była dla Moniki prawdziwą ulgą. Uwolniła ją bowiem od wielu upokorzeń. W trakcie rozprawy była — w odróżnieniu od męża — stanowczo za rozwodem.

No tak. Skończyły się udręki z mężem, ale pojawił się nowy problem: braku męża i ojca.

— *Taki jaki był, ale był* — mówi dzisiaj w przypływie nostalgii za byłym małżonkiem Monika. — *Brak męża i ojca jest straszny. W pracy straciłam przyjaciół, dziecko w przedszkolu musi odpowiadać na wiele dociekliwych pytań innych dzieci.*

Monika zdecydowała się dlatego na ogłoszenie matrymonialne. *„Inga lat 5, bardzo grzeczna i ładna, mieszkająca w bardzo dobrych warunkach mieszkaniowych poszukuje tatusia dla swojej mamusi".*

To ogłoszenie, specyficznie zredagowane, pojawiło się obok wielu innych, setek, tysięcy innych, które ukazują się corocznie w piśmie „Wochenpost" i pozostałej prasie NRD-owskiej. *„Mała Ania szuka męża dla swojej 39-letniej mamy", „Grzeczny Hans poszukuje męża dla pięknej 25-letniej mamy z własnym mieszkaniem"* itd.

Samotne kobiety — po rozwodzie lub jeszcze panny — z dzieckiem stanowią istotny problem społeczny w NRD.

NRD jest krajem o jednym z najwyższych w Europie wskaźników rozwodów oraz samotnych panien z dzieckiem.

Jakie są przyczyny owej niepokojącej sytuacji?

Młodzież tu dość wcześnie zaczyna współżycie seksualne: w wieku 15—16 lat, a nawet często w wieku 12—13 lat. Dotychczas z wielką dumą wymieniało się NRD, w której z dość dużą otwartością w szkołach podstawowych prowadzono lekcje z wychowania seksualnego i przystosowania do życia w rodzinie. Okazało się, że ma to także złe strony, m.in. tę, że dziecko znające teoretyczne podstawy mogło już bez większych przeszkód przejść próg inicjacji seksualnej. Stąd częste zajścia w ciążę dziewcząt 16-letnich. Goszcząc często na przyjęciu u moich przyjaciół kilkakrotnie byłem świadkiem przebywania do późnej nocy w pokoju 14-letniej córki jej chłopaka, kolegi z ławy szkolnej. Nie wywoływało to niepokoju rodziców, wręcz przeciwnie: gorszące byłoby nawet zaglądanie do pokoju.

Dziewczęta dość wcześnie rozpoczynając współżycie seksualne, stosują też o wiele za wcześnie środki antykoncepcyjne, najczęściej doustne w postaci tabletek, które pozostawiają także szereg skutków ubocznych.

Brak jest trwalszych więzi uczuciowych między dwojgiem młodych: dziewczyną i chłopakiem. Dłuższe związki sprowadzają się do regularnego współżycia, nie odpowiadającego z pewnością poziomowi psychicznemu. Już pierwsze spotkanie po godzinnym spacerze, czasami potańcówce kończy się na łóżku.

Związki małżeńskie zawierane są dość wcześnie, w oparciu o dostosowanie seksualne, któremu z pewnością nie towarzyszą rozwinięte związki psychiczne i dojrzałość społeczna. Rozpadają się formalnie po roku, dwóch, nawet pięciu, praktycznie jednak proces dezintegracji zaczyna się już kilka miesięcy po ślubie.

Jak przedstawia się sytuacja małżeństw mieszanych, właśnie np. polsko-niemieckich, tu zamieszkałych? Można powiedzieć krótko: tak jak sytuacja ogólna, czyli niezbyt optymistycznie.

Anna, wykształcenie średnie, obecnie lat 29, pracowała na budowie w pobliżu Lipska. Tu poznała Hansa. Pobrali się po dwóch miesiącach znajomości. Anna przyjęła obywatelstwo NRD, odcinając sobie możliwość dość swobodnego podróżowania po Europie, którą mają osoby pozostające na paszporcie konsularnym.

Urodziło się jedno, potem drugie dziecko.

— *Praktycznie już nazajutrz po ślubie znalazłam się w swoistym kotle* — mówi dzisiaj Anna, która też zamieściła ogłoszenie matrymonialne w „Wochenpost". — *Nie tylko pracowałam tak ciężko jak mąż, ale musiałam „wziąć na siebie" obowiązki domowe. Gdy przyszły na świat dzieci, do swych licznych pozazawodowych obowiązków musiałam dołożyć wychowanie dzieci. Dzień i noc byłam na nogach. Tak znalazłam się na brzegu fizycznego wyczerpania, którego mąż w ogóle nie zauważał. Nie zapominał za to codziennie spytać, czy pamiętałam o kupnie piwa, z którym potem siadał w fotelu przed telewizorem i tak zasypiał.*

Teresa poznała swojego męża na studiach zagranicznych w Leningradzie. Byli razem w jednej grupie. Po ich ukończeniu pobrali się. Zamieszkali w NRD, ona zachowała jednak obywatelstwo polskie, otrzymując paszport konsularny.

Współżyli ze sobą jeszcze przed ślubem. Tamte dni Teresa wspomina z rozrzewnieniem. Mąż był troskliwy, delikatny i czuły. Miał dla niej zawsze czas.

Potem wszystko się zmieniło. Dla męża istniała tylko raz na dobę. W łóżku skończyły się pieszczoty i czułości. Po szybkim osiągnięciu samozadowolenia odwracał się na bok i tak zasypiał. Rano wstawał do pracy, dla niego musiało być obowiązkowo przygotowane śniadanie, w trakcie którego nie odzywał się ani słowem. Po powrocie z pracy było podobnie: obiad, kawa, piwo, fotel i drzemka przed telewizorem. Potem dwie, trzy godziny pracy naukowej.

Nie do zniesienia były szczególnie soboty i niedziele. Ona kręciła się okrągły dzień przy dziecku i w kuchni, on zaś nie ruszył nawet palcem w domu. Potrafił te dwa dni wolne od pracy spędzić wyłącznie przed telewizorem, oglądając program lub czytając książki ze swojej naukowej „działki".

Nie nadużywał wprawdzie alkoholu, dużo zarabiał, nie kłócił się, ale ten „Stimmung", jak mówi Teresa, czyli nastrój był nie do wytrzymania. Niechybnie musiało skończyć się rozwodem. I tak się stało.

Trwałe i zgodnie żyjące są za to małżeństwa Polaka i Niemki. Dla wychowanych raczej w tradycyjnym modelu „3K" (od pierwszych liter niemieckich słów: Kościół, dziecko, kuchnia) Niemek miłym życiowym rozczarowaniem jest postawa męża i sprawiedliwy podział domowych obowiązków.

WACŁAW OPACKI

Nogara zupełnie wyraźnie należał do tego rodzaju ludzi, z którymi nie można bezkarnie grać w monopol. Miarodajne udziały kupił on nie tylko w bankach, lecz także w towarzystwach ubezpieczeniowych, przedsiębiorstwach przemysłu stalowego i cementowego, zakładach młynarskich i fabrykach makaronów oraz przedsiębiorstwach branży metalowej. Wreszcie Watykan wykupił przynajmniej 15 proc. akcji wielkiego koncernu włoskiego „Immobiliare", stając się dzięki temu współwłaścicielem nadzwyczaj dobrze wysortowanego majątku. „Societa Generale Immobiliare" jest najstarszą firmą budowlaną Włoch. Przez podległe sobie towarzystwo „SOGENE" „Immobiliare" — a dzięki swym przynajmniej 15-procentowym udziałom także Watykan — była właścicielką lub współwłaścicielką następujących hoteli i ich sieci: hotel „Hilton" w Rzymie, „Italie Americana Nuovo Alberghi", „Alberghi Ambrosiani" Mediolan, „Compania Italiana Alberghi Cavalieri" i „Soc. Italiani Alberghi Moderni", by wymienić tylko największe perły z hotelowych posiadłości „Immobiliare" na ziemi włoskiej. Lista innych znajdujących się w posiadaniu tego koncernu nieruchomości i firm włoskich, byłaby jeszcze dwukrotnie dłuższa.

Przy Avenue des Champs Elysées 90 w Paryżu „Immobiliare" urządziła wielkie biuro i dom handlowy, podobnie jak na Rue de Panthieu 61 i Rue de Berry 6.

W Kanadzie do „Immobiliare" należały „Stock Exchange Tower" w Montrealu, jeden z najwyższych drapaczy chmur na świecie, „Port Royal Tower" — dom mieszkalny z 224 apartamentami, wysłużone osiedle mieszkaniowe w Greensdale koło Montrealu...

W Stanach Zjednoczonych do „Immobilare" należało pięć wielkich kompleksów budynków, wśród nich hotel „Watergate", a do tego przy Oyster Bay w Nowym Jorku kompletne osiedle mieszkaniowe o powierzchni 110 ha.

W Meksyku latyfundium „Immobiliare" stanowiło w całości

prawa, bez aprobaty parlamentu i — co najważniejsze — w osiem dni po ustąpieniu rządu mniejszościowego.

Skonfrontowany z ministrem finansów, który groził ustąpieniem, i z Watykanem nieugięcie broniącym swojego stanu posiadania, Aldo Moro poszukiwał rozwiązania kompromisowego. Jako warunek zwolnienia od podatków zażądał od Watykanu przedłożenia listy udziałów kapitałowych. Kryły się za tym całkiem rozsądne rozważania, że naród włoski powinien przynajmniej przedtem dowiedzieć się, ile pieniędzy straci kasa państwa. Watykan bronił się przed przedstawieniem danych, jakich domagał się Aldo Moro i głośno powoływał się na swoją suwerenność państwową. To, że Watykan czerpał znaczne zyski z osiągnięć gospodarczych narodu włoskiego (i innych narodów), w przekonaniu ludzi Kościoła było całkowicie w porządku; ogromnie jednak oburzają się, gdy naród ten ośmieli się zażądać sprawozdania na temat wielkości osiągniętych zysków.

Zmieniały się rządy. Od czasu do czasu debatowano nad tym problemem w parlamencie włoskim. Epizod z 1964 r. pokazał, jak bardzo Watykan oddalił się już od wypowiedzi Chrystusa: „Moje królestwo nie jest z tego świata" i zamiast tego przyswoił sobie nauki Bernardino Nogary, z których jedna brzmiała: „Im bardziej powiększysz swój koncern, tym łatwiej możesz uchylić się od kontroli finansowej państwa".

„Koncernem", który Nogara miał na myśli, była „Watykan — spółka z ograniczoną odpowiedzialnością", „państwem" — nieszczęsne włoskie władze finansowe, konfrontowane z egzotycznym rajem podatkowym bezpośrednio pod własnym nosem.

W czerwcu 1964 r., kiedy Aldo Moro był ponownie szefem rządu, „Kościół ubogich" podbudował swoje żądania groźbą spowodowania kryzysu całej gospodarki włoskiej. Podczas jednej z rund rokowań przedstawiciele Watykanu oświadczyli reprezentantom rządu włoskiego, że jeżeli rząd ten nie ustąpi, wówczas na rynek zostaną rzucone wszystkie akcje włoskie, znajdujące się w posia-

(9)

„W imieniu Boga" — tajemnicza śmierć Jana Pawła I

Lomans Verdes, miasto-satelita na obrzeżach Mexico City.

Lista ta nie jest jeszcze w żadnym wypadku pełna.

Nogara kupił dla siebie, to znaczy dla Watykanu, również akcje „General Motors", „Shella", „Gulf Oil", „General Electric", „Bethlehem Steel", IBM i TWA. Jeżeli ich kursy zaczynały się zmieniać — a najczęściej następował ich ruch w górę — często impuls do tego dawały manewry giełdowe takich ludzi jak Nogara.

Mimo że w 1954 r. Nogara wycofał się z aktywnej działalności zawodowej, aż do swojej śmierci w 1958 r. zawsze służył Watykanowi nieocenionymi radami. Prasa wspomniała o jego zgonie jedynie mimochodem; co nie powinno dziwić, skoro opinia publiczna dowiadywała się przecież tylko bardzo niewiele o jego działalności dla Kościoła katolickiego. O tym człowieku którego działalność poświadczała, że — niezależnie od tego, z jakiego świata może być Królestwo Chrystusa — królestwo Kościoła katolickiego jest z całą pewnością z tego świata, kardynał Spellman z Nowego Jorku wypowiedział osobliwe zdanie: „Najlepszym, co po Jezusie Chrystusie spotkało Kościół katolicki, był Bernardino Nogara"

Nogara przyjął Watykan Sp. z o.o. z początkowym kapitałem 80 mln dolarów, pomniejszonym o 30 mln, które Pius XI i jego następca, Pius XII zarezerwowali na finansowanie projektów wewnątrzkościelnych (jak np. na budowę San Trastevere, rozbudowę biblioteki i muzeów watykańskich, budowę i utrzymanie seminariów i domów parafialnych na południu Włoch). W latach 1929—1933 otrzymywał on ponadto część wpływów ze ściąganego corocznie na całym świecie „grosza Piotrowego". Jako owoc swojej działalności lichwiarskiej z „groszami" wiernych, milionami lirów od Mussoliniego i milionami reichsmarek od Hitlera przekazał swoim następcom szeroko rozsiany asortyment udziałów finansowych; ostrożnie licząc, wartość tych udziałów podzielonych na poszczególne administratury, wynosiła:

— 500 mln dolarów pod egidą „Sekcji Nadzwyczajnej".
— 650 mln dolarów pod egidą APSA i
— 940 mln dolarów (minimum) pod egidą Banku Watykańskiego.

Same tylko procenty od tego ogromnego majątku przynosiły papieżowi rokrocznie wpływy w wys. około 40 mln dol. netto. Nogara służył Kościołowi katolickiemu według kapitalistycznych wzorców z zapierającym wręcz dech sukcesem. Według wzorców nauki chrystusowej, głoszonej przez Ewangelię, katastrofalnym błędem było to, co czynił Nogara i za co odpowiadał. Z zastępcy Chrystusa zrodziło się coś w rodzaju przewodniczącego zarządu wielkiego koncernu".

W cztery lata po zgonie Nogary Watykanowi bardzo przydałaby się fachowa rada: rząd włoski w 1962 r. nosił się z zamiarem ponownego wprowadzenia generalnego opodatkowania dochodów z kapitału, a więc na przykład dywidend. To, co nastąpiło, wywołało całą serię katastrof dla Watykanu, katastrof, które można opisać hasłami mafia, gangsterstwo finansowe, mord.

Na liście najczarniejszych lat w historii Watykanu bardzo wysoko musi znajdować się 1968 r. Był to nie tylko rok encykliki „Humanae Vitae", lecz także rok, w którym na oba banki watykańskie wypuszczono goryla i rekina, jak ich powszechnie zwano. Gorylem był Paul Marcinkus, rekinem — Michele Sindona.

Beniamin Franklin wypowiedział kiedyś godną zapamiętania maksymę: „Jedynymi, pewnymi rzeczami w życiu są narodziny, zgon i podatki". Do nielicznych, którzy nie chcą uznać uniwersalnego charakteru tej dewizy, należą ludzie zarządzający finansami Watykanu. Od dawna zabiegali o to, by uchylić się od płacenia podatków.

W grudniu 1962 r. parlament włoski uchwalił ustawę o opodatkowaniu dochodów z akcji. Stopę podatkową ustalono początkowo na 15 proc. Potem, jak wszystkie podatki, wzrastała ona aż do podwójnej wysokości.

Watykan nie bronił się najpierw, przynajmniej publicznie, przeciw płaceniu podatków. Za kulisami na drodze dyplomatycznej zwracał jednak rządowi włoskiemu uwagę, że „w duchu naszego konkordatu i z uwagi na ustawę z 2 października 1942 r. pożądane byłoby zapewnienie uprzywilejowanego traktowania Stolicy Apostolskiej". Zdanie to pochodzi z listu watykańskiego sekretarza stanu, kardynała Cicohnianiego do posła włoskiego przy Stolicy Apostolskiej, Bartolomeo Pignone; jak to „uprzywilejowane traktowanie" powinno wyglądać, wyjaśniono w tym piśmie w szczegółach: zwolnienie od nowych podatków licznych instytucji watykańskich, których wyliczenie tworzyło listę długości łokcia. Na liście tej znalazły się oczywiście oba banki watykańskie, Sekcja Nadzwyczajna i ICR.

Watykan chciał działać na rynku kapitałowym i bogacić się, ale chciał mieć tam wolny dostęp. Urzędujący, wierny Kościołowi mniejszościowy rząd chrześcijańsko-demokratyczny przeżegnał się, ucałował papieski pierścień i spełnił życzenia Watykanu. Pominięto przy tym parlament i opinię publiczną kraju. Kiedy rząd mniejszościowy upadł i ustąpił miejsca rządowi koalicyjnemu złożonemu z chrześcijańskich demokratów i socjalistów pod kierownictwem Aldo Moro, stanowisko ministra finansów przypadło socjaliście, Roberto Tremelloniemu. Nie był on skłonny udzielić swego błogosławieństwa ustępstwom zapewnionym Watykanowi przez poprzednika przy jednoczesnym naruszeniu obowiązującego

daniu Watykanu. Moment został zręcznie dobrany, ponieważ na włoskim rynku kapitałowym kursy właśnie stale spadały. Gdyby Watykan rzucił teraz na rynek ogromne pakiety akcji, doprowadziłoby to zapewne do załamania się całej włoskiej gospodarki narodowej. Rząd przerażony tą perspektywą złożył broń. W październiku 1964 r. opracowano projekt ustawy, która post factum zalegalizowała sprzeczne z prawem porozumienie. Nigdy nie przedłożono jej jednak parlamentowi, a to głównie z tego powodu, że w owym czasie rządy włoskie zmieniały się tak szybko, iż następujący po sobie ministrowie finansów nie mieli czasu na przejrzenie wszystkiego, co nagromadziło się na ich biurku. Watykanowi nie przeszkadzało to oczywiście korzystać ze zwolnienia z podatków: od kwietnia 1963 r. wstrzymał znowu wypłacanie podatków od swoich udziałów kapitałowych. W 1967 r. prasa włoska, szczególnie lewicowa, przeszła do ataku. Chciała wiedzieć, dlaczego, a także ile — jakie udziały kapitałowe na przykład i w jakich przedsiębiorstwach włoskich posiadał Watykan. Szacunkowe oceny ogólnych udziałów Watykanu na włoskiej giełdzie papierów wartościowych wahały się między 160 mln a 2,4 mld dolarów.

Na interpelacje Senatu włoskiego w marcu 1967 r. ówczesny minister finansów, Luigi Preti udzielił informacji, które rzuciły iskrę urzędowego światła na rodzaj i zakres udziałów kapitałowych Watykanu we Włoszech. Zestawienie Pretiego wykazało, że największym udziałowcem wewnątrz Watykanu był IOR, przed Sekcją Nadzwyczajną. Jako uczestnicy wielkiej gry o kursy i dywidendy zdemaskowane zostały także różne inne administratury watykańskie o dźwięcznych nazwach, jak „Fabrica Sanoti Perti", „Towarzystwo Pontyfikalne Świętego Apostoła Piotra", „Zarząd Majątku Stolicy Apostolskiej" lub „Propaganda Fide". Minister finansów, Preti oświadczył, że Watykan ma udziały kapitałowe wartości około 100 mld lirów; według ówczesnych kursów wymiany odpowiadało to sumie 104,4 mln dolarów. Był to z pewnością szacunek znacznie zaniżony. Wykaz Pretiego, nie obejmował na przykład znajdujących się w posiadaniu Watykanu ogromnych zasobów obligacji pożyczek państwowych wszelkiego rodzaju, nie podlegających żadnemu opodatkowaniu. Jego dane obejmowały wyłącznie papiery wartościowe, podlegające podatkowi od dywidend.

Minister finansów nie uwzględnił ponadto tego, że zgodnie z włoskimi przepisami giełdowymi posiadacz akcji może „nie ruszać" należnych mu dywidend przez 5 lat i w tym czasie nie pojawiają się one w bilansie jego dochodów. Jeżeli uwzględnić to wszystko, wówczas zasoby papierów wartościowych Watykanu z pewnością można ocenić na przynajmniej podwójną sumę tego, co według swoich zawężonych kryteriów oszacował minister finansów. Tak więc realna wartość włoskich udziałów kapitałowych Watykanu wynosiła w 1968 r. przynajmniej 208,8 mln dolarów. Do tego należało jeszcze dodać wartość kościelnych posiadłości ziemskich, szczególnie w Rzymie i okolicy, a także całość udziałów, posiadłości i wartości majątkowych Watykanu poza Włochami.

W końcu państwo włoskie zdecydowało się na ostrzejszy kurs wobec Watykanu: Kościół katolicki powinien wreszcie, przynajmniej we Włoszech, oddać cesarzowi, co cesarskie. W styczniu 1968 r. kierowany przez Giovanniego Leone rząd — który przetrwał również bardzo krótko — oświadczył, że w końcu roku Watykan musi przedstawić rachunek. Wśród słyszalnych pomruków niezadowolenia i przy powołaniu się na nakręcanie gospodarki włoskiej swoimi inwestycjami Watykan uległ — uczynił to jednak w typowy dla siebie sposób. Tak, jak uznany za winnego oskarżony, zwrócił się o odroczenie egzekucji — jeżeli już, to przynajmniej w dogodnych ratach.

Cała sprawa miała dla Watykanu wiele nieprzyjemnych skutków. Niezależnie od sumy, na jaką oceniono by w końcu dochody watykańskie z kapitału, publicznie dyskutowane do tej pory liczby uświadomiły tymczasem ostatniemu Włochowi, że „Kościół ubogich" dysponuje ogromnym kapitałem, który przynosi mu rocznie milionowe dochody. Po wtóre, sześcioletnie spory o opodatkowanie tych dochodów wywarły też skutek uboczny, polegający na tym, że znaczną liczbę przedsiębiorstw zidentyfikowano jako należące w całości lub części do Watykanu. Nawet gdyby zakres tych udziałów świadczył o umiejętnym zarządzaniu kapitalistycznym, to jednak dla wizerunku Kościoła katolickiego w najwyższym stopniu szkodliwe było to, że zwykły obywatel, który uważał system telefoniczny, wodociągi i dostawy energii elektrycznej za złe lub drogie, wiedział teraz, iż swoje skargi powinien kierować do Watykanu. Najpoważniejszą sprawą było jednak to, że w wypadku utrzymywania znacznych udziałów kapitałowych we Włoszech Watykan musiał nastawić się na składanie w przyszłości obszernych deklaracji podatkowych. Papież Paweł VI stał bez wątpienia przed problemem. Ludźmi, którym powierzył uporanie się z nim, byli goryl i rekin.

Jeżeli słuszne jest założenie Zygmunta Freuda, że osobowość człowieka formuje się w ciągu pierwszych pięciu lat życia, to Paul Marcinkus mógłby być szczególnie interesującym obiektem studiów psychologicznych. Nawet spośród tych, którzy nie podzielają poglądu Freuda, zapewne tylko nieliczni zaprzeczyliby, że otoczenie stanowi istotny czynnik wpływający na rozwój psychologiczny w decydujących latach życia.

Paul Marcinkus przyszedł na świat w mieście, w którym rządziła mafia, w którym śmiertelne walki były czymś codziennym i wszyscy — od burmistrza po najmłodszego członka bandy młodzieżowej — byli skorumpowani. Było to miasto nawiedzane wszelkimi możliwymi do wyobrażenia sobie przestępstwami, miasto, w którym w latach 1919—1960 w walkach między bandami zamordowano 976 osób; tylko dwa z tych morderstw zostały odpokutowane skazaniem sprawcy. Jesienią 1928 r. w mieście tym przewodniczący komisji do zwalczania przestępczości skierował do słynnego człowieka prośbę o zatroszczenie się, by listopadowe wybory odbyły się w prawidłowy, demokratyczny sposób. Człowiekiem, do którego skierowano ten apel, był Al Capone. Miastem było Chicago. „Policja należy do mnie", chełpił się czasami Capone. Słuszniej byłoby powiedzieć: „miasto należy do mnie". Capone nie odmówił prośbie o zatroszczenie się o prawidłowy przebieg wyborów. Policji drugiego co do wielkości miasta USA powiedział, co ma czynić i policja posłuchała. Przewodniczący komisji do zwalczania przestępczości, powiedział później: „Były to najczystsze i najbardziej owocne wybory od czterdziestu lat. Nie było ani jednej skargi, ani jednego oszustwa wyborczego i przez cały dzień nie było ani jednej groźnej sytuacji".

Paul Marcinkus urodził się 15 stycznia 1922 r. w Cicero (Illinois), na przedmieściach Chicago. W rok później swoją kwaterę główną przeniósł do Cicero Al Capone, skonfrontowany z niezwykłym zjawiskiem, jakim było objęcie urzędów w Chicago przez uczciwego burmistrza i równie uczciwego prezydenta policji. Sześćdziesiąt tysięcy mieszkańców Cicero, w przeważającej części Polaków, Czechów i Litwinów z pierwszego i drugiego pokolenia emigracji, przyzwyczaiło się do obecności mafii wśród nich. Al Capone założył swoją kwaterę główną w Hawthorne Inn, na 22 Ulicy pod nr 4833. W orszaku Al Capone przybyli do Cicero tak dobrze znani panowie, jak Jake Guzik, zwany „Jake — tłusty palec", Tony Volpi, zwany „Mopsem", Frank Nitti, zwany „Imadłem", Frankie Pope, zwany „gazeciarzem-milionerem".

Tak wyglądało miasto, w którym dorastał Paul Casimir Marcinkus. Jego rodzice byli emigrantami z Litwy. Ojciec pracował jako czyściciel okien, matka była pracownicą piekarni. Oboje przez całe życie bardzo słabo mówili po angielsku. Tak jak wielu innych, którzy z pustymi rękoma przybyli do kraju wolności w poszukiwaniu lepszego życia, również oni mieli typowe życzenie: osiągnięcie przez uczciwą i ciężką pracę tego, by ich dzieci miały kiedyś lepiej. W wypadku Paula, najmłodszego z piątki dzieci, życzenie to spełniło się w sposób przechodzący ich najśmielsze marzenia. Syn robotnika z przedmieścia został bankierem Boga.

Pod opieką księdza ze swej parafii u Paula Marcinkusa rozwija się skłonność do zawodu duchownego. Święcenia kapłańskie otrzymał w 1947 r. w tym samym roku, w którym Al Capone zmarł na syfilis. Katolicki pogrzeb tego największego gangstera wszechczasów odbył się w Chicago. Ceremonię celebrował monsignore William Gorman, który przedstawicielom prasy oświadczył: „Kościół nigdy nie pochwala zła, także zła, które w swoim życiu czyni człowiek. Ta krótka ceremonia powinna pokazać, że jego (Capone) skrucha została uznana i odchodzi on z tego świata opatrzony sakramentami Kościoła".

Marcinkus udał się do Rzymu i studiował na Uniwersytecie Gregoriańskim, gdzie swój doktorat zrobił Albino Luciani. Również Marcinkus studiował z sukcesem i uzyskał tytuł doktora „prawa kanonicznego". W okresie swoich studiów ten potężny, liczący 1,93 m wzrostu i ważący 100 kg mężczyzna osiągał też znaczne sukcesy na boisku sportowym. Jego imponująca sylwetka, jak się okazało, była wyraźnie pomocna w awansie do czołówki hierarchii kościelnej. Opłaciły się także lekcje, pobrane na ulicach Cicero.

Po powrocie do Chicago Marcinkus działał jako ksiądz parafialny i wkrótce potem został członkiem sądu diecezjalnego. Jednym z pierwszych, na których ten młody duchowny wywarł wrażenie, był ówczesny arcybiskup Chicago, kardynał Samuel Stritch. Z jego rekomendacji 30-letni Marcinkus został w 1952 r. skierowany do sekcji angielskiej watykańskiego sekretariatu stanu. Pełnił misje dyplomatyczne w Boliwii i Kanadzie, za każdym razem jako attaché tamtejszego nuncjusza papieskiego. Potem, w 1959 r., powrócił znowu do Rzymu, do sekretariatu stanu. Jego płynna znajomość hiszpańskiego i włoskiego spowodowała, że często uczestniczył w rozmowach jako tłumacz.

W 1963 r., podczas jednej ze swych licznych podróży do Rzymu kardynał Spellman z Nowego Jorku zwrócił uwagę nowego papieża, Pawła VI na to, że Marcinkus jest bardzo obiecującym człowiekiem. Ponieważ w owym czasie Spellman był zwierzchnikiem najbogatszej diecezji na świecie — w uznaniu jego zasług finansowych powszechnie nazywano go „kardynałem-mieszkiem" — papież poważnie potraktował tę wskazówkę i zachował Paula Marcinkusa w pamięci.

Kiedy w 1964 r. podczas wyjazdu do Rzymu papież utknął w tłumie i groziło mu niebezpieczeństwo, że zostanie stratowany przez rozentuzjazmowane masy, do działania przystąpił Marcinkus: siłą swoich pleców, łokci i rąk torował przestraszonemu papieżowi drogę w tłumie. Następnego dnia papież poprosił go do siebie, by mu osobiście podziękować. Od tego czasu Paul Marcinkus był czymś w rodzaju nieoficjalnego przybocznego strażnika papieża i w ten sposób otrzymał swój przydomek: „goryl".

W grudniu 1964 r. towarzyszył papieżowi do Indii, rok później do Nowego Jorku, do ONZ. Podczas tego rodzaju podróży Marcinkus pełnił funkcję doradcy ds. bezpieczeństwa. Osobisty strażnik przyboczny, osobisty doradca ds. bezpieczeństwa, osobisty tłumacz papieża — młody człowiek z Cicero zaszedł już daleko. Zaprzyjaźnił się blisko z osobistym sekretarzem papieża, ojcem Pasquale Macchim. Macchi był jedną z najważniejszych osób w ścisłym kręgu doradców papieża Pawła, kręgu, który w Kurii Rzymskiej zyskał sobie przydomek „mafii mediolańskiej". Po swoim wyborze na papieża w 1963 r. Paweł VI, do tego czasu kardynał Montini i arcybiskup Mediolanu, sprowadził do siebie całą chmarę doradców, specjalistów od spraw finansowych i prałatów, wśród nich także Macchiego. Czy wszystkie drogi prowadzą do Rzymu? Być może, ale niektóre przez Mediolan. Stopień, w jakim papież Paweł VI polegał na radach takich ludzi, jak Macchi, nie stał w żadnej proporcji do ich oficjalnych stanowisk. Macchi był tym, który przemawiał papieżowi do sumienia, kiedy wydawało się, że popadał on w chorobę lub depresję. Mówił mu, kiedy pora pójść do łóżka, kogo należy awansować, a kogo ukarać przez niemiłe przeniesienie na inne stanowisko. Wieczorem, kiedy umieścił już Jego Świątobliwość w łóżku, Macchi zjawiał się regularnie w wyśmienitej restauracji w pobliżu Piazza Gregorio Settimo. Przy stole towarzyszył mu najczęściej Paul Marcinkus.

Kolejne podróże zagraniczne „papieża-pielgrzyma" — w maju 1967 r. do Portugalii, w lipcu tego samego roku do Turcji — umocniły przyjaźń między Pawłem VI, a Marcinkusem.

Jesienią 1967 r. papież powołał nową instytucję, która otrzymała nazwę „Prefektury ds. Gospodarczych Stolicy Apostolskiej". Z uwagi na powszechną zrozumiałość powinno się wybrać raczej określenie kancelarii skarbu lub izby kontroli finansowej. Papieżowi chodziło o utworzenie placówki, która mogłaby corocznie dawać dokładny przegląd stanu majątku watykańskiego i przedstawiać dane o rozwoju sytuacji finansowej poszczególnych administratur watykańskich; w ten sposób czarno na białym i z konkretnymi danymi liczbowymi w każdym roku sprawozdawczym miał być sporządzany ogólny bilans sytuacji gospodarczej Watykanu.

Działalność Prefektury ds. Gospodarczych Stolicy Apostolskiej napotykała od początku na poważne utrudnienia. Na wyraźne polecenia papieża Pawła VI jej uprawnienia do nadzoru miały nie obejmować na razie Banku Watykańskiego. (...).

C.D.N.

Fragmenty książki Davida Yallopa „In God's Name"

W kręgu fantastyki

JACEK SAWASZKIEWICZ

Wahadło

(7)

Coś kazało mi się zatrzymać przy „Amaltei", coś w wyglądzie tego supersamu. Nie zważając na tłum pieszych torujących sobie piersiami drogę przez beton chodnika, podszedłem do drzwi sklepu. Były otwarte, ale nie rozbite. Zamki zostały na powrót starannie przymocowane, a krata wyprostowana i zawieszona na zawiasach, które pokrywała farba dobrana pod kolor ościeżnicy. W metalowej ramie drzwi pysznia się nowo wstawiona tafla z siedmiomilimetrowego szkła. Przyjrzałem się tej tafli i odkryłem na niej odciski palców. Jeden z nich, pozostawiony w trzech miejscach, przecinała skośna blizna.

Wątpliwe, żeby przybysze z planety Kanibalia mieli linie papilarne. Wątpliwe też, by doktor Jonathan T. Smith zawitał do Miasta z ekipą remontową. Możliwe natomiast, że docenci udoskonalili swoje urządzenie i dbając o szczegóły, poszli z halucynacjami na całego.

Zajrzałem w głąb sklepu. Liczni klienci zażywali terakotowej kąpieli między stoiskami, sprzedawczynie plotkowały albo wypatrywały złodziei. Wracając do fiata zlustrowałem spojrzeniem ulice. Jakiś mężczyzna wynurzył się nagle z krawężnika i dołączył do innych pieszych. Chyba wysiadł właśnie z samochodu. Zatrzasnąłem drzwiczki swojego fiata i przekręciłem kluczyk w stacyjce. Kiedy ruszałem, poczułem na sobie czyjś wzrok.

Ciało martwego psa — rozmyślałem, stojąc przed lustrem na swoim poddaszu — pozbawione było aury. Moje także jej nie ma. Nie ma jej nikt i nic, co istnieje realnie.

Pradziadkowy zegar przekomarzał się z budzikiem, dopingowała ich woda kapiąca z nieszczelnej rurki przy bojlerze w łazience, a ja zestawiałem fakty.

Rozbita wystawa i drzwi „Amaltei". Nocne wycie, skowyt i strzały. Martwy pies. Wstawiona szyba wystawowa, naprawiona krata, zawiasy i zamki. Uprzątnięty chodnik, grudka kitu między płytkami trylinki, odciski palców na szkle.

Człowiek — pomyślałem. — W Mieście oprócz mnie jest jeszcze jeden człowiek. Ludzkość odeszła, pozostawiła tylko strażnika, któremu nakazała mordować maruderów, mordować wszystko, co nie zdążyło zabrać się z innymi. Może jest to skądinąd konfident przybyszów z planety Kanibalia. Kanibalianie przeprowadzając ludożerczą eksterminację ludzkości, zdawali sobie sprawę, że w pośpiechu mogli przeoczyć pojedyncze sztuki i polecili swojemu współpracownikowi ubić je, by usunąć świadków. Obiecali poruczyć mu za to absolutną władzę nad światem.

— Trdyk-dak — przytaknął pradziadkowy zegar.

Muszę pogadać o tym z Szefem. Zawiozę mu „Jasia Wędrowniczka", usiądę przed jego biurkiem i wyznam ponuro:

— Miał pan rację, panie dyrektorze. Ci z Przedsiębiorstwa ukrywają się przed nami w krzakach.

Szef oderwie od uszkodzonego telewizora wzrok przepełniony bólem.

— O czym ty pleciesz? — spyta.

Pochylę się ku niemu — nie zanadto poufale, raczej żeby podkreślić swoje oddanie.

— Pan dyrektor wrócił z weekendu, prawda? — powiem. — A oni nie wrócili. Nie wrócił nikt. Nikt, jeśli nie liczyć jakiegoś indywiduum, które uzbrojone włóczy się po Mieście.

I opowiem mu o zastrzelonym psie. Wtedy on odkorkuje prezent i otworzy inkrustowaną szkatułkę z cygarami.

— Więc ma broń? — upewni się.

— I zabija — dodam.

Po drugim kieliszku jego świńskie oczka błysną przebiegle.

— To dyrektor techniczny Przedsiębiorstwa — stwierdzi. — Na pewno on. Przez dwa lata przebywał w południowo-wschodniej Azji, u łowców głów. Tak mu to weszło w krew, że do dzisiaj nie może się powstrzymać. Zebrał już ładną kolekcję. Preparuje je ręcznie i suszy w piekarniku.

Łzy spłyną mi po policzkach.

— Ale dlaczego mnie...? — załkam.

— Żebyś nie dotarł z naszą dokumentacją i zleceniem do Przedsiębiorstwa. W razie jakiegoś szumu oni wykręcą się sianem, a nas z Centrali wydupczą, bo nie będziemy mieli podkładki.

Drżąca ręka podniosę z biurka swój kieliszek.

— To co ja mam robić, panie dyrektorze? — zapytam.

— Działać — odpowie Szef. — Zojka, przynieś dwie kawy! — wrzaśnie w stronę sekretariatu, po czym znów zwróci się do mnie. — Działać i pamiętać o Sprawie. Ani na sekundę nie wolno ci spuścić oka ze Sprawy. Sprawa Sprawy jest Sprawą Instytutu, Centrali i w ogóle, i tak dalej. Koncepcja budowy urządzenia, do którego potrzebne jest to wahadło zrodziła się w umysłach ludzi godnych najwyższego uznania, w umysłach najwyższej zwierzchności. Sprawa nie ma precedensu w całej historii świata, wykuto ją tytanicznym młotem na kowadle dziejów... i tak dalej.

— Trdyk-dak!

— Jadę do Instytutu — poinformowałem swoje odbicie w lustrze.

I pojechałem do Instytutu.

Nie dojechałem jednak do niego. Dojechałem zaledwie do Parku Kultury i Wypoczynku, do miejsca, gdzie niedawno znalazłem martwego psa. Chciałem jeszcze raz go obejrzeć. Odszukałem zakrzepłe krople krwi, rozprysnięte wokół brunatnej, nieforemnej plamy na asfalcie. Odszukałem także kłaczki płowej sierści, którą wydarły opony mojego wozu.

Ale pies zniknął.

Ogólnie biorąc w Instytucie uważają mnie za półinteligenta. Posługując się tą znikomą ilością inteligencji obliczyłem, ile czasu upłynęło od chwili kiedy przejechałem tego psa i wykalkulowałem sobie, że przez ten czas Strażnik wraz z martwym zwierzęciem nie zdołał oddalić się stąd zbyt daleko i nadal przebywa gdzieś w tej okolicy.

— Dzieli cię od niego akurat odległość strzału — odezwał się kosmonauta. — I ma cię na muszce.

Jego głos dobiegł mnie przytłumiony, ponieważ kosmonauta leżał w skrytce samochodu. Kuląc się wróciłem truchtem do fiata.

— To daremne — ciągnął kosmonauta. — Nie uciekniesz przed nim. Będzie cię tropił i nie ustanie, dopóki nie wpakuje ci kuli pod lewą łopatkę.

Nie chciałem, żeby wpakowano mi kulę pod lewą łopatkę, toteż przycisnąłem gaz do dechy i pomknąłem do domu.

Tkwiłem przy oknie, ukryty za firanką. Pradziadkowy zegar wybił szesnastą i tłum na ulicy gęstniał. Ludzie opuszczali zakłady pracy, tworzyli kolejki przed sklepami i na przystankach autobusowych, i z zakupami szli do domów, brodząc po pas w chodniku i roztaczając wokół siebie opalizującą aurę.

Strażnik, kiedy się tu zjawi, nie będzie brodził po pas w chodniku i nie będzie roztaczał aury. Ja także jej nie roztaczam.

Przeniosłem wzrok na pawilon handlowy rozpłaszczony pod wieżowcem z przeciwka, na sklepy mieszczące się w tym pawilonie: kosmetyki, wyroby wikliniarskie, optyk, artykuły piśmienne, galanteria skórzana, części elektrotechniczne i sklep ze sprzętem myśliwskim — „Ryś".

Sklep ze sprzętem myśliwskim.

— Nie, cholera — powiedziałem — tak tanio nie sprzedam swojej skóry.

Wziąłem ze sobą tłuczek do mięsa i w samym podkoszulku i slipach wyszedłem z mieszkania. Na trzecim piętrze spotkałem sąsiada pnącego się pod górę. Sąsiad minął mnie obojętnie, przebierając żwawo parą swoich długich nóg, które zwisały pod ciągiem schodów, podczas gdy jego tułów wystawał ponad schodami.

Wybiegłem na dwór. Korzystając z osłony samochodów unieruchomionych przy krawężnikach i pośrodku jezdni, przekradłem się na drugą stronę ulicy, przy czym zostałem przeszyty na wylot przez jakiegoś mężczyznę, który szorując tyłkiem po asfalcie pędził przed siebie i udawał, że prowadzi ciężarówkę. Z tłuczkiem do mięsa stanąłem naprzeciwko sklepu ze sprzętem myśliwskim i popatrzyłem na tych ludzi grzęznących w chodniku dokoła.

— Do diabła ze skrupułami — mruknąłem. — Tu chodzi o moją skórę.

Z rozmachem rzuciłem tłuczkiem w wystawę. Wraz z hukiem pękającej szyby zawyła syrena. Nie spodziewałem się, że sklep ten wyposażony jest w system alarmowy i przez chwilę miałem wrażenie, że tłum na ulicy zamarł w swojej betonowej krynolinie, by śledzić dalszy rozwój wypadków.

Ale ci ludzie zajęci byli wyłącznie własnymi sprawami. Odczekałem, aż ucichnie hałas rozsypujących się odłamków szkła, i przy akompaniamencie zawodzącej syreny wkroczyłem przez wystawę do wnętrza „Rysia". Za pomocą kordelasa o kościanej rękojeści, który zabrałem z regału, przeciąłem przewody instalacji alarmowej i rad z panującej na nowo ciszy zlustrowałem stojak z bronią. Zdecydowałem się na pięciostrzałowy sztucer z lunetą o dwunastokrotnym powiększeniu. Naboje były zamknięte w sejfie, ale klucze od sejfu odnalazłem z łatwością. Jak należało się spodziewać, pozostawiono je optymistycznie na zapleczu, wiszące w gablocie na haczyku, pod którym widniał odręczny napis: „Klucze od sejfu".

Załadowałem magazynek i trzymając odbezpieczony sztucer w prawej ręce, w lewej zaś — paczkę naboi, wróciłem na swoje poddasze.

Miałem teraz broń i czułem się pewniej. Czułem się tak pewnie, że nawet upichciłem sobie obiad i zjadłem go z apetytem. Również z apetytem wypiłem setkę „Czystej żytniej".

— Trdyk-dak — mówił pradziadkowy zegar. — Pij-tak, trdyk-dak, pij-tak.

Powtórnie napełniłem literatkę, położyłem się na tapczanie i zapaliłem papierosa.

— Twoje zdrowie, ty stary klamocie — powiedziałem do wahadła, które bezskutecznie usiłowało pochwycić promienie słońca wpadające przez okno pod coraz bardziej ostrym kątem.

— Kap-chlap — zachęcała mnie woda kapiąca z nieszczelnej rurki przy bojlerze w łazience. — Kap-chlap.

Chlapnąłem. Potem przysunąłem do siebie budzik, by usłyszeć, co z kolei on ma mi do powiedzenia.

— Dzyk-dzak — mówił. — Dzyk-dzak, dzyk-dzak.

— Tylko tyle? — zapytałem z rozczarowaniem.

— Dzyk-dzak — powtórzył budzik i zaraz się poprawił: — Tu-gach, dzyk-dzak, tam-gach, dzyk-dzak.

Czule spojrzałem na sztucer oparty o regał biblioteczny.

— Kudłatego też dostanę — oświadczyłem.

— A-jak — zaciekawił się pradziadkowy zegar.

— Pif-paf — wyręczyła mnie w odpowiedzi kapiąca woda.

Z literatką żytniówki podszedłem do otwartego okna. Upał już zelżał i opadła fala pieszych, tylko przy pawilonie handlowym pod wieżowcem z przeciwka panował jeszcze ruch. Przed optykiem stała kolejka, dużo osób zachodziło do sklepu z kosmetykami, mnie jednak interesowali głównie klienci „Rysia" i kiedy ich podglądałem, przyszło mi na myśl, że skoro Strażnik z takim monomaniakalnym zapałem naprawia wyrządzone przeze mnie szkody, to niebawem powinien tutaj przybyć z nową szybą, kitem, farbą, miotłą i narzędziami.

On tutaj niebawem przybędzie, a ja mam znakomity punkt obserwacyjny i niech mnie szlag trafi, jeśli nie urządzę w nim stanowiska ogniowego.

Stanowisko ogniowe urządziłem ostatecznie na dachu. Wydostałem się na ten dach pod wieżowcem, zaopatrzony w puszkę z sokiem grejpfrutowym, w tabliczkę czekolady, sztucer i w paczkę naboi. Na sobie miałem flanelową koszulę, dżinsy, tenisówki oraz rozpinany sweter — na wypadek chłodnej nocy. Na wypadek chłodnej nocy zaopatrzyłem się także w butelkę „Czystej żytniej". Postawiłem ją przy podmurówce okalającej połać dachową, na co — pod łagodnym powiewem wiatru — maszt pobliskiej anteny skrzypnął z dezaprobatą.

— No i o co ten szum? — powiedziałem do masztu. — Niewielkie dawki alkoholu zwiększają refleks, wzmacniają ostrość widzenia, podwyższają sprawność mięśni. Poważnie. Przynajmniej takie jest zdanie specjalistów.

Usiadłem i oparłem stopy o podmurówkę. Sztucer położyłem obok siebie. Bez pośpiechu zwiększałem swój refleks, wzmacniałem ostrość swojego widzenia i podwyższałem sprawność swoich mięśni. Zapadała noc. Paliłem papierosa, patrząc na Miasto, które ciągnęło się aż po horyzont, okryte tęczową łuną i obsypane perłami punktów świetlnych.

Potem wyciągnąłem się na jeszcze ciepłej połaci dachowej i zacząłem nadsłuchiwać kroków Strażnika.

Miasto spowijała cisza. Oprócz poskrzypywania masztu anteny rozlegało się jedynie monotonne brzęczenie rtęciowych lamp ulicznych i wysoko wiszących neonów.

Wreszcie usłyszałem te kroki — tyle, że gdzieś za moimi plecami. Spojrzałem za siebie i zobaczyłem Szefa, który sapiąc gramolił się na dach. Przed sobą taszczył służbowy telewizor. Postawił go na kominku wentylacyjnym, ekranem obróconym w moją stronę.

— Przyniosłem go tutaj — wyjaśnił — żeby wam, kolego, było raźniej. Niestety, coś się w nim zatkało i niezmiennie wyświetla plansze z napisem „Sprawa wahadła".

— Pamiętam — zapewniłem Szefa. — Załatwię Sprawę, jak tylko... Czy to pan mnie uwiezł na tym dachu, panie dyrektorze?

Energicznie potrząsnął swoim łysym łbem.

— Mnie w to nie mieszaj — odparł. — Sam się tutaj schowałeś. Z gwiazdozbioru Zegara Wahadłowego, a ściślej z planety Kanibalia przybyli do nas kosmiczni bracia i wprowadzają nowe rządy. Pojęcia nie masz, co to za cudowne istoty! Są wyłącznie na usługach dyrektorów i wyższych urzędników. Wszystkich nieudolnych zaopatrzeniowców przeznaczyli na odstrzał.

Oczy mi zwilgotniały.

— Załatwię tę Sprawę, przysięgam, panie dyrektorze. Zaraz, natychmiast.

Wstałem i wtedy w otworze dachowym ukazała się kudłata głowa Kudłatego.

— Przepraszam — powiedział Kudłaty. — Można?

Szef zaprosił go gestem i Kudłaty wlazł na dach, ciągnąc za sobą Renatę.

— Wszędzie tyle ludzi — zaczął się tłumaczyć — jakby zjechali zewsząd do Miasta na weekend. I kogo nie spotkasz, to albo doktor, albo dyrektor, albo co najmniej strażnik. Nigdzie nie ma zacisznego miejsca. Chyba, że... Renucha, popatrz — szarpnął Renatę za rękę. — Może za tym kominem, co?

— Wspaniale! — ucieszyła się Renata. — Chyba jedynie na dachu, za kominem jeszcze tego nie robiłam.

— Panie dyrektorze — wtrąciłem się. — Pan na to pozwala? Pozwala pan, żeby takie kudłate coś dobierało się do żony... do prawie żony pańskiego pracownika?

— A ty — odrzekł Szef — to nie dobierałeś się do mojej Zojki?

Żal ścisnął mi gardło.

— Ale nic mi z tego nie wyszło — powiedziałem. — Zojka daje tylko wyższej kadrze urzędniczej.

— On ma rację — odezwała się Zojka.

Szła ku nam z drugiego końca dachu, obciągając spódnicę. Miała wymiętą bluzkę, roztargane włosy, błędne spojrzenie i w ogóle wygląd kury, która w godzinach szczytu przedostała się z jednej strony autostrady na drugą.

— Przepraszam za to spóźnienie — mówiła. — Wracam prosto z kursu szkoleniowego w Appleby Point. Przy okazji poddałam się badaniom kontrolnym u doktora Jonathana T. Smitha. To bardzo sumienny i gorliwy lekarz. Badał mnie w swoim gabinecie, potem w samolocie i przez całą drogę z lotniska aż tutaj, żeby niczego nie zaniedbać.

— Tak długo? — zdumiał się Szef. Jego świńskie oczka zabłysły gniewnie. — Czy to jakaś dostatecznie ważna osobistość, że tak długo?

— Sam go zapytaj — odrzekła Zojka. — Zdaje się, że nadal brak mu pewności, czy czegoś nie zaniedbał. Właśnie nadchodzi.

Machnęła ręką za siebie, skąd dobiegał odgłos zbliżających się kroków.

Odgłos zbliżających się kroków dobiegał z dołu ulicy, ja zaś leżałem na dachu, oślepiony światłem słonecznym. Po nocy spędzonej pod gołym niebem i na twardym podłożu byłem zziębnięty i odrętwiały. Miałem obolałe mięśnie i zesztywniałe stawy, a odgłos każdego z tych kroków odzywał się w mojej czaszce jak uderzenie kafara.

Usiadłem i stękając rozprostowałem kręgosłup. Przetarłem oczy, ugasiłem pragnienie sokiem grejpfrutowym z puszki i podpełzłem do podmurówki na okapie dachu.

Strażnik akurat miał moje stanowisko obserwacyjno-ogniowe. Szedł powoli i niefrasobliwie niczym turysta, który zwiedza ruiny Colosseum. Kroczył blisko krawężnika, po prawdziwym, namacalnym gruncie, podczas gdy inni ludzie spieszący na ranną zmianę, stąpali grzęznąc w chodniku po kolana. Przez lunetę sztucera patrzyłem na jego przygarbioną sylwetkę. Był siwy, ubrany w kombinezon roboczy; w prawej ręce niósł strzelbę myśliwską z lewego ramienia zwisała mu ciężka torba narzędziowa, którą zrzucił na ziemię, kiedy dotarł do „Rysia". Po zgrzytającej mu pod butami stłuczce zbliżył się do wybitej wystawy, obejrzał tkwiące w niej odłamki szkła, potem wszedł do sklepu, by po paru minutach wyjść z niego z moim tłuczkiem do mięsa. Położył ten tłuczek obok swojej torby narzędziowej, gdzie pozostawił także broń, i znowu zbliżył się do wybitej wystawy. Drelichowa rękawica strzepnęła okruchy szkła z gzymsu, po czym usiadł na tym miejscu i z kieszeni na piersiach wyjął papierosa. Zapalił go leniwie i paląc, tak samo leniwie szacował wzrokiem wyrządzone przeze mnie szkody.

Teraz — pomyślałem. Myślenie sprawiało mi niejaką trudność. — Jeśli mam go zaskoczyć, jest to właściwy moment.

Odpełzłem od podmurówki na okapie, aż pod otwór dachowy i po klamrach osadzonych w murze zlazłem na poddasze. Poruszanie się sprawiało mi także niejaką trudność. Mój rozmiękczony mózg z bezwładnością rtęci przelewał się w czaszce i boleśnie uderzał o jej sklepienie. Musiałem się przemóc, by nie wejść do mieszkania po środki przeciwbólowe. Wytłumaczyłem sobie, że nie ma na to czasu, i po schodach zszedłem do bramy. Jeszcze raz upewniłem się, że sztucer jest nabity i odbezpieczony i zerknąłem na ulicę.

Widok na sklep ze sprzętem myśliwskim „Ryś" zasłaniała mi ciężarówka załadowana workami z cementem. Podkradłem się do niej i ostrożnie wyjrzałem zza jej maski. Odnalazłem spojrzeniem wybitą wystawę „Rysia" i stwierdziłem, że Strażnik zniknął. Pewnie znów wszedł do sklepu. Na chodniku została jednak jego torba narzędziowa leżąca w przyjaznej bliskości z moim tłuczkiem do mięsa oraz strzelba. Podniosło mnie to na duchu. Strażnik bez strzelby był wymarzonym partnerem do rozmowy.

Wyprostowałem grzbiet i rozluźniłem się wewnętrznie. Z bólem głowy, ale w nastroju niemal beztroskim wyszedłem zza osłony, którą dawała mi maska ciężarówki. Przecinając jezdnię skosem, ruszyłem w stronę „Rysia". Spacerowym krokiem. Nie musiałem się już ukrywać; wszystko wskazywało na to, że jestem panem sytuacji. Strażnik nie zdąży dopaść swojej strzelby. Kiedy ukaże się w ramie wybitej wystawy, uniosę broń i powstrzymam go słowami:

— Stój! Nie ruszaj się.

Tak, to właśnie powiem.

Tylko, że teraz nie ja to powiedziałem. Powiedział to ktoś z tyłu, za mną.

— Nie ruszaj się — powtórzył ten ktoś.

To nie był głos fiata ani też kosmonauty. Głosy rzeczy martwych, z którymi niekiedy rozmawiam słyszę tylko ja, nikt więcej, tymczasem ten głos usłyszała cała ulica i odpowiedziała mu echem.

— Halucynacja — wyklarowałem to sobie. — Niezwykle realistyczna. Docenci z Instytutu nabierają wprawy. Szlag wam na charakter — dorzuciłem pod ich adresem.

Ale spełniłem ich żądanie: zatrzymałem się i zamarłem bez ruchu. Patrzyłem na strzelbę, która nieco dalej leżała na chodniku przy torbie narzędziowej Strażnika. Obok mnie w zupełnej ciszy pędzili w obu kierunkach kierowcy niewidzialnych pojazdów — jedni byli zanurzeni w asfalcie aż po ramiona, inni wisieli w powietrzu nad jezdnią, w pozycji siedzącej, trzymając przed sobą ręce uniesione na wysokość piersi.

— Połóż broń na ziemi — podjął głos, a wraz z nim cała ulica — i cofnij się pięć kroków. Powoli. Żadnych gwałtownych ruchów.

Posłusznie położyłem sztucer na ziemi i cofnąłem się pięć kroków.

— Teraz się odwróć.

Odwróciłem się. W odległości dwudziestu metrów ode mnie z dubeltówką oparta kolbą o biodro, stał Strażnik.

— Bardzo to rozsądne z twojej strony, przyjacielu — oświadczył. — Mogłeś sobie zrobić jakąś krzywdę tym sztucerem.

Jego dubeltówka lśniła nowością. Ani chybi skradł ją przed chwilą ze sklepu.

Zemdlałem.

C.D.N.

1

Nagle zastępstwo

Wolne poniedziałki

To było do przewidzenia — mój felieton pt. „Co my tu robimy" spotkał się z krytyką wszystkich moich kolegów. Jedni byli obrażeni za to co o nich napisałem. Drudzy mieli mi za złe, że o nich nie napisałem. A kierownictwo... lepiej nie wspominać. Dość, że dostałem zadanie: — Przestańcie wreszcie rozumieć o takich tam duperelach. Napiszcie wreszcie coś, co jest naprawdę ważne i obchodzi czytelników. O konsultacjach np. napiszcie. Kraj tym żyje, to jest temat.

Proszę bardzo. Kraj tym żyje, a ja ani ani... Ale napisać mogę. Proszę bardzo.

Uważam otóż, że konsultacje dotyczące podwyżki cen żywności i ograniczenia reglamentacji są bez sensu. Nic nowego nie odkrywam: pisał o tym np. Tomasz Sas, który jest przeciwnikiem demokracji bezpośredniej i chciałby decyzje tego typu powierzyć organom przedstawicielskim. A znów KTT uważa, że decyzje winny zależeć od kompetentnych i dobrze poinformowanych ekspertów i... rządu po prostu.

Ja mam powód jeszcze inny, żeby takie konsultacje kwestionować. Otóż sądzę, że każdy z konsultowanych obywateli odpowie się — skoro już musi lub chce się odpowiedzieć — za takim wariantem, który wyda się najkorzystniejszy dla niego właśnie. Jaki będzie dla niego najkorzystniejszy, czy raczej najmniej niekorzystny? To zależy od wysokości jego zarobków i ilości osób na utrzymaniu. Jeśli wybierze inny wariant to albo na skutek pomyłki, albo kierowany — bo ja wiem czym? Może na przykład altruizmem? Jest — załóżmy — samotny i dobrze zarabia, ale optuje za wariantem, który jest najkorzystniejszy nie dla niego, ale dla rodzin wielodzietnych. Założyć można z góry, że przypadki takie należeć będą do rzadkości.

Co z tego wynika? Wynika z tego mianowicie, że rząd dysponujący odpowiednią informacją przedstawioną przez wyspecjalizowane agendy powinien z góry znać wynik takich konsultacji! Ministrom powinno się dostarczyć po kartce powielonego maszynopisu, na której czarno na białym winno stać napisane, że wariant pierwszy jest korzystny dla tylu to a tylu milionów ludzi, wariant drugi dla tylu a tylu, a wariant trzeci dla pozostałych.

Mam nadzieję, że rząd nasz taką wiedzę posiada albo przynajmniej może posiadać i nie wymaga to znów aż takiej wielkiej pracy, żeby ministrowie te karteluszki dostali.

Jeśli się mylę, niech mnie ktoś z błędu wyprowadzi.

Jeśli jednak się nie mylę, to konkluzja może być jedna: konsultacje robi się po to, żeby były, bo naród się konsultacji domaga, albo rząd spodziewa się że jakieś większe grupy obywateli — ze względów patriotycznych na przykład — będą w tym plebiscycie głosować wbrew własnemu interesowi.

Tyle o konsultacjach cenowych. Jednocześnie z nimi prowadzone są konsultacje dotyczące wolnych sobót w szkołach. Te — najuprzejmiej przepraszam pana ministra Farona — są już absolutnie bez sensu. Przeprowadza się je bowiem wśród nauczycieli, uczniów i ich rodziców. Dla jasności obrazu pomińmy grupę trzecią, czyli rodziców. Uczniowie jak jeden mąż opowiadają się za wolnymi sobotami. Ja to rozumiem. Kiedy byłem uczniem, nie było wolnych sobót, w związku z powyższym robiłem sobie wolne dni w środku tygodnia. Gdybym dziś był uczniem, głosowałbym nie tylko za wolnymi sobotami, ale za wolnymi poniedziałkami również...

Trochę bardziej skomplikowana jest sytuacja nauczycieli. Ci wiedzą, albo przynajmniej powinni wiedzieć, że higiena pracy umysłowej wymaga, iżby wysiłek rozłożyć na możliwie najmniejsze raty. Ale przecież są nie tylko nauczycielami, ale ludźmi. A człowiek lubi mieć wolny dzień... Toteż generalnie są za wolnymi sobotami. Pedagogiczne wyrzuty sumienia jakoś tam tłumią...

Te konsultacje są absolutnie zbędne, a ich wynik do przewidzenia bez nudła. A tymczasem, gdyby Ministerstwo Oświaty chciało podjąć sensowną decyzję, to powinno zapytać o zdanie specjalistów, teoretyków od pedagogiki, psychologii, prakseologii czy czego tam jeszcze. Oni wiedzą lepiej.

Proszę mi wierzyć, konsultacje nie są dobre na wszystko. W roku ubiegłym, z okazji jubileuszu Polski Ludowej ogłoszono amnestię. Jakoś nikt nie wpadł na pomysł, żeby zrobić w kryminałach konsultacje społeczne: — Czy panowie zechcą w lipcu wyjść na wolność, czy też wprost przeciwnie, wolą panowie posiedzieć?

Można by zresztą przedstawić to w trzech wariantach: wychodzimy już, wychodzimy za pół roku, nie wychodzimy wcale.

Tak więc wolne soboty w szkołach będą. Zwiększy się dzienne obciążenie uczniów wysiłkiem umysłowym. Za to można będzie wolne soboty obłożyć dodatkowymi lekcjami i odrobić sobie z miesiąc wakacji. Albo cały rok szkolny. Zrobimy mature przed terminem!

A potem zrobimy społeczne konsultacje na temat: — Czy przyjmować na uczelnie niedouczonych maturzystów, czy też raczej zrobić rok zerowy? Następnie na tym roku zerowym będą wolne soboty. Można będzie znów coś odrobić i rok zerowy zmieścić w siedmiu miesiącach. Potem się okaże, że rok zerowy nie spełnia pokładanych w nim nadziei. Zrobimy konsultacje: Czy wprowadzić drugi rok zerowy, czy dołożyć jedną klasę w szkole? Itd., itd., itd...

ANDRZEJ KAROL

2

Felieton pesymistyczny

Dać kurze grzędę...

Szanowny panie Redaktorze

W pierwszych słowach mego listu jak zwykle pozdrawiam Pana i Zespół bardzo serdecznie oraz daję słowo, że na przepustce będąc odwiedzę Państwa w nowym, wreszcie z prawdziwego zdarzenia, locum. Nie wiem jednakże kiedy to nastąpi, bowiem pracy mamy co niemiara, a wspomniana już przeze mnie terapia grupowa „ordynata" Lysola święci kolejne triumfy.

Jeszcze nie zakończyły się dysputy nad propozycjami zestawu piguł i zastrzyków, a już kierownictwo wpuściło nas w nowy temat: praca szkół w wolne soboty. Z rozpędu wpadliśmy i w ten problem, a chłopaki z drugiego pawilonu, gdzie kuruje się kilku byłych belfrów, codziennie do telewizji i ministerstwa telefonują.

Naprawdę jest to groźna choróbka! Wszyscy zapominamy o tzw. bożym świecie, czyli codziennych kłopotach i wyłącznie dyskutujemy. Zażarcie, bywało, że i do pierwszej krwi. A szefowie sanatorium tylko rączki zacierają z uciechy! Kupili nam kolorowy telewizor do świetlicy, a ten cwaniak Lysol pożycza nawet własny magnetowid, na którym uwiecznia co ciekawsze dyskusje. Nie jest dobrze! Siostra Halinka w wielkiej tajemnicy wyznała mi którejś nocy (gdyśmy w zaciszu jej dyżurki kawę popijali; żadnych, proszę, zdrożnych sugestii...), że dyrekcja przygotowała już kolejną porcję propozycji tematycznych. Do konsultacji oczywiście. Na pierwszy ogień mają iść kredyty MM, Miss Polonia'85, problemy budownictwa mieszkaniowego, praca poczty i PKP. No to na rok mają nas z głowy: zadyskutujemy się na śmierć...

Zna Pan to powiedzenie: „Daj kurze grzędę"? Do tego stopnia rozpasała się w nas tacheć do dyskusji i wariantów różnych, że nawet telewizji nie można spokojnie pooglądać, bo zaraz wszyscy chcą ją reformować. Każdy dogłębnie i na swój sposób. „Ostatnie tango w Paryżu" wszystkim się podobało wielce, ale już sporo programów publicystycznych, zwłaszcza tych „na żywo", rozgrzewa u nas atmosferę do białości. Jeszcze w styczniu, nie wiem czy Pan pamięta, znalazły się m.in. w okienku dwie konferencje prasowe: z władzami Łodzi i Krakowa. Tematyka ogólnie podobna, czas emisji również, w obu imprezach startowali miejscowi dziennikarze. Leczy się u nas tylko facetów z krakowskiego, od razu też przewidywałem, że na potyczkach słownych się nie skończy.

Faktem jest, że Łódź wypadła blado, nijako. Pytania dziennikarzy grzeczne, uładzone, wygładzone, jeden tak zręcznie pytanie — bodaj o służbie zdrowia — sformułował, że sam sobie dał od razu odpowiedź. Z lekkim zażenowaniem oglądaliśmy to spotkanie, tym bardziej, że następnego dnia koledzy-żurnaliści z Krakowa skakali swoim władzom rzeczywiście do oczu, dyskusja była ostra, w dobrym tempie i spraw drażliwych wyszło rzeczywiście multum. U nas również; dwa dni kłóciliśmy się zażarcie i skończyło się pojedynkiem na strzykawki-jednorazówki między Stasiem z „czwórki" a starszym pacjentem ze stolicy europejskiej rewaloryzacji.

Mnie się osobiście telewizja podoba, nawet bardzo. Zawsze z rozrzewnieniem wspominam nadany kilka ładnych tygodni temu program o młodym, przystojnym włamywaczu i złodzieju, nakręcony bodaj przez fachowców z Gdańska. Młodzian na ekranie, w eleganckim sweterku, pali dobre papierosy i opowiada bez żenady, jak kradł „polonezy" (przepraszam, że ilości dokładnie nie pamiętam...), włamywał się do „Pewexu" (metodą „na plakat"), zbiegł z sądu, kilka lat działał pod innym nazwiskiem, narzeczonej kupił willę za kilkanaście milionów, a nim został obecnie ujęty, uciekał przez parę województw srebrnym BMW. Sypie szczegółami, oprócz jednego: z uśmiechem przyznaje, że nie powie, gdzie ma resztę pieniążków. Reporterka sugeruje, że mityczny Arsen Lupin nigdy nie dał się schwytać. A przystojniak spokojnie:

— A może znów ucieknę?...

— Wierzy pan w to?

— Gdybym nie wierzył, dawno bym się w celi powiesił...

W rewanżu podsuwam naszej Tv, a także Pańskim „szalejącym reporterom" temacik rodem z ZUS, który zrodził się w słynnym już warszawskim oddziale przy ulicy Senatorskiej.

W skrócie: jedna pani przepracowała w PRL ponad 30 lat i ma emeryturę, coś około 9 tysięcy złotych. W czasie wojny przez kilkadziesiąt miesięcy pracowała także we Francji, nic więc dziwnego, że zaczęła się starać o przyznanie jej tamtejszej renty. Francuzi odpowiedzieli pozytywnie i kobieta otrzymała miesięczną rentę w wysokości ponad 80 franków. Niby dodatkowo, ale wcale nie... Bowiem nie wdając się w zawiłości przepisów, najpierw przeliczono szybciutko franki na złotówki po specjalnym kursie (bo oczywiście nikt jej waluty do ręki nie da...). Następnie zmniejszono stosownie... polską emeryturę, tak że po wszystkich operacjach zainteresowana w sumie otrzymuje mniej pieniążków niż przed przyznaniem jej renty francuskiej! To jest patent! A mówią, że nie mamy głowy do finansów. I teraz clow programu: gdy kobieta ochłonęła z wrażenia udała się do oddziału ZUS w Warszawie i oświadczyła, że w takim razie chciałby zrezygnować z renty francuskiej, bo wyszła na tej kombinacji jak przysłowiowy Zabłocki. Sympatyczny urzędnik tylko się cierpko uśmiechnął:

— O, proszę pani, to nie będzie takie proste. Przecież my jako kraj na tym korzystamy!...

No, jasne że korzystamy! I gdy słyszę takie opowieści, gdy słucham szefa od finansów, który tłumaczy mi w telewizji nowe zasady funkcjonowania kont walutowych w banku — jestem spokojny o spłatę naszego zadłużenia u wstrętnych kapitalistów. Tych marnych trzydzieści parę miliardów...

STEFAN ŻYCIOWY

3

Kto nie był w Kutnie...

— Był pan kiedy w Kutnie? — zapytał młody człowiek, z którym przypadło mi jechać w przedziale pociągu zmierzającego do Szczecina.

— Byłem. Wielokrotnie. Ale dość dawno. A dlaczego pan pyta?

— Bo zdarzyła mi się niedawno przesiadka w Kutnie. Było to jakoś po świętach. Mróz był solidny. Pociąg spóźnił się 45 minut i musiałem półtorej godziny czekać na następny.

— Zdarza się — powiedziałem. — I zwiedził pan Kutno?

— No, niezupełnie. Raczej dworzec i okolice.

— Dworzec w Kutnie nie należy do najokazalszych. Może z powodzeniem konkurować z łódzkimi dworcami. Miałby duże szanse na wygranie tej konkurencji.

— Różne dworce widziałem — zamyślił się młody człowiek. — Ale rzecz nie w brzydocie.

— To w czym?

— Podróżny — młody człowiek wyraźnie się ożywił — kiedy przychodzi mu czekać na przesiadkę, idzie natychmiast do baru albo restauracji. Poszedłem i ja. I natknąłem się na mężczyznę pijącego herbatę z cytryną. Niby nic wielkiego, a przecież z cytrynami nie było w zeszłym roku najlepiej. Pomyślałem więc, że kupił w bufecie herbatę, a cytrynę miał własną. Okazało się, że nie, bo inni też pili herbatę z cytryną.

— Widać do Kutna rzucili więcej cytryn niż gdzie indziej.

— Może — zgodził się młody człowiek — ale przyzna pan, że niecodziennie zdarza się wejść do dworcowego bufetu i kupić herbatę z cytryną.

— I to pana tak zaszokowało?

— E, nie. To był dopiero początek. Napiłem się herbaty z cytryną i zrobiło mi się ciepło, więc wyszedłem na chwilę przed dworzec.

— Żeby popatrzeć trochę na miasto? — próbowałem się domyślić.

— Coś w tym rodzaju. Zmierzchało już. Zmierzch zapadał wcześnie. Wprawdzie przysłowie mówi, że na nowy rok dzień jest dłuższy na baranim skok, ale jeszcze to nie był nowy rok. I ten baranim skok był niewielki. Taki sobie skoczek. Postałem chwilę przed dworcem, popatrzyłem w lewo, popatrzyłem w prawo i już miałem wracać, gdy nadjechał samochód. Nic nie byłoby w tym dziwnego, gdyby w samochodzie nie siedział Święty Mikołaj.

— Taki prawdziwy?

— Wszystko miał jak trzeba. Brodę sztuczną ze sztucznym nosem. Czerwoną czapkę na głowie i czerwony płaszcz oraz worek.

— Prowadził samochód?

— Nie. Kierowca wysiadł i gdzieś się szybko oddalił. Patrzyłem zdumiony na Świętego Mikołaja w samochodzie, gdy podeszło do niego dwóch żołnierzy, którzy widać też czekali na pociąg i nudziło się im. Zapytali Świętego Mikołaja, czy nie ma przypadkiem wódki.

— A co na to Święty Mikołaj?

— Mam — powiedział, to oni go zapytali, a ile by ta wódka kosztowała? Święty Mikołaj zażyczył sobie 700 złotych za pół litra. Żołnierze zgodzili się, zapłacili. Święty Mikołaj sięgnął do worka, wyjął pół litra i wręczył je jednemu z żołnierzy. Przyzna pan, że była to scena niecodzienna.

— Przyznaję — powiedziałem.

— Ale na tym nie koniec — ciągnął dalej mój rozmówca. — Wróciłem do poczekalni, gdzie było zimno, choć był tu duży piec. Ludzie przytupywali i głośno narzekali na zimno. Na to wyszła skądś pokaźnej tuszy kolejarka i zapytała: — Zimno wam? — Zimno — powiedzieli ludzie. — No, to sobie napalcie — oświadczyła kolejarka — bo kolej nie ma ludzi do palenia w piecach. — Ludzie patrzyli na nią osłupiali. — Co się tak patrzycie — powiedziała kolejarka i zwróciła się to jakiegoś chłopaka. — A pan nie mógłby napalić? Wiadro jest tam, wystarczy tylko podrzucić węgla. Nie ma co żałować. — Chłopak rozejrzał się wkoło i powiedział: dobra, napalę! A gdy kolejarka wyszła, a chłopak niósł węgiel do pieca, powiedział głośno: — już ja wam kurwa napalę! — Czy to też, zdaniem pana, codzienna scena?

— Nie. W końcu mogła sama podrzucić tego węgla.

— Kiedy chłopak napalił w piecu — ciągnął współpasażer — wtedy nagle otworzyły się drzwi i do poczekalni wszedł Święty Mikołaj.

— Ten z samochodu?

— Ten sam. Za pazuchą czerwonego płaszcza miał pół litra wódki i co jakiś czas popijał sobie z butelki. Kiedy płaszcz mu się rozchylał, widać było, że ma na nogach grube obcisłe kalesony i ciemne kozaczki. Gdy płaszcz nie rozchylał się, widać było tylko kozaczki. Święty Mikołaj podchodził sobie do pasażerów w poczekalni i swobodnie gawędził z nimi. Ludzie najpierw byli zaszokowani, ale jakoś później wpadli w rolę i odpowiadali Świętemu Mikołajowi na pytania.

— I jak się to skończyło?

— Tego właśnie nie wiem, gdyż zapowiedziano spóźniony pociąg w moim kierunku, nie musiałem już tyle czekać na następne połączenie i pobiegłem na peron.

— Tak — powiedziałem — to ciekawe, co pan opowiada.

— Nie wierzy mi pan?

— Może. Ale nie wiem, czy pan wie, że jest takie przysłowie, które głosi, że ten nie zna życia, kto nie był w Kutnie. Teraz może pan mówić, że zna pan życie, bo nie tylko był w Kutnie, ale i widział tam dziwne rzeczy.

Nasz pociąg dojechał do celu. Pożegnaliśmy się serdecznie.

ZENON POROWATY

4

Lewym okiem

Jak leci?

Rozsypał się worek z ankietami. Najpoważniejsze pisma zmówiły się chyba, żeby otworzyć tamy wielkiemu pisaniu wszystkich o wszystkim, domowi statyści zasiedli do stołów i biurek, emeryci dostrzegli nareszcie możliwość dania upustu swym koncepcjom, teoriom, utopiom, dla których dotąd nie mogli znaleźć chętnych słuchaczy. W połączeniu z konsultacją dotyczącą podwyżek cen i drugą konsultacją — w sprawie ordynacji wyborczej, mamy oto niezwykły przykład ogromnych igrzysk intelektualnych, olimpiady mózgów, circenses dla najszerszych mas.

Najpierw „Przegląd Tygodniowy" ogłosił sto pytań, z których każde wymaga odpowiedzi — jeśli miałaby zawierać najkrótsze choćby uzasadnienie i argumenty — o rozmiarach traktatu. Można sobie wyobrazić te wagony z zapisanym papierem, jakie poczta zacznie dostarczać „Przeglądowi". Nie można tylko wyobrazić sobie, aby ktoś to wszystko naprawdę czytał, wyławiał pozycje najciekawsze, krytycznie ocenił, skracał je i audiustował do publikacji. Redakcja zachęca do wypowiedzenia się choćby na dwa — trzy, choćby na jeden temat z owych stu. To by już było sto traktatów. A przecież każdy temat znajdzie chyba kilku lub kilkunastu zainteresowanych — i już liczba traktatów rośnie w tysiące. Przy tym — jakże tu krótko a rozsądnie odpowiedzieć na takie pytania, jak:

— Jak zapobiegać rozszerzaniu się w przyszłości tzw. marginesu społecznego (wzrostowi liczby przestępstw kryminalnych i gospodarczych, obniżaniu się wieku przestępców)?

— Ilość powszechnie marnowanych w naszej gospodarce odpadów jest ogromna. Co zrobić, by stały się one powszechnie cenionym źródłem surowców wtórnych?

— Jakie miejsce powinno przypaść naszemu krajowi w międzynarodowym podziale pracy? Jakie wspólne inwestycje krajów RWPG powinny być realizowane w Polsce?

— Sztuka współczesna, awangarda, natrafia na bariery niezrozumienia, brak akceptacji ze strony przeważającej części odbiorców. Jak otworzyć wyobraźnię Polaków?

Taka ankieta to małe piwo, co? Jak otworzyć wyobraźnię, jak zmniejszyć przestępczość, wykorzystać odpadki i ustawić międzynarodowy podział pracy... Toż nad każdą z tych spraw pracują całe instytuty, biura studiów, katedry na wyższych uczelniach, publikuje się dziesiątki opasłych dzieł o trudnych do zapamiętania tytułach i wydaje wiele specjalistycznych pism. I nagle dyletancka ankieta ma wnieść coś istotnego? Przestępczość obniża, na drogą ankiety?

Wprawdzie metoda „burzy mózgów" polega właśnie na dopuszczeniu do głosu najróżniejszych ludzi, ale nie tysięcy osób naraz i zawsze tylko na jeden, bardzo konkretny, bardzo wąski temat. Inaczej to już nie burza, to jeden wielki szum.

A tu jeszcze wychodzi „Polityka" z ankietą: „Co ja tu robię"? Respondenci mają opisać, co robili w dniu 23 stycznia. Ciekawy jestem, czy ktoś odpowie, że odpisywał (w godzinach pracy, oczywiście) na ankietę „Przeglądu Tygodniowego". A znowu tygodnik „Tu i Teraz" prosi o odpowiedź na prościutkie pytanie: „Od czego zależy siła współczesnego państwa"? — zaś białostocka „Gazeta Współczesna" kategorycznie żąda: „Napisz na ten temat"! Nie na temat siły współczesnego państwa, tylko taki jaki się respondentowi nasunie sam z obserwacji tzw. życia. Redakcja podpowiada przykłady: dlaczego w mieszkaniach jest zimno?, dlaczego spóźniają się autobusy?, dlaczego odpadają od butów obcasy? Jednym słowem — napisz co ci się żywnie podoba, tylko napisz, czekamy.

Można się założyć nie wiem o co, że z tego wszystkiego nic nie wyniknie poza erupcją grafomanii. Najbardziej jednak zdumiewa mnie fakt jednoczesności wystąpień z tylomą ankietami, i to takimi uniwersalnymi, przez tyle pism. Czyżby na jakimś dziennikarskim czy innym sympozjum ktoś ważny wypowiedział się za taką właśnie formą psychoterapii społecznej?

Czekamy jeszcze na ankiety: „Po co ja żyję"? „Co ja sobie wyobrażam"? „Jak leci"? i „Co słychać"? Na odpowiedzi raczej nie czekamy.

WŁODZIMIERZ KRZEMIŃSKI

RAPIER NAPOLEONA (14)

ANDRZEJ MAKOWIECKI

O to właśnie prosił sędziego zaciskając pięści:

— Postawcie mi przynajmniej do oczu matkę.

I dodał po polsku:

— Powiem wówczas publicznie tej kurwie, co o niej myślę.

— Nie rozumiem — powiedział sędzia, na którym wzburzenie reżysera zrobiło duże wrażenie.

— To jest głęboka niesprawiedliwość, panie sędzio — mówił prawie ze łzami w oczach Napoleon. — Reporterzy przedstawiają mnie zawsze jako człowieka złego, ale tak naprawdę, zła jest przede wszystkim — ta kobieta.

— Jednak nigdy nie ujrzy jej pan przed sądem.

— Więc cóż to za system, jeśli obwiniony nie może być skonfrontowany z obwiniającym?

— Z punktu widzenia prawa, nie ona jest stroną obwiniającą.

— A kto?

— Dziewczyna.

Napoleon pokiwał głową.

— Na dziewczynę nie powiem złego słowa — oświadczył. I dodał: — Ale matkę pochłonie piekło.

Kalifornia

Przesłuchania powtarzały się co kilka tygodni. Sąd wolno, ale metodycznie przypierał Polaka do muru. Oto czcigodna pani A. H., kochanka wielkiego Jacka, skądinąd zresztą haszmanka i kokainistka, postanowiła dla ratowania własnej skóry stanąć przed trybunałem i złożyć obciążającą Napoleona deklarację.

O fakcie tym powiadamia telefonicznie oskarżonego sam wielki Jack.

— Za narkotyki grozi jej pudło, rozumiesz to chyba?

— Tak.

— Więc ona musi zeznawać.

— Oczywiście.

— Gniewasz się?

— Nie.

— I nie wątpisz, o mojej przyjaźni?

— Okay, Jack! — powiedział Napoleon i odłożył mikrofon.

Przywykł już do przesłuchań, do obelg, do myśli o czekającym go procesie i do tego, że przyjaźń ludzka miewa swoje wzloty i upadki. W sumie nie było źle. Jedni przyjaciele odchodzą, drudzy przychodzą. Fama, iż właśnie teraz, pozostając w stanie oskarżenia, otrzymał kilka wspaniałych, zagwarantowanych kontraktami ofert filmowych sprawiła, iż wiele zerwanych przyjaźni uległo niejakiej galwanizacji, o co Polak nie zabiegał zresztą specjalnie, podobnie jak nie zabiegał o zgalwanizowanie stosunków z wytwórniami i producentami, którzy niedawno zatrzasnęli mu drzwi przed nosem, a obecnie jakby zaczęli tego żałować.

Tak czy owak, presja, aby przyznał się do jednego z sześciu zarzutów głównych, trwała. Ponawiał ją sędzia, ponawiał prokurator, ponawiał wreszcie sam adwokat przekonany, iż jest to słuszna, najkrótsza i najpewniejsza droga, aby wyciągnąć Polaka z matni.

— Może unikniemy w ten sposób procesu i heca skończy się na niewielkiej karze pieniężnej lub symbolicznym areszcie?

Napoleon był uparty.

— Nie dawałem dziewczynie drażetek — mówił.

— Jasne! — basował adwokat. — Ale...

— Żadne ale! Nie zaczepiałem dzieci, w żadnym z moich filmów i w żadnej mojej publikacji prasowej czy telewizyjnej nie reklamowałem miłości po francusku. Pomówienie mnie o gwałty czy sodomię jest zbrodnią.

— Miał pan jednak tę trzynastolatkę.

— Owszem, ale nie do końca i bez przymusu.

— Mógłby więc przyznać się pan do uprawiania zakazanych stosunków seksualnych. Rozumie pan? Współżycie z dziewczyną niepełnoletnią jest w świetle prawa zakazane.

— Ale inni to robią.

— Dobra, robią. Po cichu jednakże, pan natomiast został przyłapany.

— Spisek!

— Możliwe.

— Obrzydliwa prowokacja!

— Niewykluczone. Leży jednak w pańskim interesie przyznać się do tego punktu oskarżenia.

— Jeśli się przyznam, doczepią do tego alkohol i drażetki.

— Musi pan okazać skruchę i iść na jakiś kompromis. W przeciwnym wypadku sędzia i prokurator zamienią pańskie życie w piekło.

Napoleon wiedział, ze obrońca ma rację. Chciał jak najszybciej przystąpić do pracy nad filmem, tu jednakże potrzebna była zgoda sądu — choćby dlatego, iż film miał powstać poza granicami Stanów Zjednoczonych. Prawnicze hieny domagały się ochłapów. I otrzymały je! 10 czerwca 1977 roku, podczas przesłuchania w sprawie tak zwanych wniosków obrony, adwokat oświadczył, że jego klient mógłby wziąć ewentualnie na swoje barki zarzut dotyczący uprawiania zakazanych stosunków seksualnych, z wykluczeniem wszelako pięciu pozostałych zarzutów oraz alkoholu i drażetek.

Prokurator wyglądał dokładnie tak, jakby zamierzał kropnąć swojego znakomitego kolegę mecenasa w zęby. Sędzia też niby zmarszczył czoło, potem jednak, ku zdumieniu reporterów, oświadczył, iż aparat sądowy jest ostatnio niebywale przepracowany (ileż to spraw! ileż roboty! ileż szlachetnego znoju!), w związku z czym przewidziany na 30 czerwca proces oskarżonego zostaje odroczony do dnia 9 sierpnia.

Co znaczy dobry adwokat! Napoleon nie ukrywał zadowolenia. Zyskał na czasie. Mógł odetchnąć — to raz, a dwa — prośby i poręczenia mecenasa sprawiły, iż sędzia wyraził zgodę, aby reżyser opuścił Stany Zjednoczone celem ustalenia na południowym Pacyfiku miejsc, gdzie realizowany będzie jego huraganowy film w szlagierowej zaiste obsadzie.

Wyjechał.

Dowiedziawszy się o tym, prasa dostała białej gorączki. Radio, telewizja i wszystkie bez mała gazety amerykańskie zaczęły pyskować na sędziego z taką wściekłością, jakby zwolnił za kaucją mordercę prezydenta, zbója, który już dawno powinien odsiadywać dożywocie albo zawisnąć na sznurku, on zaś chla, śpiewa, tańcuje, biega w slipach po plażach samoańskich i kosi gdzie się da młode dziewczyny. Afera! Skandal! Do diabła z takim sędzią!

Sędzia odpowiadał:

— Człowiek ten pracuje. Ameryka jest wolnym krajem i każdy, nawet oskarżony, ma prawo wykonywać swój zawód aż do chwili, kiedy nie zostanie formalnie skazany. Zapewniam was, że w sierpniu zobaczycie go przed sądem.

Santa Monica

No i proszę! Wrócił. W dodatku punktualnie, na kilka dni przed procesem. Nie zmienił również decyzji w sprawie przyznania się do uprawiania zakazanych stosunków seksualnych. Może więc nie będzie w ogóle procesu? Jeśli w jego wigilię, 8 sierpnia, Napoleon wyzna publicznie na sali sądowej w obecności prawników, reporterów i świadków, że uprawiał zakazane stosunki seksualne, a ściślej mówiąc, że popełnił ten grzech raz: w konkretnym wypadku z konkretną osobą, darowane mu zostaną wszelkie pozostałe grzechy (których zresztą nie popełnił) i sąd będzie mógł w końcu ogłosić wyrok.

Potwierdził to prokurator. Adwokat występujący w imieniu uwiedzionej trzynastolatki i jej rodziców oświadczył, iż reprezentowana przez niego strona nie domaga się od sądu jakiejś szczególnie okrutnej kary — nie chce pieniędzy, nie żąda przeprosin, nie oczekuje, iż Polaka deportują ze Stanów lub wsadzą do więzienia — wystarczy, jeśli okaże on żal za popełnione przestępstwo i nie zrobi w przyszłości niczego, co mogłoby zaszkodzić dobrej opinii dziewczęcia.

Był to sprytnie zamaskowany apel pod adresem obrońcy Napoleona, który, wynajęwszy, prywatnego detektywa, ustalił, iż smarkula miała na sumieniu różne pikantne seksualne doświadczenia, zaś jej matka i starsza siostra, uprawiające miłość z rozmaitymi partnerami nie świeciły bynajmniej trzynastolatce najlepszym przykładem. Komu w takim wypadku zależałoby na procesie? Zatuszować aferę! Niech adwokat reżysera nie wywleka na światło dzienne tajemnic rodziny, bo rzuci się na nie prasa.

Sala Sądu w Santa Monica wrzała jak kocioł, pod którym ludożercy wzniecili ogień z nadzieją, iż zanurzą w nim Polaka z głową. On zaś siedział skromnie i cicho na ławie oskarżonych z taką miną, jakby ego największym w życiu przestępstwem było to, iż chlapnął nieopatrznie muchę, która wpadła mu do zupy podczas świątecznego obiadu w rodzinnym gronie. Ubrany był nad wyraz poważnie, pół tonu tylko weselej niż na pogrzeb kochanego stryjca. Ręce trzymał przy sobie, nie wyłamując ich i nie zaciskając, a wzrok utkwił w ścianie, na której wisiało godło wielkiego mocarstwa.

Dziennikarze dowcipkowali:

— Patrzcie, jakie niewiniątko!

— Wykapany Szymon Słupnik!

— Jaki tam Słupnik! Święty Mateusz! Zaraz zacznie lewitować.

— Uśmiechnij się, chłopczyku!

— Kropnij kielicha!

Napoleon przełknął obelgi i wyzwiska. Oskarżyciel, który prowadził tego dnia przesłuchanie, uciszył reporterów i nakazał stanąć reżyserowi przed sobą. Oczy obydwu mężczyzn spotkały się.

Oblicze prokuratora przybrało wyraz majestatycznej powagi, zaś twarz Polaka tchnęła skruchą.

Padło pierwsze pytanie:

— Czy przyznaje się pan do uprawiania niezgodnych z prawem stosunków seksualnych?

Napoleon pochylił w milczeniu głowę.

— Chciałbym to mimo wszystko usłyszeć na własne uszy — powiedział prokurator.

— Brawo! — wrzasnęła jakaś dziennikarka.

Majestatyczna twarz oskarżyciela straciła jakby na powadze. Lubił pochlebstwa i nie krył się z tym. Strzelił okiem w dziennikarkę, karcąc ją niby za nieprzystojne wrzaski, po czym dorzucił:

— Chciałbym również, aby usłyszała to cała sala.

— Wspaniale! — ryknęła loża reporterów. Tu i ówdzie zabrzmiały pojedyncze oklaski.

Prokuratorski majestat wracał powoli na swoje miejsce. Twarz znowu ziała zgrozą.

— Powtarzam pytanie — oświadczył ten srogi zaiste mąż. — Czy uprawiał pan niezgodne z prawem stosunki seksualne?

Napoleon ponownie skinął głową, dodając przy tym cicho, lecz wyraźnie:

— Tak.

— Z kim?

— Z kobietą, która nie była moją żoną.

Wybuchnął nieopisany harmider. Ktoś zarechotał obelżywie, ktoś inny zawył:

— Bezczelność!

Podejrzewano, że Polak wykona zwód przedyskutowany wcześniej z adwokatem. Ale kiedy padło kolejne pytanie, harmider zgasł aż do ponurego, grobowego milczenia.

— Ile lat miała ta kobieta?

Polak zmrużył oczy i szepnął:

— Trzynaście.

Szmer zdziwienia przeleciał przez salę.

— Przyznał się!

— Chryste!

— Kryminał!

Polak zachował spokój. To, co powiedział, było uzgodnione poprzedniego dnia między nim, obrońcą, sędzią i prokuratorem. Coś za coś. Zwolnimy cię z pięciu pozostałych zarzutów, pójdą w niepamięć piguły i alkohol, ze względu na dobro poszkodowanej nie będzie głośnego procesu, na którym tak bardzo zależy prasie, niewykluczone, że zostawimy nawet w spokoju panią A. H., przyjaciółkę wielkiego Jacka, która miała zeznawać przeciwko tobie w charakterze koronnego świadka. Ale byle czym nie wykrecisz się, bracie. Musisz wziąć na siebie główny grzech, i to tak, aby nikt nie żywił w tym względzie najmniejszych wątpliwości.

Pewny swego prokurator ciągnął wątek:

— Zatem oskarżony wiedział już w chwili popełniania przestępstwa, że obcuje z trzynastoletnią dziewczyną?

— Owszem.

— Jest moim obowiązkiem pouczyć pana, iż w imię obrony własnej mógłby pan temu zaprzeczyć.

— Nie zaprzeczam.

— I jest pan świadom wszystkich wynikających stąd konsekwencji?

— Jestem.

— Niesłychane! — wrzasnęli dziennikarze.

— Na rozum mu padło!

— Albo i nie?

— Pogrążył się tym oświadczeniem czy wybronił?

Tymczasem podniósł się milczący dotąd sędzia i obwieścił, że przewidziany na dzień następny proces zostaje odwołany. Polaka uznaje się winnym. W związku z podejrzeniem, iż jest on upośledzonym umysłowo maniakiem seksualnym, należy wysłać go niezwłocznie do Stacji Psychiatrycznej państwowego więzienia kalifornijskiego w Chino, aby mogli go należycie przebadać psychiatrzy. Wyrok, zapewne bardzo surowy, będzie uzależniony w dużej mierze od wyników tego badania.

Napoleon stracił nagle zimną krew. Wariat seksualny? Więzienie? W co oni próbują go wrobić? Pobladł i bluznął pod adresem swego obrońcy. Ten zerwał się z gwałtownością, która mogłaby świadczyć, iż chcą zapakować do pudła jego rodzone dziecko.

— Wysoki Sądzie! — wrzasnął rozdzierającym serce głosem. — Mój klient pracuje! Dajcie mu przynajmniej skończyć film.

— Zastanowię się — powiedział sędzia.

— Ale... — Mecenas zaczął tłumaczyć, że reżyser musi natychmiast podjąć zajęcia na planie, że na południowym Pacyfiku czeka na niego ekipa, że stoją za tym umowy i ...pieniądze, duże pieniądze, więc chyba sędzia nie będzie tak okrutny, aby przed zamknięciem znakomitego artysty w więzieniu nie pozwolić mu...

— Zastanowię się — powtórzył sędzia, który był mądrym człowiekiem i nie lekceważył bynajmniej brzęczącej mamony. A może trzeba będzie rypnąć Polaka w kieszeń? Więzienie więzieniem, grzywna grzywną. Należy wsadzić drania i zabrać mu pieniądze, na razie jednak ...niech on skończy ten film.

Zwolnił Napoleona za kaucją (wciąż owych dwu i pół tysiąca dolarów), polecając mu wszelako zjawić się 19 września, za czterdzieści dwa dni, na kolejnym przesłuchaniu i pod żadnym pozorem nie opuszczać w tym czasie Stanów Zjednoczonych. Nie mógł przecież posyłać go wprost z sali sądowej na samoańskie wakacje. Musiał zachować pozory.

Monachium

Poręczenie mecenasa jak również dramatyczny apel włoskiego producenta, który, występując w charakterze głównego świadka obrońcy na przesłuchaniu w dniu 19 września oświadczył, iż w wypadku, jeśli Napoleon nie wróci natychmiast na południowy Pacyfik, tysiące ludzi utraci pracę i przepadną miliony dolarów — sprawiły, iż sędzia po konsultacji z prokuratorem polecił, ba! niemal rozkazał Napoleonowi udać się na wyspy samoańskie i czym prędzej ukończyć film. W jakim terminie? Ano, to właśnie było zagadką. Adwokat zapewniał później prasę, iż chodziło o dwieście, a nawet trzysta dni, sędzia zaś utrzymywał, że w grę wchodziły najwyżej trzy miesiące.

Tak czy siak, sąd nie miałby prawdopodobnie do Polaka większych pretensji, gdyby ten, pracując rzeczywiście nad filmem, przeciągnął trochę jego realizację. Tymczasem...

No proszę! Paparazzo, czyli hiena z aparatem fotograficznym, wszedł nocą do znanej monachijskiej restauracji i strzelił spod pachy kilka zdjęć człowiekowi, który miał długie, ciemne włosy, rozbawioną twarz i młodą, najwyżej szesnastoletnią dziewczynę w objęciach. Wokół siedziało zresztą kilka innych młodych dziewczyn wpatrzonych w Napoleona z taką miłością i uznaniem, że gdyby tylko zrobił jeden gest, wszystkie zdjęłyby na komendę majtki i rzuciły się z otwartymi buziami pod stolik.

Napoleon był facetem bystrym, ale dobry, zachodnioeuropejski paparazzo wie, za co bierze pieniądze — zna swoją brudną robotę i praktycznie, jeśli w porę otrzyma cynk, nie ma na niego siły.

C.D.N.

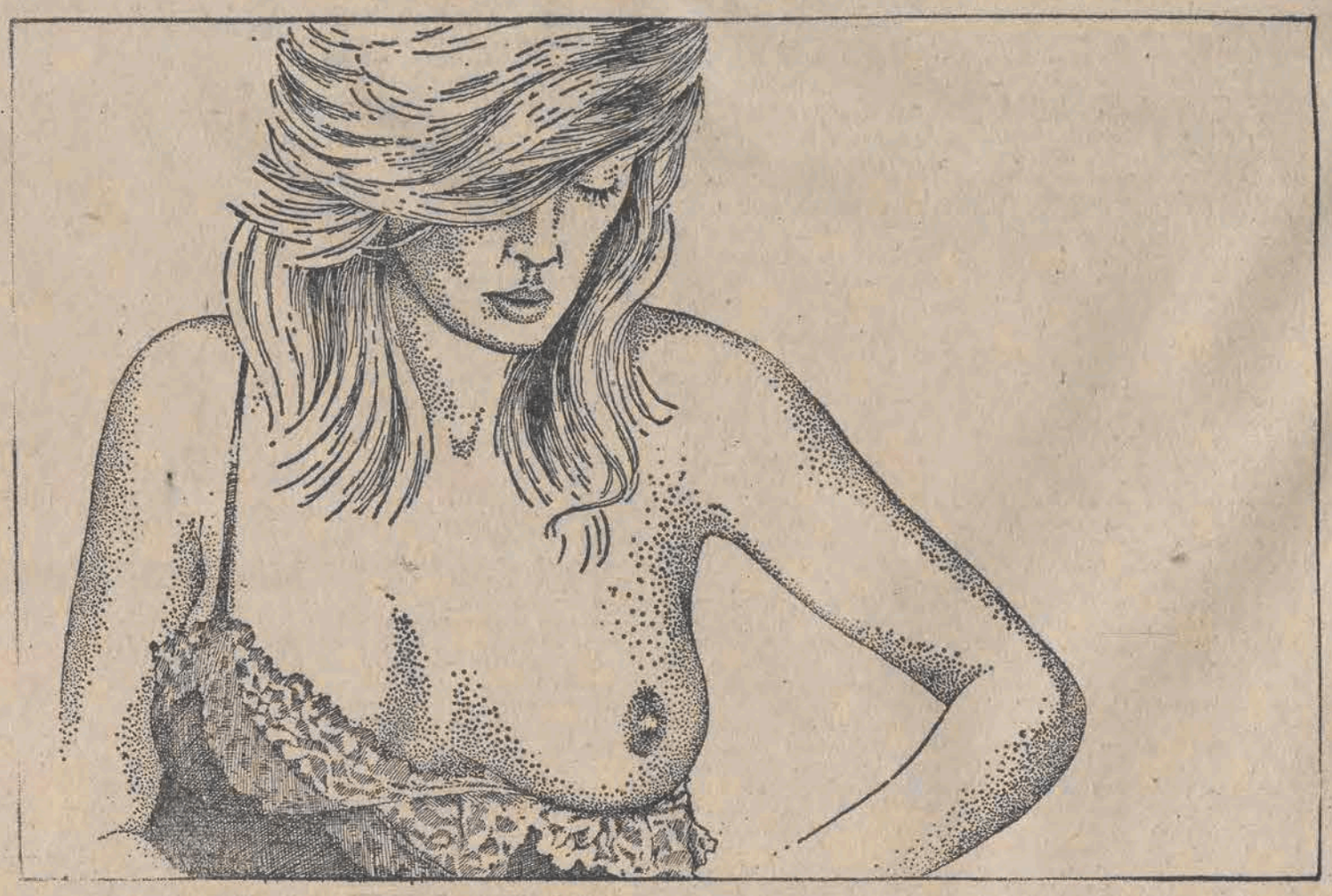

Rys. Janusz Szymański-Glanc